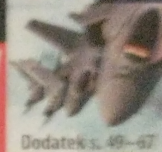
Mastalerek-Morawiecki Sp. z o.o. | Najładniejsze **budynki roku**
Kto wygra **wybory** | Język **niebinarny** | **Wakacje** prawie wykupione



POLITYKA

POLITYKA.PL

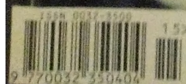
© STUDIO MEHOFF

TYGODNIK, nr 15 (3459), 3.04–9.04.2024
Cena 11,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

Nieskazywalni?



USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO


ISSN 0032-3500
9 770032 350404 15>

Hallyu - koreańska fala

Historia podzielonego półwyspu

mapy • ilustracje • konteksty • ciekawostki



Wydanie papierowe – w kioskach i na **sklep.polityka.pl**
Wydanie cyfrowe – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**
Wydanie audio – **sklep.polityka.pl** i **polityka.pl/cyfrowa**

Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**

KUP TERAZ



POMOCNIK HISTORYCZNY
Ponad 60 tytułów

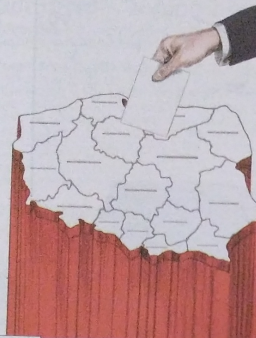


Sprawdź na **sklep.polityka.pl**

POLITYKA

16 Wielk
wyb

POLITYKA w numerze 15 [3.04–9.04.2024]







ILUSTRACJA NA OKŁADCE: © AGENCJA WYBORCZA (2), FORUM (4), REPORTER (2), EAST NEWS

Temat tygodnia

Polityka



Społeczeństwo

Rynek

Świat

75 lat NATO

Nauka/projektpulsar.pl



Historia

Kultura

Ludzie i style

Stałe rubryki

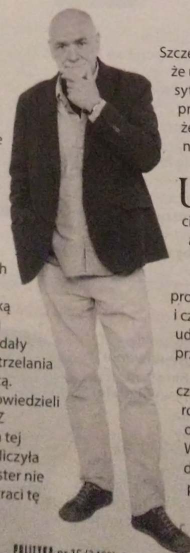
[ANDRZEJ MLECZKO]



www.mleczko.pl

SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Rosja uderza Andriejewem



Nie bacząc na oskarżenia o mściwość i myślowy prymitywizm, spodziewam się, że polskie siły zbrojne rozwalą wreszcie jakąś rosyjską rakietę naruszającą naszą przestrzeń powietrzną. Polskie siły tłumaczą jednak, że nie zestrzeliwują rosyjskich rakiet z uwagi na bezpieczeństwo Polaków, na których spadłyby ich szczątki. Zamiast tego, w trosce o to, żeby nikomu nic się nie stało, ograniczają się do uważnego obserwowania przelotów tych rakiet nad Polską.

W opinii wiceszefa MSZ ostatni incydent z rosyjską rakietą był „czymś w rodzaju sprawdzenia gotowości polskich sił zbrojnych". I polskie siły ten sprawdzian zdały na szóstkę, bo pokazały, że są w pełni gotowe do zestrzelania każdej wrogiej rakiety, ale nie zestrzelą jej, bo nie chcą.

„Chcieli sprawdzić, jaka jest siła naszej obrony. Dowiedzieli się, że jest bardzo wysoka" – ocenia wiceminister MSZ i jasno daje do zrozumienia, że najlepszym dowodem tej siły było niezestrzelenie rakiety w sytuacji, gdy Rosja liczyła na to, że może będzie zestrzelona. Mimo to wiceminister nie pozostawia Rosji złudzeń: „Następnym razem Rosja straci tę rakietę".

Szczerze mówiąc, nie wiem, czy się z tego cieszyć; boję się, że unieszkodliwienie rosyjskiej rakiety może zostać w tej sytuacji odebrane jako dowód słabości polskiej obrony przeciwrakietowej, która jest na tak niskim poziomie, że z wrogimi rakietami nie potrafi sobie poradzić inaczej niż w prymitywny sposób, zestrzeliwując je.

Unieszkodliwienie rosyjskiej rakiety poprzęz jej niezestrzelenie musiało być dla Rosji bolesnym ciosem i dowodem lekceważenia. W odpowiedzi rosyjski ambasador Siergiej Andriejew okazał lekceważenie szefowi polskiego MSZ i nie pojawił się w siedzibie ministerstwa, gdzie miała mu zostać wręczona nota protestacyjna. Nie wiadomo, kiedy notę uda się wręczyć i czy stanie się to, zanim polskiej obronie przeciwrakietowej uda się zestrzelić którąś z kolejnych rosyjskich rakiet przelatujących nad Polską.

Trwa ustalanie, czy większym zagrożeniem dla bezpieczeństwa i wizerunku Polski jest krótkotrwała obecność rosyjskich rakiet nad jej terytorium, czy przedłużająca się obecność na tym terytorium ambasadora Andriejewa. W obozie rządzącym przeważa opinia, że zupełnie nieszkodliwe rosyjskie rakiety, które terytorium Polski bez żadnych problemów opuszczają same, należy zostawić w spokoju i skupić się na zmuszeniu do opuszczenia terytorium Polski przez niezwykle szkodliwego Andriejewa.

Październik w kwietniu

Jerzy Baczyński, Mariusz Janicki

Prawie pół roku po pamiętnym 15 października znowu pójdziemy do urn. Kampania samorządowa przebiegła nieco sennie, w cieniu głównych politycznych wydarzeń: nieodległej wojny, przejmowania przez nową większość urzędów i mediów publicznych, posiedzeń komisji śledczych, zatrzymań, przesłuchań i przeszukań, takich jak w domu byłego ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry. Partie wydawały się wyraźnie podmęczone intensywnymi wyborami parlamentarnymi, zapewne zabrakło też finansowych środków, a za chwilę przecież kampania do Parlamentu Europejskiego, po czym płynnie przejdziemy do prezydenckiej.

Jednak nie zapominajmy, że, pod względem skali, to właśnie te ciche wybory są największe: 7 kwietnia będziemy wybierać aż 39 776 radnych gminnych i miejskich, 6250 powiatowych, 552 radnych sejmików wojewódzkich, a do tego 1548 wójtów, 824 burmistrzów, 107 prezydentów miast. I uwaga: w tych wyborach na listach kandydatów jest ponad 200 tys. osób! To głównie oni sami, ich bliscy i znajomi prowadzili tę kampanię. Często na własny koszt.

Ale sam wynik samorządowych wyborów to coś diametralnie innego niż suma lokalnych kampanii i rozstrzygnięć: będzie bardzo istotny i głośno wybrzmi, określi, w jakim miejscu znajduje się koalicja rządząca, a w jakim PiS; dokąd zmierzają nastroje społeczne po pierwszym okresie antypisowskiego karnawału. Ta pierwsza, nie sondażowa, ale rzeczywista weryfikacja zeszłorocznego przełomu ujawni, na ile nowa ekipa się przyjęła, spodobała, spełniła oczekiwania, jakie ma rokowania. Poza tym chodzi o naprawdę realną władzę. Znaczenie samorządów pokazały ostatnie lata, kiedy PiS – mimo starań i ekonomicznych represji – nie był w stanie złamać oporu lokalnych struktur, w których ówczesna opozycja znajdowała wsparcie i przestrzeń do działania. Sam lider PiS, znany ze swojej centralistycznej wizji państwa i wyraźnie krytyczny wobec samorządów, przyznał niedawno, że stanowią one niezwykle ważną część władzy państwowej. Partia Kaczyńskiego, niepewna wyniku zbliżających się wyborów, obniża oczekiwania, ale z uwagą przypatruje się tendencjom i zamierza wykorzystać do maksimum każdy, minimalny nawet sukces.

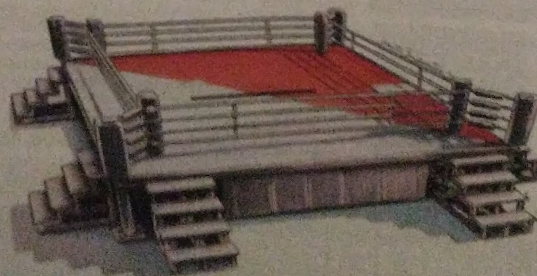
Najważniejsza gra w tych wyborach toczy się o 16 sejmików wojewódzkich, bo ta część wyborów jest najbliższa parlamentarnym. Batalia rozgrywa się na dwóch głównych polach. Pierwsze to pojedynek prestiżowy dla Platformy Obywatelskiej i PiS. Tusk na czele antypisowskiej koalicji pokonał formację Kaczyńskiego i zdobył władzę, ale jego partia przegrała z PiS o kilka punktów procentowych. Donald Tusk bardzo chciałby uniknąć powtórki, już nie chce „pożyczać" nikomu głosów, ale po prostu poczuć smak samodzielnego zwycięstwa. Tego mu brakuje do zwieńczenia własnej legendy. Kaczyński dawno już odpuścił duże i średnie miasta, gdzie wyniki są przeważnie już przesądzone, szkoda mu nawet w nie kampanijnie inwestować. Dla niego, propagandowo, liczy się przede wszystkim wynik „ogólnopolski", czyli w tym przypadku sejmikowy. A sytuacja nie jest tu jasna. Po początkowych wzrostach PO/KO i spadkach PiS notowania się ostatnio wyrównały, a czasami nawet PiS lekko przewodzi stawce. Platforma może minimalnie wygrać, lecz prawdopodobny jest wynik w drugą stronę.

Tu nie chodzi tylko o ambicje Tuska, ale o całościowy obraz Polski pod nowymi rządami. Jeśli znowu, na poziomie sejmików, wygra PiS, to demokratyczna rewolucja rzecz jasna się od tego nie załamie, ale zrodzi się pytanie, dlaczego znowu zwyciężył Kaczyński, skoro podobno już go prawie nie ma, a Polacy gremialnie odrzucili populizm. Oczywiście są tu dyżurne wyjaśnienia, że demokraci są podzieleni, pluralistyczni, że trzeba traktować ich jako całość, niemniej wreszcie wypadałoby PiS po prostu pokonać, zepchnąć z pierwszego miejsca.

I drugie pole wyborczego starcia: ile sejmików wojewódzkich zdobędzie, już jako całość, koalicja 15 października, a ile PiS. Prognozy polityków PO, że Kaczyńskiemu z ośmiu zdobytych w poprzednich wyborach sejmików zostanie tylko Podkarpacie, wydają się wobec ostatnich sondaży nadmiernie optymistyczne. Poprzeczka ustawiana jest niepotrzebnie tak wysoko, bo wynik wyborów na Podlasiu, Lubelszczyźnie, w Świętokrzyskiem, także w Małopolsce i Łódzkiem – nie jest przesądzony na korzyść rządzącej koalicji, sporo będzie zależeć także od osiągnięć Konfederacji. Ale przede wszystkim od frekwencji, która – tak niesamowita – przyczyniła się do październikowego zwycięstwa. Stopień mobilizacji elektoratu rządzącego dzisiaj obozu jest dużą niewiadomą. Natomiast wyborcy obecnej opozycji, sfrustrowani oddaniem władzy, mogą chętnie pójść do urn, licząc na rewanż.

Jeśli Kaczyński utrzyma przewagę nie w jednym, ale w trzech, czterech czy pięciu sejmikach, propaganda prawicy rozdmucha to do niebotycznych rozmiarów, pojawią się hasła o „końcu Tuska", o triumfalnym powrocie „propolskiej opcji", rozczarowaniu „koalicją 13 grudnia", bo PiS wciąż jest mistrzem autopromocji, z niczego potrafi wycisnąć wszystko. Na scenie politycznej oczywiście nie zajdą natychmiast zmiany, Tusk pozostanie premierem, a koalicja się nie rozpadnie, choć wybory samorządowe mogą zmienić w niej wewnętrzny układ sił. Ale wiadomo, jak istotna w polityce jest tzw. atmosfera, podskórne trendy, psychologiczna przewaga. Wpływa to na zachowania, poglądy, oczekiwania, prognozy. Zmiana kierunku wiatru nie jest dostrzegalna od razu, może jednak uruchomić procesy, nad którymi trudno potem zapanować. A PiS gorączkowo szuka takiego punktu zwrotnego.

Jak widać, mimo złudnie niemrawej kampanii, waga zbliżających się wyborów jest superciężka. Po najdłuższej w historii kadencji samorządów – najpierw przedłużonej przez PiS z 4 do 5 lat, a potem jeszcze z jesieni 2023 do wiosny 2024 – mieliśmy najkrótszą, ledwie parotygodniową kampanię. Nie szkodzi; jej polityczny sens pozostaje niezmienny: stawką jest dokończenie antypisowskiej rewolucji, ponieważ proces odzyskiwania państwa z rąk PiS jest wciąż daleki od zakończenia, a groźba recydywy niezażegnana. Tylko wyraźna przegrana może zepchnąć partię Kaczyńskiego na margines i wywołać rozsadzające ją ruchy tektoniczne. W innym wypadku część tej energii zmian, jaka się ujawniła ponad pół roku temu, może się ulotnić. Kluczowe okaże się zatem utrzymanie politycznej determinacji demokratycznych wyborców. Chodzi o kwietniowe potwierdzenie październikowej decyzji.



© MARCIN BONDAROWICZ

Analizy przedwyborcze na s. 16.

TYDZIEŃ W POLITYCE

Przyspieszenie Tuska

Karolina Lewicka

Dziennikarka Radia TOK FM,
wykładowczyni Collegium Civitas, politolożka.



Zapowiedź „przyspieszenia" to nośne hasło polityczne i lejtmotyw. Przyspieszał już Gorbaczow (*uskorienije*), choć z marnym skutkiem – Zachodu nie dogoniono. „Przyspieszenia" przemian domagał się Wałęsa od Mazowieckiego, inspirowany zresztą przez braci Kaczyńskich. Nie wystarczy powolna dłubanina elit – mówił przyszły prezydent „Tygodnikowi Solidarność". Do tego konceptu Jarosław Kaczyński powrócił i jako premier, zapowiadając „przyspieszenie" w 2006 r., na pierwszym posiedzeniu swojego rządu, i jako pociągający za wszystkie sznurki władzy szeregowy poseł. Musimy iść do przodu i jeszcze przyspieszyć – zapowiadał „Sieciom" w kwietniu 2016 r. Teraz, na studniówkę swojego gabinetu, „przyspieszenie" obiecał Donald Tusk. To zapewne reakcja na pierwsze sygnały, jakie wysyłają rządzącej koalicji ich – lekko już zniecierpliwieni – wyborcy, którym nie wystarczą tłumaczenia o trudnej na wejściu sytuacji, trupach w szafach, złym stanie finansów publicznych i hamulcowym z Pałacu Prezydenckiego.

O zaniepokojeniu elektoratu brakiem działań gwarantujących obniżenie kosztów życia czy rozczarowanych zwłoką w procedowaniu ustaw aborcyjnych kobietach czytamy w raporcie Fundacji Batorego „Nadzieja zdemobilizowanych". Cokwartalne badanie „Światowid" IBRiS sygnalizuje oczekiwanie wyborców na rzeczywiste odczucie zmiany i niezmienną od miesięcy wrażliwość na wzrost cen. Ale też zapotrzebowanie na rząd, który jest skuteczny i sprawczy. Ma wejść i robić, dowozić. A niemożliwe ma się stać możliwe.

To polityczny spadek po PiS. Partii Kaczyńskiego udało się wykreować legendę o sprężystym rządzie, który się trudnościom nie kłania. „Damy radę" – brzmiało hasło wyborcze z 2015 r. Walka z imposybilizmem w wydaniu Zjednoczonej Prawicy oznaczała wprawdzie nienadające się do niczego maseczki z Chin, ale za to dostarczone największym na świecie samolotem. Ale szli jak taran i ta bezwzględność robiła wrażenie nawet na przeciwnikach politycznych oraz ich wyborcach. Teraz od swojego rządu oczekują oni już prawdziwej sprawczości i dobrych efektów, osiąganych bez sentymentów i bez nadmiernego oglądania się na metody: dobre czy złe, byle do celu. Ci, którzy chcieliby się spieszyć powoli lub oczekiwać na koniec kadencji Dudy, w pamięci winni mieć wywiad sprzed trzech lat ówczesnego lidera PO Borysa Budki dla „Gazety Wyborczej". Przyznanie się do niemocy („Wielce wkurzający jest ten brak sprawczości (…), ale co można zrobić? Nie mamy większości parlamentarnej"), będące opisem prawdziwego przecież stanu rzeczy, ściągnęło na głowę polityka gromy, powszechną krytykę za defetyzm, bo wybory w Polsce wygrywa się motywacją. Tę lekcję odrobił Donald Tusk, usiłując od swojego powrotu reaktywować wiarę w zwycięstwo. Skutecznie, czemu wydatnie przysłużyły się dwa wielkie marsze w Warszawie. Teraz, po okrzepnięciu w resortach, przyszedł czas na owo „przyspieszenie", które w marketingu politycznym zwykło się nazywać „momentum". To rozpęd dający politykowi czy partii wzrost i powodzenie, któremu musi towarzyszyć odrzucenie politycznej impotencji i niedasizmu.

Elementem tej strategii jest na pewno ostatnia akcja prokuratury i ABW w domach polityków Suwerennej Polski, odpowiadających za Fundusz Sprawiedliwości. Wyborcy chcą rozliczenia i ukarania zła, to stale obecna i niezwykle silna emocja społeczna. Ale też zapowiedź minister zdrowia, że prezydenckie weto nie zablokuje pigułki „dzień po", której dostępność bez recepty zagwarantuje się rozporządzeniem. Powyborczy karnawał dobiega końca, ale w ludziach wciąż jest nadzieja, że to, co obiecane, zostanie zrealizowane. A głównym kryterium oceny tego rządu, o czym sam Tusk mówił w trakcie podsumowywania swoich stu dni, będzie skuteczność.

Czarna seria w armii



Pięciu żołnierzy zginęło w marcu w czasie ćwiczeń i szkoleń wojskowych. Na początku miesiąca dwaj żołnierze piechoty ponieśli śmierć w Drawsku Pomorskim, przejechani przez transporter opancerzony. Później dwaj saperzy – instruktor specjalista i szkolony żołnierz – nie przeżyli eksplozji materiału wybuchowego, którego podkładanie wspólnie ćwiczyli. Wreszcie świetnie znający góry i wspinający się na najwyższe szczyty świata komandos zginął porwany przez lawinę w masywie Rysów, w czasie szkolenia wysokogórskiego. Takiej czarnej serii dawno nie było i nie może dziwić, że na polecenie ministra obrony zajęcia czasowo wstrzymano, aby przyjrzeć się procedurom, przypomnieć obowiązki i reguły, sprawdzić, co nie działa. Przerwa ma potrwać najwyżej kilka tygodni i nie dotyczy działań operacyjnych o najwyższym priorytecie oraz szkolenia sił zbrojnych Ukrainy.

Władysław Kosiniak-Kamysz inaczej wyobrażał sobie przedświąteczne spotkania z żołnierzami, w czasie których dostawał kolejne tragiczne wieści, a jednocześnie musiał zapewniać o wsparciu, solidarności, dalszych inwestycjach w sprzęt i rozwój armii. Rekordowe wydatki obronne (4,2 proc. PKB) nikomu życia nie wrócą, rodzinom nie ulżą – poza oczywistym wsparciem finansowym, na które pieniędzy nie powinno braknąć. To pierwsze tak trudne momenty za nowych rządów w MON. Nagromadzenie nieszczęśliwych zdarzeń uruchamia odrażające komentarze sfory internetowych trolli napędzanych polityczną nienawiścią, ale rodzi też poważne pytania, skąd ta czarna seria?

Tylko część odpowiedzi daje statystyka wskazująca, że więcej ćwiczeń rosnącej armii musi w którymś momencie przynieść więcej wypadków, w tym śmiertelnych. Inna część mówi o wydrenowaniu jednostek z doświadczonej kadry, głównie podoficerów-szkoleniowców, którzy stanowili w ostatnich latach gros wojskowych decydujących się na pożegnanie ze służbą. Było ich w sumie kilkadziesiąt tysięcy, jeśli zsumować dane z ośmiu ubiegłych lat. Doświadczonych żołnierzy tylko na papierze i tylko w liczbach mógł zastąpić ochotniczy narybek, bo umiejętności, praktyki i wojskowego zdrowego rozsądku nie da się nabyć w kilka tygodni czy miesięcy, po których MON ogłaszał kolejne przyrosty liczby „żołnierzy pod bronią". Ilość jakości jednak nie jest równa, szczególnie gdy chodzi o naukę. Procedury i ich zachowanie to jedno, świadomość zagrożeń to drugie. Przegląd może czekać nie tylko przepisy, ale też całą politykę rekrutacyjną wojska. (MŚ)

Wybory solo

Aż w 421 gminach wybory na wójta i burmistrza będą bez wyboru. To dlatego, że startuje w nich tylko jeden kandydat. Badacze polskiego samorządu alarmują, że to fatalny znak dla polskiej demokracji, bo trend się pogłębia. W poprzednich wyborach samorządowych taka sytuacja była w 320 gminach. Niezmienne są tylko przyczyny tego stanu rzeczy. Jeden kandydat oznacza najczęściej dwa scenariusze: jest dobrze, nie ma co psuć. Ewentualnie – jest źle, nie ma się co zabierać do kandydowania. Ten ostatni jest oczywiście czarnym scenariuszem, bo pokazuje, że coraz więcej gmin w Polsce jest w trwałym kryzysie. Do tego gminy te pozbawione są perspektyw rozwojowych. Pytanie, czy niektóre z nich nie powinny być zlikwidowane i połączone z większymi, bardziej prężnymi samorządami, wisi w powietrzu, ale nie ma chętnego, który chciałby się do tego zabrać.

O tym, że przyczyny tego kryzysu są systemowe, najlepiej świadczy fakt, że problem dotyczy głównie wójtów (ponad 300) i burmistrzów. Prezydenci w komplecie mają kontrkandydatów. W bogatych miastach nie tylko lepiej się zarabia w samorządzie – dają również wiele okazji do ulokowania swoich ludzi w spółkach miejskich, co jest jednym z magnesów walki o władzę. Oprócz przyczyn twardych, które powodują, że nie ma chętnych do pracy samorządowej, są jeszcze te miękkie. **Jerzy Murzyn** wójtem Bodzechowa jest nieprzerwanie



od 1991 r. Najpierw wybierała go rada, a później mieszkańcy. – *Sam już nie pamiętam, czy to będą ósme, czy dziewiąte wybory, ale kontrkandydata miałem dwa razy. W tych wyborach go nie mam. Przyczyny są moim zdaniem dwie. Nieskromnie mówiąc, chyba sobie radzę. Ale kluczowe jest to, że ludzie czują się przeze mnie szanowani* – mówi. Kolejną miękką przyczyną jest selekcja negatywna. – *Ci, którzy mają dobrą pracę albo dobrze funkcjonujący biznes, nie chcą ryzykować kariery i iść do samorządu* – dodaje. Jego zdaniem kryzys w samorządzie będzie się pogłębiał.

W gminach, w których jest jeden kandydat, wybory siłą rzeczy będą rodzajem referendum, w którym wyborcy opowiedzą się za lub przeciw kandydatowi. Na karcie do głosowania zostanie umieszczone tylko jedno nazwisko. A kandydat musi uzyskać więcej niż połowę ważnych głosów. W wyborach nie jest brana pod uwagę frekwencja. W przypadku gdy kandydat nie uzyska więcej niż połowy ważnie oddanych głosów, wyboru dokonać musi rada gminy. Przy czym głosowanie jest tajne, a procedura zawiła i skomplikowana. Gdyby i ta metoda zawiodła, ostatnim bezpiecznikiem jest premier, który dwa miesiące po wyborach ma obowiązek wyznaczyć nowego włodarza. A ten ma prawo rządzić do końca kadencji. Ale w sumie nie o taką demokrację chyba chodziło i kwestia wzmocnienia słabych gmin to jedno z pilniejszych zadań dla rządu. (JULL)

Ponad 6 mln zł dziennie. Tyle płacą polscy podatnicy z tytułu podatku od odpadów z tworzyw sztucznych, które nie zostały poddane recyklingowi. Stawka za tonę nieprzetworzonego plastiku wynosi 800 euro. Łatwo policzyć, ile ton dziennie nie jest poddawanych recyklingowi. W sumie Polacy zapłacili już 6,7 mld zł z tytułu plastic tax, jak potocznie nazywana jest ta danina. I niewiele wskazuje, żeby opłaty miały być niższe. Problem z przetwarzaniem plastiku w Polsce jest jednym z tych systemowych – czytaj: takich, za który nikt nie chce się gruntownie zabrać.

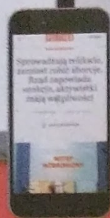
Opłata weszła w życie1 stycznia 2021 r. i jest jednym z elementów składki członkowskiej do budżetu UE. Mechanizm miał stymulować kraje, które nie radzą sobie z odpowiednim poziomem recyklingu tworzyw sztucznych, do zajęcia się problemem. Unijni urzędnicy nie przewidzieli jednak, że niektóre kraje – w tym Polska – uznają, że lepiej płacić, niż wdrożyć konkretne rozwiązania.

Kłopot z recyklingiem tworzyw sztucznych w Polsce jest wieloaspektowy. Ciągle kuleje zbiórka odpadów. Nie ma presji na producentów, żeby ograniczali liczbę opakowań sztucznych wprowadzanych do obiegu. Plastik ma również tło geopolityczne. Po wybuchu wojny w Ukrainie Polska zalewana jest dodatkowo tanimi tworzywami sztucznymi z… Rosji. O zjawisku alarmowali rządzących recyklerzy, których produkty przetworzone przegrywają cenowo z tańszym tworzywem z importu ze wschodu. Ale kłopot nie zniknął. Podobnie jak nie znikają hałdy śmieci. A jeśli już znikają, to w polskich realiach często w wyniku różnego rodzaju patologii – np. podpalenia składowisk. Przy tym wszystkim te 6 mln dziennie to chyba najmniejszy problem, jaki Polska ma ze zużytym plastikiem. (JULL)

Uniwersum POLITYKI

Zapraszamy po więcej na polityka.pl







PODKASTY polityka.pl/podkasty



Rowery, nie bajki
Czy rowerem można zarabiać na życie i czy lepiej niż pisaniem książek, a może najlepiej to połączyć. I jeszcze o tym, że rowerzyści nie istnieją. W premierowym odcinku podkastu dla cyklistów **Juliusz Ćwieluch** rozmawia z **Filipem Springerem**.



Podkast psychologiczny
Dlaczego przybywa diagnoz autyzmu, a zespołu Aspergera nie umieszczono w najnowszej klasyfikacji chorób i zaburzeń? O tym **Joanna Cieśla** rozmawia w najnowszym odcinku „Jak wytrzymać ze sobą i światem", czyli podkastu psychologicznego „Polityki".



Temat tygodnia
Dlaczego rolnicy wyszli na drogi i czy to na pewno efekt Zielonego Ładu i importu z Ukrainy? Co może zrobić rząd, co Bruksela, a co Kijów, żeby zakończyć protesty? Rozmowa **Łukasza Lipińskiego** z **Joanną Solską**.

projektpulsar.pl/podkast

Pulsar nadaje



Do czego w życiu przydają się antyczne opowieści? Po co je przypominać? Jak ich uczyć? **Agnieszce Krzemińskiej** opowiada prof. dr hab. **Katarzyna Marciniak**, filolożka klasyczna i italianistka z Artes Liberales na Uniwersytecie Warszawskim.

NEWSLETTERY



polityka.pl/newslettery
- codzienne
- najnowszy numer tygodnika
- kulturalny
- wydania specjalne

WYDANIA SPECJALNE

sklep.polityka.pl

Czy da się naprawić szkołę, jak pomóc dziecku w edukacji oraz jak je skuteczniej i mądrzej uczyć? Na polityka.pl polecamy nasz nowy cykl edukacyjny NASZA SZKOŁA, a w sklepie internetowym Poradnik Psychologiczny „Ja My Oni" pt. **„Jak radzić sobie ze szkołą"**. Wydanie adresowane jest do uczniów, rodziców i nauczycieli.



CYFROWE WYDANIA SPECJALNE

polityka.pl/wydaniaspecjalne
sklep.polityka.pl – format EPUB

„Ludzie nie decydują o swojej przyszłości. Decydują o swoich nawykach i to one kształtują ich przyszłość" – głosił już sto lat temu znany australijski edukator F.M. Alexander. Jak zatem wyrobić w sobie dobre nawyki i zachować konsekwencję w ich wdrażaniu?

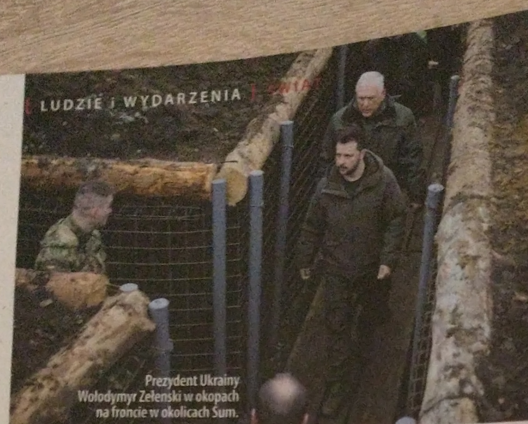


BLOGI

polityka.pl/blogi

Antymatrix
W nowym odcinku swojego bloga **Edwin Bendyk** pisze o wrażeniach z pobytu w Kijowie, o życiu codziennym mieszkańców w cieniu wojny.

BelferBlog
Dariusz Chętkowski w nowym wpisie dzieli się wrażeniami z seansu filmu „Strefa interesów". Najlepsza rekomendacja dla filmu: tylko jeden uczeń non stop grał na telefonie.



Prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski w okopach na froncie w okolicach Sum.

Ukraina i Rosja wymieniają ciosy

Nie trzeba było długo czekać, by Władimir Putin oskarżył Ukrainę i Zachód o współudział w zamachu islamskich terrorystów na podmoskiewskie centrum rozrywkowe i śmierć prawie 150 osób. Nieważne, że to Amerykanie ostrzegali Rosję przed zamachem; nieważne, że jego sprawcy z Ukrainą nie mają nic wspólnego. Zwrot narracji Kremla jest absurdalny, co nie znaczy, że mniej groźny. Podsyca rosyjski nacjonalizm i poczucie zagrożenia, zwiększa agresję i gotowość do poświęceń. To mieszanka wybuchowa, a lont pod nią tli się dłużej, niż trwa wojna.

Furia Putina przybrała postać nalotów i uderzeń z dystansu. Na ukraińskie miasta w niemal codziennych falach bombardowań spada rekordowa liczba rosyjskich rakiet, dronów i pocisków – tych najdroższych i najnowocześniejszych. Obrona powietrzna Kijowa, Charkowa czy Odessy ma coraz większe problemy, bo jest uzależniona od dostaw z Zachodu, a te utrudnia amerykańska blokada. Ukraińcy też uderzają z daleka, głównie na rosyjskie rafinerie, ale naruszenie finansowych fundamentów putinowskiego reżimu to zadanie na wiele miesięcy. Szybciej idzie im z Krymem i Flotą Czarnomorską, której jedna trzecia już praktycznie nie istnieje, a reszta boi się zaglądać na zachodnią część morza, co umożliwia bezcenny dla finansów Kijowa eksport.

Wiosna będzie jednak trudna, nawet jeśli Ukraina na razie nie cofa się na samym froncie. Postępy Rosjan są, ale znikome. Tempo ich natarcia po niedawnych sukcesach w Donbasie spowolniło, nie widać oznak spodziewanej jeszcze zimą wielkiej ofensywy na Charków. Mimo to najwyżsi dowódcy w Europie już nie straszą, tylko ostrzegają: Ukraina przegrywa tę wojnę, a Rosja się nie zatrzyma. Tak uważa były szef sztabu gen. Rajmund Andrzejczak. Aktualny szef polskiej armii gen. Wiesław Kukuła mówi, że Putin szykuje się do konfrontacji z NATO, co jest opinią już powszechnie podzielaną w Sojuszu. Odliczanie lat dzielących nas od przewidywanego bezpośredniego zagrożenia zastąpiły prognozy, że groźne może być już najbliższe lato. Moskwa widzi strategiczną chwiejność, przemysłową zadyszkę (nadal brakuje amunicji) i polityczną szansę na przewagę swoich sympatyków w wyborach europejskich i amerykańskich. Najbardziej niepokoją jednak słowa samego Putina. Gdy kolejny raz zapewnił w ubiegłym tygodniu, że nie zamierza atakować NATO, dał sygnał, by wszyscy na Zachodzie byli gotowi na odparcie napaści w każdej chwili. Czy będziemy?

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

Trump, kaucje i Biblia



Sąd Apelacyjny w Nowym Jorku obniżył z 454 do 175 mln dol. kwotę obligacji, które **Donald Trump** ma wpłacić tytułem swego rodzaju kaucji, by przerwać egzekucję nałożonej na niego sankcji finansowej za fałszerstwa dokumentów biznesowych w swej korporacji. Decyzja sądu wstrzymuje zapowiadane przez oskarżającą byłego prezydenta prokurator Letitię James zajęcie jego aktywów po uprawomocnieniu się wyroku w przegranym przez niego w lutym procesie cywilnym. Wyrok ten nakazuje zapłacenie 464 mln dol., i to z odsetkami, które powiększają tę sumę o 100 tys. dol. dziennie. Trump, który twierdził, że nie może zdobyć żądanego początkowo prawie pół miliarda, oświadczył już, że pomniejszoną kwotę uiści w wyznaczonym nowym terminie 10 dni.

Sąd odwoławczy nie wyjaśnił, czemu okazał się dla Trumpa łaskawy. Niektórzy komentujący sprawę prawnicy sugerują dysproporcję między ogromem pierwotnej kaucji – i samej sankcji finansowej na byłego prezydenta – a umiarkowaną jednak szkodliwością społeczną czynu. To reakcje raczej sympatyków Trumpa, ale można podejrzewać, że nawet jeśli sędziowie łagodzący wysokość kaucji do nich nie należą, to doszli do wniosku, że nie warto przypierać go do muru, bo wzmocni to tylko jego narrację, że całe oskarżenie i wydany w lutym wyrok to element politycznej nagonki przed tegorocznymi wyborami. O pani James Trump nie mówi inaczej jak „skorumpowana prokurator", a prowadzącego sprawę sędziego Arthura Engorona nazywa „jej marionetką" i „oszustem". Jak w przypadku wszystkich pozostałych wytoczonych mu spraw – już nie cywilnych, lecz karnych – kreuje się na ofiarę prześladowań. Na jego fanów to działa.

A Trumpowi, tak czy inaczej, nie grozi ubóstwo. Ostatnio urósł w ciągu dnia o 5 mld dol., kiedy jego korporacja Trump Media & Technology Group, do której należy portal społecznościowy Truth Social, weszła na giełdę. Ale większość jego majątku to nieruchomości, których nie chce sprzedawać, a więc aktywa są niejako zamrożone, a sporą część płynnej gotówki pochłaniają wydatki na adwokatów. Tymczasem na kampanię wyborczą na gwałt potrzebuje pieniędzy, których zebrał dużo mniej niż Joe Biden. Ta potrzeba jest tak pilna, że właśnie ogłosił sprzedaż po 60 dol. za sztukę… egzemplarzy Biblii. Reklamowanej jako „jedyną, którą popiera". To nie żart, tylko gest pod adresem ewangelikalnych chrześcijan, trzonu elektoratu Partii Republikańskiej.

TOMASZ ZALEWSKI Z WASZYNGTONU

Rysy na fasadzie

Przybywa zakłóceń w systemie władzy, który na Węgrzech zbudował premier Viktor Orbán. W lutym – na tle skandalu po ułaskawieniu osoby skazanej za tuszowanie czynów o charakterze pedofilskim – do dymisji podała się prezydentka Katalin Novák. Parlament, zdominowany przez orbanowski Fidesz, wybrał nową głowę państwa. Tamás Sulyok utrzymuje, że komuniści prześladowali jego długo ukrywającego się ojca za patriotyzm, jednak węgierscy dziennikarze twierdzą, że chodziło bardziej o udział w działalności ruchu strzałokrzyżowców, organizacji kolaborującej z III Rzeszą.

Najnowszym problemem Orbána staje się psychodrama z udziałem byłej ministry sprawiedliwości Judit Vargi (odeszła ze stanowiska przy okazji skandalu ułaskawieniowego) i jej byłego męża **Pétera Magyara**, obecnie upadłej partyjnej gwiazdy. Przed rozpadem związku byli wzorową rodziną nowych konserwatywnych Węgier, godzącą tradycyjne wartości z wychowaniem trójki dzieci. Lubią ich kamery, Varga doskonale nadawała się na prowadzącą kampanię przed wyborami do Parlamentu Europejskiego, wielokrotnie w Brukseli broniła zamachu na węgierską praworządność. Według byłej żony Magyar to „narcystyczny psychopata", zarzuca mu nękanie i przemoc domową oraz wymuszenie opowieści (nagranej) o tym, że członkowie rządu majstrowali przy aktach sądowych głośnej sprawy korupcyjnej.



Magyar widzi się w roli sygnalisty. Nagranie upublicznił i zapewnia, że pozostawał wewnętrznym krytykiem Fideszu, który w zakulisowych dyskusjach nie zgadzał się z karygodną linią partii. Systemowi Orbána zarzuca powszechną korupcję i wykorzystywanie oszczerstw do dyskredytacji przeciwników. Porzucił posady w spółkach państwowych, m.in. w jednym z banków i w węgierskim odpowiedniku Pekaesu, wyprowadził ludzi na ulice i zapowiada utworzenie nowej partii. Mówi, że nic nie trwa wiecznie – przykładem to, że Turkom nie udało się sturczyć Węgier przez 150 lat zaboru. Orbanizm trwa od lat czternastu, opozycja nie znalazła na niego sposobu, na Magyara liczyć raczej nie może, ale teraz ma przynajmniej nadzieję, że znajdą się kolejni aparatczycy, którzy zdecydują się dostarczać argumentów kompromitujących obóz władzy.



Koniec wieńczy dzieło

Niemal jak w średniowieczu, choć mamy wiek XXI. Od ponad 140 lat w Barcelonie trwa budowa katolickiego kościoła pokutnego **La Sagrada Familia**. Stał się wielką atrakcją turystyczną i secesyjno-surrealistycznym pomnikiem geniuszu katalońskiego projektanta Antoniego Gaudiego. I oto dzieło dobiega wreszcie końca. Fundacja zawiadująca budową poinformowała, że zasadnicze prace zakończą się za dwa lata, w 2026 r., w setną rocznicę śmierci Gaudiego.

Budowę zaczęto w 1882 r. na podstawie projektu innego wybitnego architekta. Kościół miał być w stylu neogotyckim. Francisco de Paula del Villar poróżnił się jednak z fundatorami i prace przejął Gaudi. Radykalnie zmienił założenia i charakter budowli. Kierował budową z przerwami, od 1914 r. aż do śmierci pod kołami tramwaju. Dzieło kontynuowano zgodnie z jego wizjonerskimi projektami. Wszystko mogło zakończyć się fiaskiem, bo podczas wojny domowej w latach 30. zeszłego wieku makiety uległy częściowo zniszczeniu. Udało się je zrekonstruować i prace wznowiono. Wciąż jednak towarzyszyło im widmo niepowodzenia, bo budowę finansowano między innymi z datków pokutników, a tych ubywało w miarę sekularyzacji społeczeństwa.

Projekt uratowały miliony turystów odwiedzających kościół – w 2010 r. mianowany bazyliką mniejszą przez Benedykta XVI – którzy opłacali bilety wstępu. Szacuje się, że corocznie przybywa ich ok. 5 mln, co daje przychód 125 mln euro. W 2005 r. UNESCO wpisało kościół na listę dziedzictwa ludzkości. Prócz wydarzeń ściśle religijnych na jego terenie odbywają się też liczne imprezy kulturalne. La Sagrada Familia to jedna z ikon Barcelony i Katalonii. Niektórzy miłośnicy budowli trochę żałują, że dzieło Gaudiego nie będzie już projektem w wiecznej budowie.

Tajlandia jednopłciowa

Po dziesięciu latach biegu z przeszkodami jest wreszcie przełom: Tajlandia legalizuje małżeństwa osób tej samej płci. W tajskiej Izbie Reprezentantów obok projektu firmowanego przez premiera Srettę Thavisina zostały złożone trzy projekty opozycji i wersja kompromisowa właśnie została przyjęta stosunkiem głosów 400 do 15. Co dobrze oddaje nastroje społeczne: według niedawnego rządowego sondażu 96,6 proc. akceptuje takie związki. Będą miały równe prawa z obecnymi w kwestii rozliczeń podatkowych, dziedziczenia czy adopcji



dzieci. Teraz kolej na akceptację Senatu oraz poparcie ze strony króla; w zgodnej opinii nie powinno być z tym większych problemów.

Tym samym Tajlandia, która cieszy się przychylną opinią w kwestiach LGBT i ma już ustawę przeciw dyskryminacji ze względu na płeć (ale ciągle zabrania zmiany płci), stanie się regionalnym trendsetterem. W Azji małżeństwa tej samej płci akceptuje tylko Tajwan (od 2019 r.) i Nepal (który pierwszy taki związek zarejestrował w grudniu ub.r.). Według orzecznictwa japońskiego zakaz małżeństw jednopłciowych jest niekonstytucyjny, ale do ich urzędowej akcepcji ciągle daleka droga, w Wietnamie zmieniło się tyle, że od 2013 r. przestano karać za takie związki, a Singapur, który w 2022 r. wykreślił prawo zabraniające homoseksualizmu, wprowadził jednocześnie do konstytucji zapis uniemożliwiający korektę dotychczasowej definicji małżeństwa. Malezja, Mjanma i Brunei nadal karzą za seks osób tej samej płci.

EWA SIEDLECKA

Prawo a sprawiedliwość

„Pójdziesz siedzieć!” – skandowano pod adresem ludzi władzy PiS przez ostatnie lata. Dlaczego jeszcze nikt nie siedzi? Spokojnie: więzienie to nie jedyna kara, a trzy miesiące to niewystarczający czas na uczciwe rozliczenia.

Odbyła się seria przeszukań i zatrzymań w związku ze słynnym Funduszem Sprawiedliwości, który minister Zbigniew Ziobro przekształcił w partyjny bank z dotacjami. Pójdzie siedzieć? „Niczego nie podpisywałem. O wszystkim decydowali moi współpracownicy” – to były jedne z pierwszych słów, jakie powiedział do dziennikarzy, gdy przerywając leczenie za granicą, przyjechał do swojego domu, gdzie trwało przeszukanie na polecenie prokuratury. Michał Woś, tenże „współpracownik” w randze wiceministra odpowiedzialny za Fundusz, zeznając następnego dnia przed komisją śledczą ds. Pegasusa, przyznał, że owszem, podpisywał wszystko i niczego z Ziobrą nie omawiał. Ale nie jest niczemu winny, bo wszystko było zgodnie z przepisami, które sobie wcześniej uchwalili. Ten obrazek jest jak histopatologiczny wycinek raka, który toczył państwo PiS.

Odpowiedzialność bywa różna: polityczna, karna, konstytucyjna (dla najwyższych funkcjonariuszy władzy), służbowa, dyscyplinarna, cywilna, materialna. Polityczna już się dokonała: PiS został odsunięty od władzy. Najbardziej przez opinię publiczną wyczekiwana jest konstytucyjna – jednak mało kogo może spotkać. I karna – ale dotyczy tylko części tzw. afer PiS. Jednym z ich najważniejszych mechanizmów było bowiem – jak w Funduszu Sprawiedliwości – zapewnienie osłony prawnej tak, by to, co bezprawne, stawało się dopuszczalne.

Z dotychczasowego tempa rozliczania władzy PiS zadowolonych jest 44,4 proc. respondentów zbadanych przez United Surveys (sondaż dla „Dziennika Gazety Prawnej” i RMF FM).



Niezadowolonych jest 37,9 proc. Ten zawód może być spowodowany nie tyle brakiem finału (ukarania), ile sposobem, w jaki rozliczanie się odbywa. A ten jest akurat kluczowy: albo ludzie będą mieli poczucie, że dokonuje się uczciwy sąd, albo kolejna polityczna wojna – tym razem odwetowa. Część publiczności odwetu oczekiwała, ale z kolei może być rozczarowana, że nie jest wystarczająco surowy: Kamiński z Wąsikiem posiedzieli raptem tydzień, a poza nimi nikt. Choć teraz, po aresztowaniu dwojga pracowników Ministerstwa Sprawiedliwości odpowiedzialnych za Fundusz Sprawiedliwości, po zarzutach dla siedmiu osób i przeszukaniach u ponad 25, poziom satysfakcji mógł się podnieść.

Ale utrzymuje się rozczarowanie po przesłuchaniu prezesa PiS przed komisją śledczą ds. Pegasusa. Nic nie wniosło, przesłuchujący najwyraźniej nie mieli nowej wiedzy, powielali pytaniami to, co od dawna było znane, a prezes Jarosław Kaczyński udatnie manipulował przesłuchaniem. Takie wpadki wpływają na publiczną ocenę jakości rozliczeń. Najpoważniejszym problemem wszystkich trzech komisji śledczych (stosunkowo najmniej widać to w komisji wizowej) jest jednak to, że odbywają się w atmosferze sejmowej „nawalanki". Oczywiście i przesłuchiwani, i pisowscy członkowie komisji śledczych często ją prowokują, ale prowokacja przynosi skutek. A to niszczy zaufanie do fachowości członków komisji i samej procedury rozliczania. Przesłuchujący są złośliwi, sarkastyczni, pokrzykują na świadków, unoszą się oburzeniem, wygłaszają tyrady. I na wszelkie inne sposoby demonstrują swoją niechęć. To wygląda jak publiczna chłosta, a nie racjonalne rozliczanie. A więc na razie komisje śledcze nie dają dużej części publiczności poczucia, że oto dzieje się sprawiedliwość.

Bez żadnego trybu

Co nie znaczy, że komisje są bezużyteczne. Już pokazały podstawową cechę rządów PiS: działanie bez żadnego trybu. Chaos, lekceważenie procedur, nepotyzm, brak wizji, wiedzy i umiejętności, zgarnianie pod siebie, brak respektu dla państwa i jego instytucji. To wcale nie były twarde rządy partii czy jej prezesa. To było bezhołowie podlane patriotycznym sosem.

Kolejną cechą tego państwa była nieodpowiedzialność władzy. Czasem gwarantowano ją ustawowo (np. decyzje podejmowane w czasie pandemii). Czasem nieodpowiedzialność zapewniano sobie dzięki działaniu nieformalnie, poza procedurami. Czasem – jak zespół smoleński Antoniego Macierewicza – sama forma prawna wyjmowała spod procedur działalność grupy osób, a czasem – jak słyszeliśmy to ostatnio podczas zeznań wiceministra aktywów państwowych w rządzie PiS Artura Sobonia przed komisją ds. wyborów kopertowych – powierzano określone zadanie nieformalnie: bez zakresu uprawnień i obowiązków, „na gębę". Jeśli nie ma się uprawnień, nie można ich przekroczyć. Jeśli nie ma obowiązków, nie można ich nie dopełnić. Kierownictwo Poczty Polskiej, firmy poligraficzne, samorządowcy – wszyscy spotykali się i konsultowali z ministrem Soboniem „bez żadnego trybu", ufając, że skoro jest wiceministrem, to ma władzę.

W ten sposób minister aktywów państwowych Jacek Sasin pozbył się odpowiedzialności za wybory kopertowe, które były w zakresie jego obowiązków, a Artur Soboń ich nie nabył. I koniec końców jedynym odpowiedzialnym stał się Mateusz Morawiecki, którego podpis widnieje na zarządzeniu przygotowań do wyborów kopertowych, jeszcze zanim weszła w życie ustawa o tych wyborach.

Podobnie w aferze wizowej: ktoś dzwonił do kogoś i przekazywał jakąś nieformalną listę osób, które mają przeskoczyć kolejkę i dostać wizę. Ktoś komuś robił uprzejmość. Przestępstwem jest łapówkarstwo czy groźby bezprawne. Jeśli ktoś z kierownictwa MSZ robił przysługę znajomemu przedsiębiorcy, ułatwiając mu sprowadzenie taniej siły roboczej z zagranicy i nie czerpiąc z tego żadnych korzyści, to takie bezinteresowne kumoterstwo można oceniać na drodze służbowej. Natomiast łamanie procedury przy wydawaniu wizy to przestępstwo urzędnicze. Ale pod warunkiem udowodnienia, że państwo lub konkretna osoba poniosły szkodę. Jeśli złamania procedur domagał się przełożony, to odpowiada za tzw. sprawstwo kierownicze. Ale znowu: pod warunkiem wykazania szkody. To prokuratura musi oddzielić, co jest przestępstwem, a co uchybieniem służbowym. Komisja śledcza obnaża mechanizmy. I dobrze.

Test Glapińskiego

Pierwszą osobą, której postawienie przed Trybunałem Stanu zapowiedziała nowa władza, był szef NBP Adam Glapiński. Odpowiedzialność konstytucyjna to rodzaj odpowiedzialności ▶

▶ karnej zarezerwowany dla najwyższych funkcjonariuszy władzy. W przypadku szefa NBP najważniejsze było jednak, że postawienie przed Trybunałem Stanu powoduje według ustawy automatyczne zawieszenie go w czynnościach prezesa NBP. Tyle że to już nieaktualne, bo Trybunał nieKonstytucyjny rozpoznał ekspresowy wniosek posłów PiS i orzekł (w prawidłowym składzie) usunięcie z ustawy o Trybunale Stanu zdania, które o tym mówiło.

Teraz – jako spełnienie jednego ze „stu konkretów na sto dni rządu" Tuska – pojawił się projekt zarzutów dla Glapińskiego. Najważniejszym, czysto konstytucyjnym zarzutem jest sprzeniewierzenie się konstytucyjnej zasadzie apolityczności prezesa Banku Centralnego – zarzut praktycznie niewymagający dowodzenia, bo Glapiński, jaki jest, każdy widzi. A i on sam nie zaprzecza. Są też zarzuty skupowania rządowego długu i manipulowania kursem złotego, ale w ocenie fachowców (m.in. profesorów Marka Belki, byłego szefa NBP, Anny Czarczyńskiej i Witolda Orłowskiego) są słabe, bo choć to praktyka zakazana, robią to banki centralne na całym świecie – od czasu do czasu, w porozumieniu z rządem.

Czy Sejm znajdzie wystarczającą liczbę głosów, żeby postawić Glapińskiego przed TS? Przed wspomnianym wyrokiem Trybunału nieKonstytucyjnego wymagana była do tego większość kwalifikowana. I taką koalicja rządząca ma. Ale po wyroku TnK ten przepis został z ustawy usunięty. PiS twierdzi, że to znaczy, że teraz trzeba większości konstytucyjnej, czyli trzech piątych głosów, a tylu koalicja nie zbierze. Ale większość trzech piątych wcale z sentencji wyroku nie wynika. Jest wprawdzie w uzasadnieniu, ale PiS zawsze twierdził, że wiążąca jest tylko sentencja… Zatem pewnym skutkiem wyroku TnK jest tylko tyle, że nie jest określone, jaką większością stawia się szefa NBP przed Trybunałem. A więc równie dobrze można przyjąć, że zwykłą. Zobaczymy, co będzie.

Zarzuty, które stawia się w projekcie szefowi NBP, są głównie natury kryminalnej i dotyczą nieracjonalnego wydawania publicznych pieniędzy: na nienależne nagrody, na zawyżone wynagrodzenia, na banery reklamujące rząd PiS czy przenoszące winę za porażki rządów PiS na Unię Europejską. Za to prezes Glapiński nie musi stawać przed Trybunałem Stanu – wystarczy zwykła prokuratura i sąd. Podobnie zarzut blokowania członkom Rady Polityki Pieniężnej dostępu do pewnych dokumentów. Tylko że wtedy nie będzie rozliczeniowego spektaklu, który jest elementem społecznego poczucia, że oto dzieje się sprawiedliwość (oczywiście jeśli nie będzie to kolejny pokaz sejmowej pyskówki). I po to potrzebny jest wniosek o postawieniu szefa NBP przed pracującą jawnie, w świetle kamer, komisją odpowiedzialności konstytucyjnej. Prace tej komisji i jej raport to może być cały uzysk. Materiały komisji będą też przydatne prokuraturze do aktu oskarżenia. A gdyby jednak Adam Glapiński stanął przed Trybunałem, to jego przewodnicząca – z mocy prawa jest nią I prezeska SN Małgorzata Manowska – wyznaczy skład sądzący, np. z członków rekomendowanych przez PiS. I np. odległe terminy rozpraw. Więc proces przed Trybunałem to raczej mało realna forma rozliczenia prezesa Glapińskiego.

W ogóle rozliczenie rządów PiS bardziej prawdopodobne jest w drodze odpowiedzialności karnej niż konstytucyjnej. A już najbardziej – w drodze odpowiedzialności cywilnej i odszkodowawczej.

Winy i kary

Odpowiedzialność karna rysuje się za trzy typy przestępstw: urzędnicze (nadużycia władzy), niegospodarność i za przestępstwa przeciwko wymiarowi sprawiedliwości. Urzędnicze dotyczyć będą łamania praw obywatelskich, np. nieuzasadnionej inwigilacji, brutalnych akcji policji przeciwko demonstrantom, z wykręcaniem rąk i gazowaniem posłanek, prześladowań sędziów i prokuratorów, polegających na łamaniu ich praw pracowniczych (karne delegacje, zawieszanie w czynnościach, nieprzywracanie do pracy wbrew orzeczeniom sądów). Niegospodarność to wydawanie publicznych pieniędzy, np. na nieuzasadnione nagrody, zakupy (maseczki), inwestycje (np. zbudowana i zburzona elektrociepłownia w Ostrołęce). A także afer z dotacjami, jak „willa plus" ministra edukacji Przemysława Czarnka, Narodowe Centrum Badań i Rozwoju (w tej aferze już trwa śledztwo) czy będący właśnie na tapecie Fundusz Sprawiedliwości.

Rozliczenie rządów PiS bardziej prawdopodobne jest w drodze odpowiedzialności karnej niż konstytucyjnej. A już najbardziej – w drodze odpowiedzialności cywilnej i odszkodowawczej.

Dochodzenie, które prowadzi prokuratura w sprawie Funduszu, dotyczy ustawiania konkursów. Spektakularny przykład to: najpierw 50, a finalnie 100 mln zł dla fundacji księdza Michała O. na budowę „ośrodka pomocy ofiarom przestępstw", który w istocie był gmachem hotelowo-konferencyjnym wyposażonym w studia nagraniowe i salę widowiskową. Ośrodek budowała firma związana z ojcem księdza O., znajomym Zbigniewa Ziobry (brat księdza O. jest prezesem Alior Banku). Budowie towarzyszył dziwny obieg pieniędzy: z Funduszu Sprawiedliwości do fundacji księdza O. Profeto, z Profeto do firmy budowlanej, z niej do zakonu sercanów księdza O. (choć nie ma dowodu, że to te same pieniądze).

Ale sednem sprawy jest mechanizm wygrania konkursu na dotację przez księdza Michała O. Jego fundacja Profeto jako jedyna przystąpiła do konkursu, który ogłoszono dyskretnie, z krótkim terminem na zgłoszenia. Fundacja prowadziła działalność medialną (coś w rodzaju medialnego biznesu Tadeusza Rydzyka), a wnioskowała o dotację na ośrodek pomocy dla ofiar przestępstw. Ośrodek miał zostać wybudowany za pieniądze z Funduszu i dotowany przez dwa lata. A potem prawdopodobnie stałby się częścią biznesu księdza O.

Projekt nie spełniał konkursowych warunków, ale członkowie komisji byli naciskani, żeby, naciągając kryteria, zaopiniować wniosek pozytywnie – wynika z zeznań pracownika Ministerstwa Sprawiedliwości odpowiedzialnego za Fundusz. Sfałszowano też (czy jak się to elegancko mówi: poświadczono nieprawdę) dokumenty konkursowe. Wreszcie: przyznawano kolejne transze i kolejne dotacje bez monitorowania postępów realizacji projektu.

Ten mechanizm jest patologią charakterystyczną także dla innych konkursów grantowych organizowanych przez ministerstwa za czasów PiS. I dla działalności Narodowego Instytutu Wolności – Centrum Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego, tworu wymyślonego, zarządzanego i powołanego specjalnie do centralnego rozdawania pieniędzy organizacjom pozarządowym przez wicepremiera Piotra Glińskiego. Problem w tym, że przepisy regulujące proces przyznawania dotacji były celowo niejasne, pełne luk i uznaniowości, procedura dziurawa, umożliwiająca manipulacje kryteriami, a na koniec, gdy manipulacje nie wystarczyły – po prostu unieważniano konkurs i ogłaszano nowy. Była też możliwość arbitralnej zmiany wyniku konkursu przez ministra i przyznanie dotacji – nazwijmy to – z wolnej ręki. Może więc być trudno udowodnić złamanie prawa – stąd pewność siebie byłego wiceministra Wosia. Z tym że w przypadku fundacji Profeto jest „świadek koronny" i dokumenty potwierdzające zmowę organizatorów

konkursu i beneficjenta. A w każdym przypadku brak nadzoru nad wydatkowaniem pieniędzy z dotacji będzie przestępstwem niedopełnienia obowiązków.

Polem do zbadania są pieniądze wydawane poza budżetem, poprzez tworzenie rozmaitych funduszy, państwowych fundacji czy „instytutów". Czy jednak dojdzie do pociągnięcia kogokolwiek do odpowiedzialności, nie wiadomo, bo to – patrz wyżej – jest możliwe jedynie, jeśli złamano prawo. Tymczasem ten drenaż budżetu odbywał się metodą ustaw i uchwał Sejmu. Jeśli pieniądze przekazywano, wydatkowano i rozliczano zgodnie z tym prawem, nie ma przestępstwa. Z kolei parlamentarzyści nie odpowiadają ani karnie, ani cywilnie za stanowienie prawa umożliwiającego nadużycia. Jeśli prowadzą one do ukrywania długu publicznego i wyjęcia spod kontroli parlamentu dużej części budżetu państwa – nadaje się to na odpowiedzialność konstytucyjną, ale jest mało prawdopodobne z przyczyn, o których było już wyżej.

Przestępstwa przeciwko wymiarowi sprawiedliwości to kategoria, w której odpowiadać mogą pisowscy prezesi sądów i inni funkcyjni, w tym pierwsza prezes SN Małgorzata Manowska. To odpowiedzialność za dezorganizację wymiaru sprawiedliwości szykanami wobec sędziów i prokuratorów. Modelowym przykładem jest tu – odwołany niedawno przez ministra Adama Bodnara – prezes Sądu Apelacyjnego w Warszawie i rzecznik dyscyplinarny ministra sprawiedliwości Piotr Schab. Wśród jego licznych osiągnięć jest zawieszenie w czynnościach, a potem przeniesienie do wydziału pracy trzech doświadczonych sędzi karnych, co spowodowało paraliż wydziału karnego SA w Warszawie. A krytykowała to pierwsza prezes SN Manowska, odpowiedzialna z kolei za udaremnianie sprawowania wymiaru sprawiedliwości przez „aresztowanie" akt rozmaitych spraw i za niewykonywanie orzeczeń TSUE i ETPCz, w szczególności za niewstrzymanie działalności Izby Dyscyplinarnej SN po orzeczeniu przez TSUE jej tymczasowego zawieszenia. Albo za niezwołanie od trzech lat zgromadzenia ogólnego sędziów SN.

Ta sama odpowiedzialność grozi szefom prokuratur: za dezorganizację prokuratur, za blokowanie jednych śledztw, a wszczynanie innych – nieuzasadnionych, ale motywowanych politycznie. A także Zbigniewowi Ziobrze i byłemu prokuratorowi krajowemu Bogdanowi Święczkowskiemu.

Są osoby, których pociągnięcie do odpowiedzialności lub nie może być symbolem rozliczenia państwa PiS. Tak jak symbolem bezkarności PRL było niezakończenie procesów gen. Jaruzelskiego.

Sędziowie i prokuratorzy dobrej zmiany spodziewają się postępowań dyscyplinarnych. Adam Bodnar powołał już w tym celu rzeczników dyscyplinarnych ad hoc. Ale jest problem: gdzie mieliby kierować sprawy, skoro Izba Odpowiedzialności Zawodowej SN składa się częściowo z neosędziów?

Duda, Morawiecki, Kaczyński…

Są osoby, których pociągnięcie do odpowiedzialności lub nie może być symbolem rozliczenia państwa PiS. Tak jak symbolem bezkarności PRL było niezakończenie procesów gen. Jaruzelskiego. Wydaje się, że prawnie prezydenta Dudę można by rozliczyć za ignorowanie wyroków sądów dotyczących mianowań sędziowskich z udziałem neoKRS: wyroków NSA, SN, TSUE i ETPCz. Ale wątpliwe, czy w dającej się przewidzieć przyszłości znajdzie się większość trzech piątych potrzebna do postawienia go przed Trybunałem Stanu. Mateusz Morawiecki spowodował straty w budżecie państwa, m.in. zarządzając – bez podstawy prawnej – przygotowania do wyborów kopertowych. To zarzut karny, więc może się nim zająć prokuratura, a większości do uchylenia mu immunitetu nie zabraknie. Jarosław Kaczyński odpowiada za czas, gdy był wicepremierem. Być może wyjdą na jaw fakty dotyczące jakiegoś przekroczenia uprawnień, np. w sprawach inwigilacji. Choćby zlecania czy aprobowania bezprawnych działań. Minister sprawiedliwości-prokurator generalny Adam Bodnar mówi, że możemy się spodziewać w najbliższym czasie nowych informacji.

Zbigniew Ziobro mógłby – jeśli zdrowie mu pozwoli – odpowiadać karnie za niegospodarne rozdysponowywanie Funduszem Sprawiedliwości, w tym zasilanie nim partyjnych eventów i kampanii Solidarnej Polski, brak kontroli nad Funduszem i dotowanie służb specjalnych (zakup Pegasusa), które mogą być finansowane tylko z budżetu państwa. Można się też zastanowić nad jego odpowiedzialnością konstytucyjną za groźną dla państwa dezorganizację sądów i prokuratury.

Julia Przyłębska oprócz manipulowania składami sądzącymi – po niedawnym wyroku Trybunału Praw Człowieka ze skargi Stowarzyszenia Watchdog Polska – może się spodziewać odpowiedzialności karnej za blokowanie dostępu do informacji publicznej. Już ma kłopoty, bo NIK zarzucił jej nieprawidłowości w rozliczeniu budżetu za zeszły rok: zapłata za dwie ekspertyzy (w sumie ponad 100 tys. zł), które nie powstały. A Państwowa Inspekcja Pracy kontroluje legendarne zaległe urlopy – te, za które, kończąc kadencję w TK, niektórzy sędziowie, w tym ona sama, zapewne wezmą solidny ekwiwalent pieniężny.

Nie tylko kryminał

Prawdopodobnie większość rozliczeń ludzi pisowskiej władzy zainicjują osoby prywatne. Jeden z najbardziej prześladowanych prokuratorów, współzałożyciel i były prezes stowarzyszenia prokuratorów Lex Super Omnia Krzysztof Parchimowicz (teraz w stanie spoczynku) ocenia, że trzeba się liczyć z kilkuset sprawami zgłoszonymi przez mobbingowanych prokuratorów, do czego on sam już walnie się przyczynia (złożył kilka doniesień do prokuratury). Pewnie dwa razy więcej będzie takich doniesień ze strony sędziów. Do tego trzeba dodać sprawy cywilne – za prześladowania osób broniących praworządności tak w sądach i prokuraturach, jak na ulicy. Można się spodziewać dziesiątek pozwów o ochronę dobrego imienia. Będzie ich tym więcej, im mniejszą aktywność w rozliczaniu wykaże państwo. Będą też procesy o odszkodowania. Np. afera wizowa zablokowała przyznawanie wiz cudzoziemskim pracownikom i wiele przedsiębiorstw, nie tylko budowlanych, ponosi straty. Zapowiadają pozwy o odszkodowania przeciwko Skarbowi Państwa. A państwo może wyegzekwować od odpowiedzialnych za aferę funkcjonariuszy zwrot tych odszkodowań na podstawie przepisów o regresie.

Kolejna fala odpowiedzialności funkcjonariuszy państwa PiS może być związana z nielegalną inwigilacją Pegasusem. Minister-prokurator generalny Adam Bodnar mówi, że już wysłano pisemne zawiadomienia do pokrzywdzonych. A ci mają prawo pozwać winnych naruszenia ich prywatności o odszkodowanie. Można się też spodziewać pozwów o ochronę dóbr osobistych grup poniżanych w wypowiedziach polityków i funkcjonariuszy za swoje pochodzenie i odmienność.

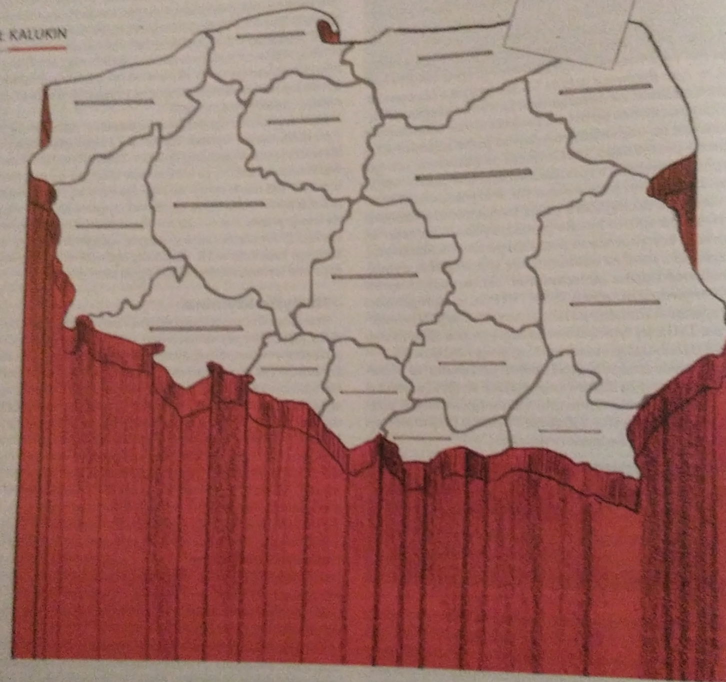
Sprawy mogą iść w tysiące… Co, jeśli znękany „reformami" Ziobry wymiar sprawiedliwości sparaliżują dodatkowo sprawy rozliczeniowe? Zatkają prokuraturę i sądy? To całkiem realna perspektywa. Niemniej, „naprawienie krzywd" jest konieczne.

EWA SIEDLECKA

To była kampania w jakimś sensie bezobjawowa i przez to paradoksalna. Miała przecież poprzedzać kolejne z ważnych wyborów, które wymagają ponadprzeciętnej mobilizacji. Co więc się wydarzyło i jakie są prognozy przed wyborami samorządowymi?

Dziwne wybory

RAFAŁ KALUKIN



ILUSTRACJA ARKADIUSZ HAPKA

Każdy z głównych aktorów miał dobre powody, żeby potraktować tę kampanię poważnie. Dla koalicji 15 października w pierwszej kolejności to oczywiście szansa, żeby podtrzymać dotychczasową dynamikę polityczną i zepchnąć PiS do jeszcze głębszej defensywy. Przy okazji przetasowane zostaną karty wewnątrz rządzącego układu, co powinno się liczyć w przedbiegach do przyszłorocznych wyborów prezydenckich. Z kolei prawicy Kaczyńskiego wybory mogą trochę pomóc opanować wewnętrzny chaos i ponownie zmobilizować rozprzężony po oddaniu władzy elektorat. Możliwości powrotu do poważnej gry szuka wreszcie zmarginalizowana i trapiona rozłamami Konfederacja.

I rywalizacja o takie stawki oczywiście się toczy, chociaż niekoniecznie w ramach kampanii. Toczyła się ona trochę na marginesie polityki, jako wymuszony kalendarzem ornament, mało kogo w istocie jednak obchodzący. Jakże inaczej, niż w 2018 r., kiedy bitwa o samo-

rząd wciągała wyjątkową dramaturgią. Ówcześni decydenci z premierem Morawieckim na czele krzątali się po kraju, tak jakby codzienne obowiązki rządzenia nagle przestały ich dotyczyć. Wzięte na celownik władzy PSL z chłopskim uporem godnym bohatera „Placówki" tygodniami opierało się zmasowanemu ostrzałowi PiS. A już rywalizacja Rafała Trzaskowskiego z Patrykiem Jakim o Warszawę stała się niemalże epopeją uwalniającą ogromne polityczne emocje.

Rachitycznie i przewidywalnie

Tyle że tamte wybory dopiero otwierały polityczny cykl po trzyletniej przerwie. Partie miały więc czas na przegrupowanie szeregów i przede wszystkim odbudowanie budżetów. Teraz jest zupełnie inaczej: po rekordowo długiej i intensywnej kampanii do parlamentu partyjne budżety są wydrenowane i bardziej już trzeba spłacać zobowiązania, niż zaciągać kolejne. Ograniczano się więc do rutynowych konwencji partyjnych – które zresztą najczęściej szybko roztapiały się w informacyjnym szumie – oraz agitacji w terenie.

Inna sprawa, że zazwyczaj ogniskująca najwięcej uwagi prezydencka rywalizacja w miastach jest w tym roku wyjątkowo przewidywalna. Co widać po debatach z udziałem kandydatów, które przechodzą bez większego echa. Czemu trudno się dziwić, skoro jedynie w Krakowie i Kielcach wynik jest kwestią otwartą. To jednak efekt bezkrólewia, nagłej próżni po odejściu dotychczasowych prezydentów. Ale już tam, gdzie oni startują, w najlepszym razie pozostaje spekulować, czy rozprawią się z konkurencją już w pierwszej rundzie, czy będą musieli pomęczyć się w dogrywce. To casus Rafała Trzaskowskiego w Warszawie, Aleksandry Dulkiewicz w Gdańsku, Jacka Jaśkowiaka w Poznaniu, Jacka Sutryka we Wrocławiu, Hanny Zdanowskiej w Łodzi, Krzysztofa Żuka w Lublinie, Tadeusza Truskolaskiego w Białymstoku, Piotra Krzystka w Szczecinie i pewnie jeszcze wielu innych. Zanosiło się na to zresztą już od dawna, toteż nie było wielu chętnych do rzucania im rękawicy, zwłaszcza jeśli chodzi o polityków poważnych, mających coś do stracenia. Stawki w miastach zaroiły się zatem od partyjnych dublerów bądź postaci ekscentrycznych, co przewagę dotychczasowych włodarzy uczyniło jeszcze bardziej miażdżącą.

Widać to było doskonale choćby w trakcie niedawnej debaty warszawskiej w TVP Info. Z Trzaskowskim w roli głównej, który po prostu był skazany na zwycięstwo. Już choćby z tego powodu, że odpowiadając na pytania obsesyjnie na nim skupionych konkurentów, dostał o wiele więcej czasu na prezentację i polemikę. Przede wszystkim jednak występował w swojej naturalnej roli, nikogo nie udawał, mógł odwoływać się do realnych osiągnięć. Inaczej niż jego główni rywale, którzy głównie starali się zacierać ideologiczne kontury, żeby dotrzeć z pragmatycznym przekazem do szerszych grup wyborców. Im bardziej jednak Tobiasz Bocheński z PiS próbował uciekać od prawicowej ortodoksji, a Magdalena Biejat z Razem zrzucała z siebie skojarzenia z „lewactwem", tym trudniej im było wyróżnić się na tle egzotycznej reszty, w której oczywiście przodował błaznujący Janusz Korwin-Mikke.

Nie sprzyjało rywalizacji o samorządy również i to, że kampania była rekordowo krótka; zakończenie rejestracji kandydatów i list do samego aktu głosowania dzieliły raptem trzy tygodnie. A jakby tego brakowało, została przełamana pauzą wielkanocną, która zabrała ostatni weekend rywalizacji, kiedy kandydaci zazwyczaj wyciskają z siebie ostatnie poty. Nie było więc czasu rozpędzić się, zaskoczyć przeciwnika nieoczekiwanym zwodem, namieszać w stawce. Toteż sztaby nie przesadzały z planowaniem strategicznym, uciekając w kampanijną rutynę. Po raz pierwszy od lat kampania wyborcza nie dała jakoś szczególnie zarobić ośrodkom badania opinii. Partie zlecały swoje badania w najlepszym razie sporadycznie, głównie zresztą cząstkowe, a często po prostu posiłkowano się ogólnodostępnymi sondażami w mediach. A już najtrudniej prognozować podział mandatów w sejmikach, mając do dyspozycji nawet solidne badania preferencji partyjnych w skali kraju. Tymczasem bodaj tylko PiS pokusił się o kosztowną analizę rozkładów poparcia w rywalizacji o sejmiki wojewódzkie, opartą na próbach lokalnych.

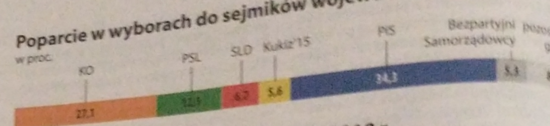
Wielka wiktoria?

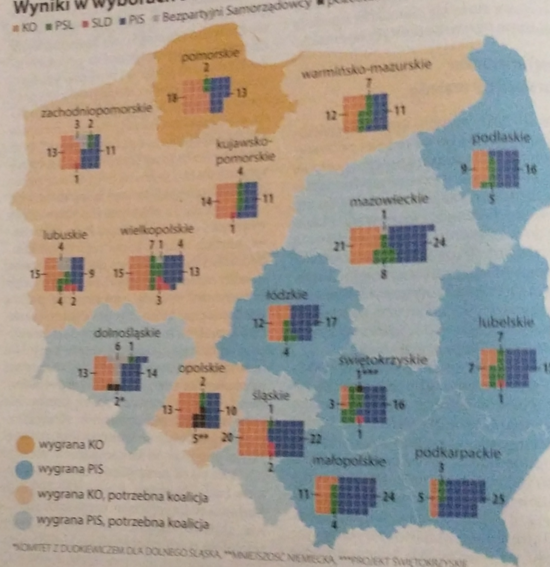
A wiadomo przecież, że to właśnie wynik do sejmików najbardziej interesuje partyjnych liderów, bo na tej podstawie opinia publiczna wydaje werdykt, kto wygrał wybory samorządowe. Do pewnego stopnia słusznie, gdyż to na tym poziomie ogólnopolska emocja polityczna odciska się w największym stopniu. Co bynajmniej nie znaczy, że istnieje proste przełożenie. Wybory samorządowe przyciągają bowiem do urn rozmaite grupy wyborców, w tym również specyficzne, zainteresowane przede wszystkim rozdaniem w gminach i nieprzywiązujące większej wagi do nazwisk na pozostałych kartach do głosowania, chociaż i tam stawiające krzyżyki.

Tradycyjnie miało na tym zyskiwać przede wszystkim PSL, którego kandydaci na wójtów przy okazji promowali kandydatów partyjnych na wyższych szczeblach samorządowych. Tym sposobem Stronnictwo wprowadzało dodatkową pulę głosów, dzięki czemu uzyskiwało ponadwymiarowe wyniki w sejmikach, kosztem wielkich partii. Bo już PiS i KO zazwyczaj traciły po kilka punktów w porównaniu z sondażami partyjnymi. Ale czy tak będzie i teraz? Koalicyjne listy Trzeciej Drogi w powiatach i zwłaszcza sejmikach ograniczają ludowcom pole manewru. W gminach startują pod szyldem własnej partii, ewentualnie komitetów lokalnych. To jednak nie pozwalało im promować na swoich materiałach wyborczych nikogo z Trzeciej Drogi, co wykluczyło efekt synergii. W tym roku trudniej więc przewidywać, jak zachowają się owi specyficzni wyborcy, którym wielkie wektory polityki słabiej przemawiają do wyobraźni, a nie mają już dotychczasowej ściągawki.

Źródłem dodatkowego zamętu będą też pewnie Bezpartyjni Samorządowcy, którzy w poprzednich wyborach nieźle zamieszali, a teraz z kolei się podzielili. Nigdy zresztą nie tworzyli zwartego środowiska, to przede wszystkim odwołujący się do potocznych skojarzeń szyld. W tych wyborach będzie on zdublowany na sejmikowych kartach do głosowania, pojawiając się w roli koalicjanta Konfederacji oraz startującego niezależnie stowarzyszenia o tej samej nazwie. Co, jak można się spodziewać, dla niejednego potencjalnego wyborcy stanie się źródłem konfuzji. Tym trudniej przewidywać wynik rosnącej ostatnio w ogólnokrajowych badaniach „Konfy", której liderzy na wszelki wypadek wolą studzić apetyty na dwucyfrowy wynik.

Ale nawet wielkie partie chyba też nie do końca wiedzą, na czym stoją. Co widać było po zmienności nastrojów w szeregach KO. Kiedy kampania ruszała, zapanował entuzjazm i mówiło się nawet o przejęciu wszystkich sejmików, łącznie z podkarpackim. Odbicie bastionu prawicy od początku wydawało się jednak mało realne, chociaż tonowanie nastrojów dopiero się zaczynało i dzisiaj słychać, że już 11–12 większości sejmikowych będzie sukcesem. Ogólne trendy sondażowe wyraźnie jednak zahamowały. Widać, że KO nie ma już poważnych rezerw, żeby trwale wyrosnąć ponad 30 proc. Z kolei Trzecia Droga ▶





▶ po awanturze o aborcję straciła kilka punktów, a jej sugestie o przechwytywaniu rozczarowanych PiS niezmiennie pozostają mrzonką. Za to ugrupowanie Kaczyńskiego chyba już przetrwało trudny okres po wyborach, poprawiło zdolności mobilizacyjne i idzie z KO łeb w łeb.

Tyle że do końca nie wiadomo, jak to wszystko wpłynie na podział mandatów sejmikowych. Przy braku porządnej prognozy pozostają mniej lub bardziej trafione przeliczenia, w których specjalizują się niektórzy analitycy. Chociażby Marcin Palade, który przewiduje dziesięć sejmików dla koalicji 15 października i sześć dla PiS (ewentualnie w koalicji z Konfederacją), chociaż asekuracyjnie zaznacza, że poza Podkarpaciem żaden region z pisowskiej szóstki nie jest pewniakiem. Większości wiszą tam bowiem na 1–2 mandatach, co przy wybitnie szacunkowej metodzie oznacza tyle, że zdarzyć się może wszystko. Zdobycie większości sejmików przez koalicję 15 października raczej wydaje się pewne, niemniej może się z tego urodzić wielka wiktoria albo niewielki jedynie postęp w stosunku do wyborów z 2018 r., kiedy obie strony podzieliły się sejmikami po połowie (później zdrada radnego Kałuży zaburzyła równowagę). I paradoksalnie oba scenariusze są możliwe przy zbliżonym wyniku procentowym.

Remis ze wskazaniem?

W jakimś sensie już teraz można zresztą postawić tezę, iż niezależnie od końcowych wyników żadna z wielkich sił nie będzie w niedzielę w pełni usatysfakcjonowana. O powrocie wielkiej euforii na miarę 15 października nie ma oczywiście mowy. Było to doświadczenie jednorazowe, zresztą stawka też już trochę spadła, a do tego proza rządzenia w koalicji skutecznie wypłukała sporą część wspólnotowych odruchów. Koalicjanci grają od jakiegoś czasu głównie na siebie, eskalując wewnętrzne różnice i podziały. Zaczęła Trzecia Droga postulatem zniesienia progresji składki zdrowotnej dla przedsiębiorców, otwarcie szantażując tym partnerów. Później z kolei zaatakowała aborcyjną kartą Lewica, skutecznie obnażając piętę achillesową Hołowni. Tyle że sama okazała się zbyt słaba, żeby coś na tym zyskać. Swoją grę prowadził też oczywiście premier Tusk, który najpierw wycofał się z negocjacji nad wspólnym startem KO z Lewicą, a później zaapelował do wyborców, żeby głosowali zgodnie z własnymi przekonaniami. Czyli już nie taktycznie bądź pod wpływem nagłych afektów na Trzecią Drogę, tylko na realnego hegemona.

I temu miały też pewnie służyć działania wzmacniające wielką polaryzację z PiS na ostatniej kampanijnej prostej. Obserwowaliśmy w ostatnim czasie ofensywę komisji śledczych, chociaż z połowicznym skutkiem. Zapewne nieprzypadkowe było też otwarcie pola konfliktu z prezydentem Dudą o ambasadorów już nazajutrz po powrocie obu przywódców z Waszyngtonu; pożądana w dyplomacji współpraca najwyraźniej kolidowała z logiką polityki krajowej. Potem jeszcze doszedł wniosek o postawienie Adama Glapińskiego przed Trybunałem Stanu, a na koniec spektakularne rewizje u Zbigniewa Ziobry. W okresie przedwyborczym wszystkie te zdarzenia ułożyły się w dosyć czytelny wzór.

Chociaż można mieć oczywiście wątpliwości, czy po umiarkowanie udanej rządowej „studniówce" Tuskowi uda się raz jeszcze zmobilizować poparcie wokół projektu rozliczenia rządów PiS. Prawne i polityczne konieczności mogą się wydawać bezsporne, ale społeczna percepcja chyba już zaczyna się rozpraszać. A jeśli nawet takie skupienie powróci, to na jak długo? Swoją drogą takie miecze zawsze są obosieczne, gdyż mobilizują również wyborców strony przeciwnej, o czym przekonał się nie tak przecież dawno tropiący „rosyjskie wpływy" Kaczyński. Widok „prześladowanego" Ziobry może więc pomóc w podciągnięciu wyników PiS, chociaż nic nie wskazuje, żeby funkcjonująca w logice oblężonej twierdzy formacja była w stanie trwale wyjść z dołka, choćby nawet w starciu o sejmiki raz jeszcze udało jej się wspiąć na najwyższy stopień podium.

Nie ulega za to wątpliwości, że niedzielne wybory odcisną się na relacjach

wewnątrzkoalicyjnych. Na dłuższą metę wpływając na cały ten układ polityczny. Jego słabym ogniwem ponownie stał się Hołownia, gubiący od jakiegoś czasu punkty w sondażach partyjnych i rankingach osobistej popularności. Wiele będzie jednak zależało od tego, jak kandydaci Polski 2050 na listach Trzeciej Drogi poradzą sobie w wyborach sejmikowych. Partnerzy podzielili się miejscami pół na pół, ale to PSL – nawet ukryte pod koalicyjnym szyldem – wciąż ma dużo większe możliwości promowania swoich ludzi. Sama kampania skądinąd pokazała, że żółto-zielona koalicja to wciąż jedynie taktyczne porozumienie. Może i obaj liderzy chętnie pokazują się razem, ale w terenie kandydaci obu partii uprawiali już własne grządki.

Przewidywany podział sejmików w województwach po wyborach w 2024 r. na podstawie ostatnich sondaży



Rozjazd na Trzeciej Drodze

Średnia sondażowa Trzeciej Drogi to obecnie nieco ponad 12 proc., chociaż w niektórych badaniach zdarzają się nawet spadki poniżej 10 proc. Widać więc regres w stosunku do wyborów parlamentarnych (14,4 proc.), a jeszcze bardziej sondaży z przełomu roku, które dawały sojuszowi Hołowni i Kosiniaka-Kamysza poparcie w granicach 17–18 proc.

O trudnościach z przełożeniem wyników ogólnopolskich na sejmikowe była już mowa, chociaż obawy w PSL muszą być spore, skoro pojawiły się zakulisowe doniesienia o polisie ubezpieczeniowej ludowców. Kosiniak-Kamysz miał umówić się z Tuskiem, że jeżeli sejmikowy wynik Trzeciej Drogi będzie poniżej oczekiwań, do czerwcowych eurowyborów PSL pójdzie wspólnie z KO. Co w sumie byłoby naturalne, gdyż obie formacje należą do tej samej frakcji EPP. Tylko co wtedy z Polską 2050, która w pojedynkę mogłaby mieć problem z przekroczeniem progu, a to już prosta droga do zniweczenia prezydenckich ambicji Hołowni? Też dostałby swoją pulę na listach KO, tyle że jego kandydaci musieliby złożyć deklarację, że w razie wyboru przystąpią do EPP. Tyle że Polska 2050 należy przecież do liberalnej frakcji Renew Europe, więc byłby to czytelny akt podporządkowania, w jakimś sensie poddańczy.

Tusk mógłby w ten sposób upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: dodatkowo umocnić swoją pozycję na europejskiej scenie oraz osłabić groźnego rywala w wyścigu o prezydenturę. A w dalszej przyszłości być może całkiem go wyeliminować. Wygląda zresztą na to, że Hołownia popełnił poważny błąd przedwczesnym odkryciem kart i tak jednoznacznym akcesem do prezydenckiego wyścigu. Nie zachował sobie bowiem żadnego planu awaryjnego na wypadek niepowodzenia. Cóż uczyni, jeżeli w prezydenckich rankingach trwale już osiądzie na poziomie kilkunastu procent, a w rywalizacji po dawnemu zaczną dominować KO i PiS?

Czasem lepiej w porę się wycofać, niż brnąć w nieuchronną klęskę, co przed laty przydarzyło się niezmiernie upartemu w sprawie prezydentury Marianowi Krzaklewskiemu. Tyle że Hołownia już tyle zainwestował w przyszłoroczne wybory, że chyba ciężko byłoby się z nich wycofać bez ujmy na honorze i prestiżu. Tym bardziej że Polska 2050 to bardziej ruch wyborczy lidera niż ustabilizowana partia. Czy nie zacznie się jednak rozpraszać, kiedy cel będzie się oddalał? A co gorsza po wyborach prezydenckich Hołownia straci przecież rotacyjny fotel marszałka, czyli swój największy atut. To może się okazać gwoździem do trumny jego politycznej kariery.

Oczywiście są to daleko idące spekulacje, a możliwych scenariuszy można pisać dużo więcej. Sporo jeszcze wydarzy się na krajowej politycznej huśtawce, jeszcze więcej w burzliwym otoczeniu międzynarodowym. Wybory samorządowe same w sobie z pewnością nie wywołają żadnego przełomu, chociaż mogą uruchomić zalążkowe dzisiaj procesy. Z tego powodu warto też zwrócić uwagę na przyszłe zalecenia Tuska w sprawie zawierania sejmikowych koalicji. Bo w paru regionach niewątpliwie pojawi się możliwość budowania przez KO większości z jednym tylko partnerem, czyli bez udziału Lewicy bądź rzadziej Trzeciej Drogi. Tymczasem z platformerskich struktur już teraz dobiegają sygnały, że partia nie jest skłonna dzielić się stanowiskami w zarządach wojewódzkich, szczególnie gdy nie jest to konieczne. Stoi za tym przekonanie, że rachityczna personalnie Polska 2050 dostała już o wiele za dużo jak na swoje możliwości.

Problem w tym, że sejmikowe wypychanie rządowych koalicjantów do opozycji obok PiS raczej nie poprawi współpracy na górze. Niewykluczone więc, że Tusk będzie naciskał na regionalnych baronów, żeby mimo wszystko poszerzali sejmikowe układy, choćby kosztem niezadowolenia w partii. Ale równie dobrze może też rozłożyć ręce i oświadczyć koalicyjnym partnerom, że regiony same się powinny dogadywać. A to już będzie sygnał, że premier powoli traci nadzieję na rychłe rozbicie PiS i szykuje się do wojny pozycyjnej na wyczerpanie. Zaczynając jednak od uporządkowania własnych szeregów, wzmocnienia własnego przywództwa i urealnienia koalicyjnej hierarchii.

RAFAŁ KALUKIN





Dwaj panowie MM

Czy Mateusz Morawiecki z Marcinem Mastalerkiem pod patronatem Andrzeja Dudy planują założyć własną centroprawicową partię?

ANNA DĄBROWSKA, WOJCIECH SZACKI

Deklaracja Jarosława Kaczyńskiego o tym, że w przyszłym roku zamierza ponownie ubiegać się o prezesurę partii, nie do końca uspokoiła sytuację na prawicy. Im dobitniej Kaczyński dekretuje jedność obozu, tym mniej ją widać.

Coraz więcej polityków prawicy zachowuje się tak, jakby prezesa już nie było – albo za chwilę miałoby go zabraknąć. Przybywa osób, które dumają nad przyszłością środowiska (i swoją), nad tym, jaką drogą można by wrócić do władzy, z kim by tu zawrzeć koalicję, a kogo z własnej formacji najlepiej byłoby się pozbyć.

W pewnym uproszczeniu mapa polityczna Zjednoczonej Prawicy wygląda tak: na prawej stronie umacnia się Przemysław Czarnek, który ma to, czego ewidentnie brakuje wielu politykom PiS; energię, umiejętność czytania emocji wyborców PiS i mówienia ich językiem. Gdzieś obok Czarnka są ziobryści (w ostatniej kłótni Suwerennej Polski z otoczeniem Morawieckiego Czarnek stanął po stronie ziobrystów). W tych okolicach są też tacy politycy jak Jacek Sasin, Beata Szydło czy Elżbieta Witek; do niedawna potężni, trochę niezależni od Nowogrodzkiej (próbowali bez skutku obalić Morawieckiego w końcówce rządów PiS), dziś z pewną zazdrością popatrujący na Czarnka (jak słyszymy od posłanki PiS: „nie ma już obozu Szydło, jest obóz Czarnka"), ale zasadniczo wiosłujący w tym samym, co były minister edukacji, kierunku.

Po drugiej stronie mapy są Morawiecki i jego ludzie, ale także Andrzej Duda z „wiceprezydentem", jak się trochę z kpiną mówi w PiS o Mastalerku.

A pośrodku jest Nowogrodzka, która usiłuje nad wszystkimi prowincjami zapanować. Odmłodzić i zreformować partię, ale przede wszystkim utrzymać ją w jednym kawałku. Dba o to pod okiem Kaczyńskiego nowy szef struktur Piotr Milowański (o dziwo lubiany przez wszystkie frakcje, m.in. za to, że nie jest swoim poprzednikiem Krzysztofem Sobolewskim).

Przypatrzmy się tym razem tej lewej stronie prawicy – dwóm panom MM.

Morawiecki walczący

Ktoś podobno powiedział Morawieckiemu, że jego błędem za czasów premierowania było przesadne podkreślanie, że jest jedynie posłusznym wykonawcą poleceń Kaczyńskiego. Po utracie władzy były premier postanowił to zmienić i pozycjonuje się teraz jako potencjalny lider prawicy. Temu służyła deklaracja w Radiu Zet, że chciałby się ubiegać o władzę w PiS, oczywiście po dobrowolnym odejściu na emeryturę Kaczyńskiego.

Ta wypowiedź miała też ułatwić budowę sejmowego zaplecza. – *Posłowie powinni mieć pewność, że mogą się na kogoś orientować* – tłumaczy polityk bliski byłemu premierowi.

Konsolidacji otoczenia Morawieckiego służyła też niedawna awantura z ziobrystami. Na krytykę europosła Suwerennej Polski Patryka Jakiego bardzo ostro odpowiedzieli morawiecczycy. Były rzecznik rządu Piotr Müller zaatakował ziobrystów za „radykalizm", który jakoby kosztował PiS utratę części wyborców, a były szef Kancelarii Premiera Michał Dworczyk dorzucił, że sojusz z Suwerenną Polską przypomina układ pasożytniczy i że jak ziobrystom się w nim tak nie podoba, to mogą odejść. Chwilę później poszedł przeciek z posiedzenia prezydium komitetu politycznego PiS, że Morawiecki postulował wyrzucenie posłów Suwerennej Polski z klubu. Pomysł raczej niewykonalny (bo podważałby dogmat Kaczyńskiego o jedności), ale mający budować tożsamość frakcji byłego premiera.

Rozmówcy POLITYKI szacują, że grupa ta liczy w klubie ok. 40 osób. Są wyraźnie młodsi niż przeciętna wieku parlamentarzystów PiS (w całym klubie średnia wieku przekracza 50 lat). Odnajdujemy w tym gronie wiele twarzy znanych z poprzedniego rządu – wspomnianych Dworczyka i Müllera, ale również Łukasza Schreibera, Marcina Horałę, Waldemara Budę, Olgę Semeniuk-Patkowską czy Pawła Jabłońskiego. Są też mniej znani politycy – najmłodszy poseł poprzedniej kadencji Robert Gontarz czy Marcin Gwóźdź.

Blisko Morawieckiego są też posłowie OdNowy – sześcioosobowej mikrofrakcji kierowanej przez Marcina Ociepę wywodzącej się jeszcze z Porozumienia Jarosława Gowina. Ociepa negocjował pod koniec zeszłego roku przejście do PiS, ale wraz ze swoimi posłami pozostał ostatecznie formalnie poza partią, choć w klubie parlamentarnym.

Morawiecczycy – przy wsparciu europosła Adama Bielana – przejęli ostatnio władzę nad delegacją PiS w Parlamencie Europejskim i nad jej sporymi pieniędzmi oraz etatami w Brukseli, na które jest teraz wielu chętnych w partii.

Były premier i jego ludzie przekonują, że PiS powinien być merytoryczną i konstruktywną opozycją, zajmującą się lobbowaniem za inwestycjami w CPK czy atom oraz kontrolami w ministerstwach. Morawiecki założył „zespół pracy dla Polski", zaprasza na debaty ekspertów spoza partii, deklaruje chęć dyskusji także z przeciwnikami politycznymi. Stara się zmienić swój wizerunek. W wywiadzie z internetowym influencerem Żurnalistą posunął się nawet do stwierdzenia, że skala ataków na Donalda Tuska w kampanii była za duża, a TVP Jacka Kurskiego „nie dało się oglądać". Obwinił „radykałów" w obozie prawicy za wniosek do Trybunału Konstytucyjnego Julii Przyłębskiej, który w 2020 r. skończył się wydaniem wyroku ograniczającego prawo do aborcji i masowymi protestami.

W Radiu Zet ogólnikowo przeprosił „za wszystkie złe rzeczy, które uczyniliśmy", w innej wypowiedzi uznał ▶

▶ za błąd część decyzji podjętych w czasie pandemii.

Dla przeciwników PiS te wypowiedzi są niewiarygodne (Morawiecki w debacie przedwyborczej mówił o Tusku i jego przyszłych koalicjantach „banda rudego"). Nie podobają się jednak też „prawdziwym pisowcom", bo ich zdaniem nie tego oczekuje prawicowy elektorat. – *Morawiecki nie budzi emocji naszych wyborców. Salę zapełniają Czarnek czy Jaki* – twierdzi poseł z kręgu Sasina.

Niewykluczone jednak, że za tą retoryką Morawieckiego kryje się przekonanie, że PiS nie ma szans na samodzielne rządy i powinien budować zdolność koalicyjną – albo z PSL, albo z Konfederacją. A żeby tak się stało, PiS powinien mieć inne oblicze.

Morawiecki już na długo przed ostatnimi wyborami parlamentarnymi próbował zbliżenia do PSL. – *Mateusz, jeszcze kiedy był premierem, mocno liczył na to, że ludowcy skuszą się na koalicję z PiS i uda mu się wyeliminować Ziobrę i jego ludzi* – mówi ważny polityk PiS. Dodaje, że partyjne doły PSL może i poszłyby na ten układ, ale Kosiniak-Kamysz – choć raz dał się przyprowadzić Morawieckiemu do prezesa na Nowogrodzką – współpracę wykluczał.

– *Władek wie, że to Kaczyński rozdaje karty w PiS. Nie wyobrażał sobie wchodzenia z nim w jakiekolwiek układy. Zobaczymy, jak ułożą się sprawy po następnych wyborach parlamentarnych, ale pierwszym i podstawowym warunkiem jakichkolwiek rozmów o koalicji z PiS byłaby zmiana lidera tej partii* – mówi z jeden z ludowców.

W PiS można usłyszeć, że w ostatniej kampanii wyborczej ludzie z otoczenia Morawieckiego zrobili wiele, aby oszczędzić Trzecią Drogę. Z jednej strony namawiali, aby atakować Konfederację, bo to najgroźniejszy przeciwnik PiS w drodze do reelekcji; z drugiej uspokajali (powołując się na badania przynoszone przez zaufanego Morawieckiego Tomasza Matynię), że Trzecia Droga nie przekroczy progu wyborczego, i że nie warto wytaczać przeciwko niej dział.

– *Czy była to specjalna taktyka, aby oszczędzić Trzecią Drogę? Nie mamy na to dowodów. Wiadomo, że próg przekroczyli i to z zapasem, Konfederacja zrobiła słaby wynik, a my straciliśmy władzę* – stwierdza nasz rozmówca.

Mastalerek gra na zmianę

Kilku naszych rozmówców zwraca uwagę, że Morawieckiego z Dudą i Mastalerkiem łączy wiele wspólnych interesów. Co nie jest takie oczywiste, bo Duda wciąż darzy dużym sentymentem Szydło, szefową jego sztabu wyborczego w 2015 r.

To Mastalerek namówił Dudę, aby na marszałka seniora wyznaczył Marka Sawickiego z PSL. Prezydent mógł wybrać spośród posłów najstarszych wiekiem – Jarosława Kaczyńskiego, Ryszarda Terleckiego czy Antoniego Macierewicza, ale zdecydował się na ludowca. To Masta (tak mówią w PiS



Osoba dobrze zorientowana w planach głowy państwa twierdzi, że Duda nie jest zainteresowany przejęciem schedy po prezesie PiS. Chce objąć jakieś międzynarodowe prestiżowe stanowisko.

o Mastalerku) cztery dni po wyborach wysyłał Kaczyńskiego na emeryturę, a kilka dni później z funkcji społecznego doradcy Dudy awansował na szefa prezydenckiego gabinetu.

Osoba dobrze zorientowana w planach głowy państwa twierdzi, że Duda nie jest zainteresowany przejęciem schedy po prezesie PiS. Chce objąć jakieś międzynarodowe prestiżowe stanowisko. Mastalerek pod koniec października pytany w Polsat News o to, czy Duda chce być liderem prawicy, odparł, że prezydent nie ma takich ambicji, że „nigdy nie będzie chciał być działaczem partyjnym". Dodawał, że „działaczem partyjnym to byłem ja, działałem na Nowogrodzkiej, działałem wcześniej w strukturach" i że „to nie jest oczywiste, że prawicą w Polsce będzie PiS".

Ktoś zwraca też uwagę na wpis Mastalerka w serwisie X, sprzed kilkunastu tygodni, o tym, że Andrzej Duda miał rację, że „w 2020 r. był najlepszy czas, żeby zacząć przygotowywać grunt pod budowę Koalicji Polskich Spraw. Pytanie, czy jeszcze kiedyś będzie na to moment?". Mastalerek (a pewnie i Morawiecki) zdają się wierzyć, że z Trzecią Drogą da się ją zbudować.

O współpracy Morawieckiego z Mastalerkiem mówiło się w PiS po cichu już od jakiegoś czasu. Dowodem jest e-mail opublikowany na Poufnej Rozmowie. W lipcu 2020 r., tuż przed wyborami prezydenckimi, Dworczyk wysłał do współpracowników i premiera wiadomość, w której relacjonuje rozmowę z Mastalerkiem: „Powiedział, że będzie namawiał PMM [Morawieckiego – red.] do przeprowadzenia ofensywy po wyborach. Tzn. zanim przyjdą inni z pomysłami na reformy, które trzeba będzie tonować, etc. To PMM powinien wyjść na tego, który jest w awangardzie, i złożyć szereg propozycji reform. Taka ucieczka do przodu. W kontekście tego co mówił PJK [Kaczyński – red.] sprawa jest wybitnie aktualna". Na te rady od Mastalerka Morawiecki odpowiedział, że „od paru miesięcy nad tym pracuje".

Mastalerek od lat przyjaźni się z jednym z bliskich współpracowników premiera Mariuszem Chłopikiem. „Masta zaczął grać na Mateusza, od kiedy Beata nie umiała go wybronić, gdy Jarosław wywalał go z list" – opowiadała niedawno POLITYCE osoba związana z frakcją premiera.

W książce Michała Kolanki „Game changer" Mastalerek przypominał zaangażowanie Morawieckiego w ostatniej kampanii prezydenckiej: „objechał dużą część Polski, zorganizował wiele istotnych wydarzeń, wspierając reelekcję prezydenta". O Chłopiku też wspomni, że w pierwszej kampanii Dudy właśnie on był jedną z kluczowych osób, że to „znakomity organizator". – *Mastalerka i Morawieckiego łączy sympatia do polityków Trzeciej Drogi, bo uwierzyli, że jak odnowią PiS i przejmą nad nim władzę, to będzie ich koalicjant i wrócą do władzy* – twierdzi nasz rozmówca. Dodaje, że Mastalerek ma dobre relacje z Michałem Kobosk

wiceprzewodniczącym partii Szymona Hołowni. Zwraca też uwagę, jak w lutym w „Śniadaniu Rymanowskiego" Mastalerek (ku zdziwieniu posła PiS Radosława Fogla) bronił decyzji o awansie brata ministra infrastruktury z PSL na rektora Akademii Pożarniczej, twierdził, że jest on osobą kompetentną i właściwą na tym stanowisku. W tym samym programie mówił niedawno, że z liderem ludowców jest na ty i mówił o nim per Władek.

W PiS różnie mówi się o Mastalerku – byłym pośle, a nawet przez chwilę rzeczniku prasowym partii. Jedni twierdzą, że tylko szuka zemsty za to, że w 2015 r. prezes wyrzucił go z list wyborczych i przyhamował jego rozpędzoną karierę, bo Mastalerek zignorował wezwanie na Nowogrodzką, gdy towarzyszył Dudzie w objeździe Polski. Inni uważają, że chodzi o coś więcej. Mastalerek jest ambitny, we wrześniu kończy 40 lat, a będąc za rządów PiS przez pięć lat wiceprezesem Ekstraklasy, dorobił się już pieniędzy i myśli teraz tylko o tym, aby stać się rozgrywającym w polityce. A wie, że warunkiem powodzenia tego planu jest zmiana prezesa, bo Kaczyński – ostentacyjnie unikający zresztą wszelkich kontaktów z Dudą – nigdy nie pozwoli na wznowienie partyjnej kariery Mastalerka. Tu zatem znów stykają się plany Morawieckiego i szefa prezydenckiego gabinetu.

Mastalerek jest przy tym mocno krytyczny wobec polityki Nowogrodzkiej. W serwisie X zaatakował byłego ministra obrony Mariusza Błaszczaka, kpiąc z jego polityki obronnej, i poradził mu, żeby się „zajął wreszcie pracą". Ma zapewne największy polityczny temperament ze współpracowników prezydenta, a jego talent docenia część polityków PiS. Był jednym z kluczowych współpracowników Dudy także przed nominacją na szefa gabinetu; podobno stał za dwukrotnym zawetowaniem ustawy zwanej lex Czarnek. Nie ustrzegł się jednak błędów; chaotyczne ruchy Dudy w sprawie tzw. lex Tusk (komisja ds. badania wpływów rosyjskich) również obciążają jego konto.

Ostatnio wpadł podobno na pomysł, aby wstawić na listy PiS do europarlamentu ludzi z otoczenia Dudy. Chodzi o kilku odwołanych ambasadorów i jakieś osoby z Pałacu. To miałby być pomysł na pokazanie sprawczości Mastalerka i jego talentów kampanijnych. Szanse na powodzenie tego planu są jednak niewielkie.

Narzędzie przejęcia

Jeśli Morawiecki serio myśli o przejęciu władzy nad partią – a wiele na to wskazuje – to powinien, po pierwsze, utrzymać dobre relacje z Kaczyńskim. W partii coraz częściej mówi się, że w grę może wchodzić układ, w którym – po zmianie statutu – Kaczyński zostałby kimś w rodzaju szefa rady nadzorczej PiS, a Morawiecki podległym mu dyrektorem zarządzającym. Droga do tego może wieść przez wybory prezydenckie, których pierwsza tura odbędzie się zapewne w maju przyszłego roku.

Morawiecki mógłby tę kampanię potraktować jako narzędzie do wzmocnienia się w partii. Wejście do drugiej tury i zdobycie w niej – powiedzmy – 44–46 proc. głosów dałoby Morawieckiemu argumenty w rozmowie o przyszłości prawicy, otworzyłoby być może także nowy rozdział w relacjach z PSL i Polską 2050. Ale ten scenariusz jest wciąż palcem na wodzie pisany, decyzję o kandydacie lub kandydatce w wyborach prezydenckich podejmie Kaczyński, i to na pewno nie wcześniej niż po wyborach samorządowych i europejskich.

ANNA DĄBROWSKA, WOJCIECH SZACKI



Daleko od szosy

Największa w Unii Europejskiej liczba samochodów na głowę statystycznego Polaka to nie przejaw bogactwa, lecz ubóstwa – komunikacyjnego.



Dworzec w Poznaniu.

ZBIGNIEW BOREK

Koncept wykluczenia komunikacyjnego naszpikowany jest stereotypami i paradoksami. Jak zauważa badająca temat dr Katarzyna Białobrzeska z Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie, w dominującej narracji politycznej i medialnej nie ma mowy o wykluczeniu, gdy mieszkańcy mają samochody, a pod tym względem Polska jest unijnym liderem: na 1 tys. mieszkańców przypada u nas 687 aut (statystycznie samochód posiada więc prawie każda osoba dorosła). Po kilka samochodów w rodzinie mają nie tylko bogaci, ale też ci, którzy nie mają w swojej okolicy autobusów i pociągów. Technicznie to prawda, ale społecznie – fałsz.

„W naszej miejscowości nie ma wcale żadnej komunikacji. Kiedyś była i przystanek stoi, ale co z tego, jak autobusów nie ma – mówił ankieterom z UWM pan Wiesław z gminy Małdyty. – Żeby dostać się do lekarza, samochód trzeba nająć, prosić sąsiadów. 50 zł chcą. Tam i z powrotem. Był kiedyś pociąg, to go zabrali. Takie zadupie. Do sklepu mam 4 km. Poruszam się o kulach, to ciężko. Kogoś poproszę, kupi. Sklepowy samochód zajeżdża do nas co drugi dzień, to on tam przywiezie chleb. Jak kupię na tydzień, to mi starczy".

Był jednym z 318 respondentów, a rozmowy z nimi to część dwuletniego (2022–23) projektu badawczego, którego podsumowanie stanowi raport „Społeczne aspekty wykluczenia komunikacyjnego w województwie warmińsko-mazurskim", który przygotował zespół pod kierunkiem dr Białobrzeskiej. Projekt objął 2736 wiejskich miejscowości. Aż do 1180 (43 proc.) nie dojeżdża pociąg ani autobus, choć żyje tam 151 tys. osób, co czwarty mieszkaniec obszarów wiejskich (w weekendy dotyczy to co drugiego). Kluczowy wniosek z badań może jednak zaskakiwać: głównym problemem jest nie tyle brak środków transportu, ile zmiana mentalności. – *Mieszkańcy popadają w marazm. Trudno ich wyrwać z tego stanu, nawet gdy do ich miejscowości wraca komunikacja publiczna, nie korzystają z niej także po przeprowadzce do miasta* – mówi Białobrzeska.

Był pociąg, to zabrali

Jaka jest skala wykluczenia komunikacyjnego (bardziej precyzyjnym terminem jest wykluczenie transportowe, ale oba są używane zamiennie)? Dane są ubogie i fragmentaryczne, zaniżane i zawyżane. W obiegu medialnym krąży liczba 13,8 mln Polek i Polaków pozbawionych komunikacji publicznej, to jednak efekt zbytniego uproszczenia analizy Klubu Jagiellońskiego (w 2019 r. zsumował liczbę mieszkańców gmin, które nie finansują przejazdów autobusowych, ale mogą tam jeździć np. autobusy opłacane przez powiaty). W 43 z 380 powiatów nie zatrzymują się pociągi – wyliczył Urząd Transportu Kolejowego w 2022 r. To oznacza, że 2,3 mln mieszkańców Polski (6 proc.) nie ma dostępu do kolei. – *Po przełomie ustrojowym 1989 r. regionalny transport publiczny został pozostawiony bez kontroli, bez organizacji, co skończyło się jego degradacją. Dziś nie wiemy nawet, ile jest w Polsce przystanków autobusowych* – komentuje dr Łukasz Fiedeń, geograf społeczno-ekonomiczny z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Na podstawie własnych i cudzych badań ostrożnie szacuje, że ubóstwo transportowe dotyka 5–7 mln Polek i Polaków.



Co czwarte sołectwo w Polsce (25,8 proc.) nie ma żadnej komunikacji publicznej.

Dzięki inwestycjom w główne linie kolejowe, autostrady i ekspresówki w ciągu dekady o 10 minut (do 70 minut) skrócił się średni czas dojazdu komunikacją publiczną do stolicy regionu.

Jednak czas dojazdu ze stolicy gminy do stolicy powiatu od lat się nie zmienia: wynosi 20 minut. Z perspektywy mieszkańców metropolii to mało, szkopuł w tym, że ani do gminy, ani do powiatu z wielu miejscowości w ogóle nie można dojechać, a to przede wszystkim tam uczy się, pracuje i załatwia swoje sprawy lokalna Polska. Co czwarte sołectwo w Polsce (25,8 proc.) nie ma żadnej komunikacji publicznej. Do wielu pozostałych przyjeżdżają dwa autobusy dziennie, a to też strefa wykluczenia. Problem wymyka się prostym podziałom na ścianę wschodnią i zachodnią Polski: niską dostępność odnotowano na stykach wielu regionów, nad granicą państwa, ale także 60–80 km od Warszawy.

Skutki ubóstwa transportowego jak w soczewce uchwycił zespół dr Białobrzeskiej. Badaniem objął głównie wsie liczące średnio 130 mieszkańców. Do wielu nie prowadzi nawet asfalt, do najbliższego przystanku jest ponad 4 km (63 minuty piechotą). Kto może, stamtąd ucieka: dodatnie saldo migracji w woj. warmińsko-mazurskim wykazują 23 gminy, ujemne aż 126. Wyludniają się przez to i podupadają także gminne i powiatowe miasta. Kto musi żyć na wsi, kupuje samochód (eksperci nazywają to wymuszoną motoryzacją): jak wykazuje Monitoring Rozwoju Obszarów Wiejskich, obszary, na których jest najwięcej aut, pokrywają się z tymi o najgorszej dostępności transportu zbiorowego. Co więcej, tylko co dziesiąty zarejestrowany tam samochód wyprodukowano po 2008 r. (w miastach na prawach powiatu co trzeci) i odsetek starych aut wciąż rośnie. „Każdy jeździ, czym może. Na obszarach pozbawionych transportu zbiorowego dochodzi do największej liczby wypadków komunikacyjnych" – mówiła w jednej z debat prof. Monika Stanny, dyrektor Instytutu Rozwoju Wsi i Rolnictwa PAN, kierownik projektu MROW.

Szkolna miłość nie dojeżdża

Samochód ma dwóch na każdych trzech respondentów olsztyńskich badań, co trzeci porusza się rowerem, co dziesiąty – motorem lub skuterem (odpowiedzi wzajemnie się nie wykluczały). Co piąty nie posiada żadnego środka transportu, powyżej 65. roku życia ten odsetek sięga aż 40,4 proc. Ci ludzie mogą liczyć tylko na podwózkę (zwykle płatną) lub taksówkę, w ostateczności łapią okazję lub (14,2 proc.) poruszają się pieszo.

Skutki są dojmujące: 68,2 proc. respondentów ogranicza (do koniecznych) wizyty u lekarzy pierwszego kontaktu, 70,8 proc. u specjalistów. Co dziewiąty rezygnuje z wizyt u lekarzy całkowicie, co czwarty odpuszcza próbę dotarcia do pomocy społecznej. Przez kłopoty z dojazdem rzadziej robią zakupy, odwiedzają bliskich, fryzjera, bibliotekę. Najtrudniej jest samotnym seniorom i niepełnosprawnym. Często próbują już tylko przetrwać.

Pani Renata z gminy Biała Piska: „Do nas nawet handel obwoźny nie zajeżdża, bo drogę mamy fatalną. Zimą, kiedy drogi zasypie śnieg, jesteśmy odcięci od świata. Wtedy nie jeździ już nic, a samemu też się nie wydostaniesz. Jeśli nie masz zakupów żywnościowych na zapas, siedzisz głodny. Co więcej, jeśli zima jest ciężka, to linie potrafi zerwać i prądu nie ma. U nas na szczęście jest samochód, ale jeśli się zepsuje, jesteśmy w katastrofalnej sytuacji".

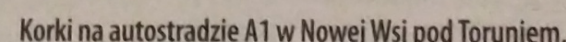
Pani Beata z gminy Ruciane-Nida: „Autobus z Nidy do Pisza kosztuje 20 zł, a jaka to odległość (18 km – red.). A emerytury na naszych wsiach niskie. Też przez to, że nie można było do tej pracy dojechać. Teraz od nas do pracy dojeżdża tylko jedna osoba. Ja mam pracę na miejscu, ale przez ten brak dojazdu wiele możliwości zawodowych mi uciekło".

Ubóstwo komunikacyjne wywołuje poczucie izolacji społecznej (48 proc. respondentów), zniechęcenie i bierność (45 proc.), a przez to ludzie rezygnują z doskonalenia i aktywizacji zawodowej (38 proc.), z wybranej pracy (19 proc.) czy szkoły (33 proc.). – *Młodzież wybiera nie szkołę, do której chciałaby iść, ale taką, do której da się dojechać. Autobus decyduje nawet o szkolnej miłości: gdy chłopak lub dziewczyna dojeżdża, trudniej im się spotykać* – tłumaczy dr Białobrzeska. ▶

▶ Wszystko to razem tworzy kwadraturę koła – i to nie jedną. Bez lepszej szkoły czy pracy trudno mówić o poprawie jakości życia i perspektyw życiowych. Aby to zmienić, mieszkańcy uciekają do dużych miast, ale w tych mniejszych ubywa przez to pasażerów i likwidowane są kolejne połączenia. Ludzie jakoś muszą dotrzeć do pracy i szkoły, kupują więc samochody i o pasażerów jest jeszcze trudniej. Kiedy samorządy próbują wskrzesić lokalne połączenia, pieniędzy wystarcza na krótko, autobusy wożą głównie powietrze i kursy są likwidowane.

Według ekspertów linia komunikacyjna ma szansę się utrzymać, gdy funkcjonuje co najmniej pół roku. To czas potrzebny na przyzwyczajenie ludzi, że autobus czy pociąg nie tylko jest, ale i będzie. Czasem w grę wchodzi egzystencjalne ryzyko: „Jeśli zrezygnuję z płatnej podwózki u sąsiada, a pekaes znów zlikwidują, sąsiad się zbiesi i zostanę na lodzie" – objaśniali ankietowani z Warmii i Mazur. Jakby tego było mało, rozkłady jazdy często nie są dopasowane do ich potrzeb (aż 64 proc. wskazań).

Według Biura Rzecznika Praw Obywatelskich wykluczenie narusza konstytucyjne uprawnienia: wolność poruszania się, prawo do ochrony zdrowia, prawo do nauki i korzystania z usług publicznych gwarantujących godny poziom życia. Mimo to negatywne zmiany postępują w dramatycznym tempie. Z Banku Danych Lokalnych GUS wynika, że w latach 2014–22 linie regularnej komunikacji autobusowej w kraju uległy skróceniu o połowę, w tym linie o charakterze regionalnym niemal o dwie trzecie (63 proc.). Co dziesiąty respondent z woj. warmińsko-mazurskiego utracił dostęp do publicznego transportu w ciągu roku przed badaniem, kolejne 6 proc. – w ciągu dwóch lat. Najwięcej, bo 58,5 proc., boryka się z tym co najmniej pięć lat, wypracowując strategie radzenia sobie z wykluczeniem.



Korki na autostradzie A1 w Nowej Wsi pod Toruniem.

Jeśli ktoś 10–15 lat jeździł tylko samochodem, do metropolii też raczej przeprowadzi się ze zdezelowanym dieslem. Nie wyobraża sobie bez niego życia, nie przesiądzie się do tramwaju także dlatego, że kojarzy mu się z jałmużną, bo w rodzinnych stronach komunikacja działała nieraz w ramach programów pomocowych. Takich ludzi znacznie trudniej przekonać do walki ze zmianami klimatycznymi czy zanieczyszczeniem powietrza. Rośnie przez to emisja spalin i góra gruchotów do utylizacji, a zmniejsza się bezpieczeństwo na miejskich arteriach.

Transport na miarę

Waga problemu słabo przebija się do świadomości polityków, a jeśli już, to stosują półśrodki, jak tzw. PKS plus, czyli wdrożony przez PiS Fundusz Rozwoju Przewozów Autobusowych: – *Dopłaty do kursów nie rozwiązują niczego kompleksowo. To tak jakby do pękniętej rury nie wzywać hydraulika, tylko szukać większego naczynia do wylewania wody* – zauważa dr Fiedeń. W kampanii parlamentarnej Lewica i Trzecia Droga lansowały hasło „Kolej w każdym powiecie, autobus w każdej gminie". Przed wyborami samorządowymi z 7 kwietnia można się było spodziewać szczegółowych propozycji, ale kampanię bardziej zdominował ważny skądinąd temat aborcji. To zresztą kolejny paradoks, bo radni, wójtowie czy burmistrzowie na aborcję wpływ mają umiarkowany, na komunikację zaś spory. – *Nie ma sensu pytać, czy państwo stać na walkę z wykluczeniem, ale czy możemy sobie pozwolić na ponoszenie jego kosztów* – podkreśla tymczasem dr Fiedeń. A dr Białobrzeska dodaje: – *Nie wystarczy inwestować w drogi i mosty, w autobusy i pociągi. Potrzebujemy też rewitalizacji społecznej.*

Jak się do tego zabrać? Zdaniem Bartłomieja Głuszaka, prezesa Federacji Organizacji Socjalnych Województwa Warmińsko-Mazurskiego FOSa, nieodzowne jest stworzenie kompleksowych rozwiązań: – *Szkolne autobusy mogłyby zabierać do miasta seniorów, a człowiekowi, który podwozi sąsiadkę zza płotu do lekarza, gmina mogłaby płacić za usługę sąsiedzką. W samopomoc można włączyć bazę transportową finansowaną przez PFRON, zaangażować koła gospodyń wiejskich, ochotnicze straże pożarne, nawet parafie.*

Spięty system

Konkretne rekomendacje zawiera raport „Społeczne aspekty wykluczenia..." (to dzieło think tanku FOSy). Potrzebujemy prawnej definicji wykluczenia (bo nieraz nawet kilka kursów autobusu nie załatwi sprawy), koordynatora w rządzie (bo problem leży w gestii kilku ministerstw), zespołów eksperckich z różnych dziedzin, dialogu społecznego i koalicji organizacji pozarządowych (bo dziś działają na własną rękę i mają małą siłę przebicia). Konieczne są zmiany legislacyjne, bo na samorządach spoczywa ustawowy obowiązek organizowania transportu, ale nie ma jak go egzekwować, samo zaś ubóstwo transportowe nie uprawnia do uzyskania pomocy społecznej. Trzeba spiąć w spójny system dotacje na komunikację publiczną z różnych szczebli samorządów i z rządu oraz zsynchronizować komunikację autobusową, kolejową i miejską. Jak zauważa dr Fiedeń, potrzebujemy „krajowego rozkładu jazdy", w którym przewoźnicy wpisywaliby obsługiwane przez siebie trasy, bo w skali kraju nikt dziś nie wie, kto gdzie i czym jeździ oraz kogo wozi.

– *Potrzeba bazy dobrych praktyk i rozwiązań szytych na lokalną miarę. Co innego sprawdzi się przecież na Warmii i Mazurach, a co innego w Bieszczadach czy w popegeerowskiej wsi na Pomorzu Zachodnim* – dodaje Głuszak. FOSa próbuje zainteresować swoimi propozycjami nową ekipę rządzącą.

To ważne także z punktu widzenia funduszy unijnych – nie tylko na politykę spójności czy społeczną i Krajowy Plan Odbudowy. Ze Społecznego Funduszu Klimatycznego w latach 2026–32 Polsce przypadnie 11 mld euro (10 mld zł co roku, to 18 proc. całej kwoty w UE). Zwalczanie ubóstwa komunikacyjnego mogłoby być jednym z jego celów – o ile ujmiemy to w społecznym planie klimatycznym, który do czerwca 2025 r. powinniśmy przedłożyć Komisji Europejskiej. Czasu zostało niewiele, ale dzięki temu wykluczenie możemy naprawdę wykluczyć, a przynajmniej odczuwalnie ograniczyć.

ZBIGNIEW BOREK

Słowo do osób czytelniczych

Zasada, żeby mówić tak, by nie obrażać, oraz tak, jak zainteresowana osoba sobie życzy, jest bardzo dobra, ale niełatwa do zastosowania – mówi o tzw. osobatywach prof. Marek Łaziński, językoznawca.



ILUSTRACJA **MARTA FREJ**

JOANNA PODGÓRSKA: – **Co to są osobatywy?**

MAREK ŁAZIŃSKI: – Konstrukcje leksykalne, oparte na słowie „osoba", które pozwalają uniknąć określania płci, np. osoba studencka czy osoba studiująca. To nie jest konstrukcja, która łamie jakiekolwiek zasady języka polskiego, ponieważ z takimi sformułowaniami jak „osoba towarzysząca" mamy do czynienia od wielu lat. Ale oczywiście jeśli tych określeń pojawia się bardzo dużo i są one stosowane zamiast rzeczowników męskich i żeńskich, to sprawia, że tekst brzmi nietypowo.

Od dawna mamy do czynienia z „osobami prawnymi" czy „osobami fizycznymi". Mówimy o „osobach z niepełnosprawnością" czy „osobach homoseksualnych". Był pan współautorem rekomendacji dotyczących języka niedyskryminującego dla Uniwersytetu Warszawskiego wydanych w 2020 r. Zaleca się tam zwrot „Studenci i studentki", by nie wykluczać kobiet. Ale teraz w języku akademickim pojawiają się neutralne płciowo „osoby studenckie", o których wtedy nie było jeszcze mowy. Czas na kolejne zmiany?

Faktycznie, wtedy nie podejmowaliśmy jeszcze tego tematu. Oczywiście wszystkie zmiany, które niechętni zwykle określają mianem politycznej poprawności, a które neutralnie można określić jako zmiany prowadzące do języka inkluzywnego, są dość szybkie. Nie ma się co dziwić, że trzy czy cztery lata temu sytuacja wyglądała inaczej. Wówczas to kobiety domagały się większej widoczności w języku; zwracały uwagę na to, że jest za mało feminatywów. Ten proces oczywiście trwa nadal. Feminatywów jest coraz więcej, i to dobrze, ale nie zniknęła logiczna zasada języka, że to rodzaj męski może pełnić funkcję uniwersalną. Jeśli chodzi o osobatywy, to po tych kilku latach sytuacja zmieniła się, bo usłyszeliśmy głosy osób, które deklarują się jako niebinarne; spoza tradycyjnej opozycji płci. Chcą, by język potrafił wyrazić także ich tożsamość. ▶

▶ Mamy już nawet parlamentarzystę, który z mównicy zwraca się do „osób posełskich". Czy jest granica użycia osobatywów?

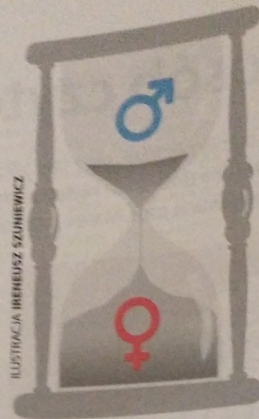
To nie językoznawcy – i językoznawczynie, można dodać – o tym decydują, tylko potrzeby społeczne. My możemy ewentualnie stwierdzić, że system na to pozwala. W tej chwili osobatywy są obecne przede wszystkim w języku ogłoszeń studenckich. Nie sądzę, żeby weszły szybko do języka ogólnego, w takim stopniu jak feminatywy. Staram się nie być tu ani zimny, ani gorący, tylko obserwować. Choć to dobrze, byśmy mieli możliwość mówienia o osobach. Niedawno, w dyskusji zorganizowanej na uniwersytecie, byłem przedstawiony jako „osoba ekspercka" i absolutnie mi to nie przeszkadzało, ale sam tak jeszcze o sobie nie mówię. I pewnie minie sporo czasu, zanim dziennikarze i dziennikarki w tekstach ekonomicznych zaczną pisać o „osobach podatniczych" zamiast o podatnikach. Na razie nie piszemy nawet o „podatnikach i podatniczkach", choć o „Polkach i Polakach" już tak. Nie sądzę, żebyśmy w kontekstach, w których zwracamy uwagę na coś innego niż identyfikacja wobec płci, szybko zaczęli używać osobatywów w funkcji uniwersalnej. W języku zachodzi równocześnie mnóstwo zmian, nie tylko inkluzywnych. Dziś zastanawiamy się, w jaki sposób uczy się języka sztuczna inteligencja. Ale ChatGPT raczej nie stosuje feminatywów, osobatywów ani neutratywów. Uczy się z naszych tekstów i stosuje zazwyczaj formy męskie generyczne.

Trudno dziś wyobrazić sobie użycie takich sformułowań jak „osoba strażacka" czy „osoba dziennikarska".

Jeżeli do „osoby" dodajemy imiesłów, a nie przymiotnik, to jest dużo łatwiejsze, bo ma swoją tradycję choćby w „osobie towarzyszącej". „Osoba studiująca" jest konstrukcją znacznie mniej naruszającą przyzwyczajenia i system niż „osoba studencka". W przypadku strażaka, który nie jest nazwą czasownikową, mamy do dyspozycji tylko „osoby strażackie". Traktuję to zjawisko z językoznawczą uwagą i szacunkiem do osób używających tych sformułowań, ale powtarzam – nie przypuszczam, byśmy szybko zmienili sposób mówienia o grupach ludzkich.

Mamy alternatywę dla osobatywów, w postaci neutratywów. „Osoba strażacka" to „strażaszcze" lub „strażakum". Ale to dla ucha przyzwyczajonego do klasycznej polszczyzny brzmi naprawdę dziwnie.

Neutratywy w wąskim sensie to nowe rzeczowniki rodzaju nijakiego, np. „to studentko" czy „to studencie". Takim formom tym bardziej nie wróżę szybkiego sukcesu i wejścia do języka, ale to nie znaczy, że przeszkadza mi, gdy ktoś ich w mojej obecności używa. Powtarzam: to nie językoznawcy będą o tym decydować.



ILUSTRACJA IRENEUSZ SZUMIEWICZ

Używamy tych form, które poznaliśmy. Możemy je stosować wymiennie i raz mówić „zrobiłam", a raz „zrobiłem", bo łatwiejsze jest dla nas to, co już znamy, niż nowe „zrobiłom".

Odpowiedź na pytanie, jak zwracać się do osób niebinarnych, jest prosta: tak, jak sobie tego życzą. Ale używanie neutratywów to jak nauka nowego języka, np. odmiany zaimka „onu".

Toteż nie traktujmy tego jako czegoś, czego musimy się uczyć, czy jako zmiany, do której ktoś nas zmusza, tylko jako wyrażenie własnej tożsamości w niektórych tekstach, przez niektóre grupy. Nawet osobatywy, które najmniej naruszają system, pozostają jednak w dość ograniczonym kręgu. Iksatywy, w których morfemy męskie lub żeńskie zastępują znaki x,*, lub _ [np. „zrobiłxm", „zrobił_m" – red.] funkcjonują głównie w języku pisanym mediów społecznościowych. Język neutralny płciowo jest obecny w literaturze czy serialach, gdzie coraz częściej pojawiają się niebinarni bohaterowie.

W literaturze już bardzo dawno wszystko było możliwe. Neutralne formy czasownika, o które swego czasu językoznawcy się spierali, stosował na przykład Henryk Sienkiewicz. W „Szkicach węglem" słońce mówi do Wawrzona: „byłom". Ale to, że coś jest możliwe w literaturze, nie znaczy, że szybko będzie w powszechnym użyciu. Zmiany, o których mówimy, dotyczą języka publicznego, którego używamy nie tylko po to, by porozumieć się z interlokutorem, ale też po to, by pokazać innym, że tak się mówić powinno. Nie ma tu wielkiej różnicy między wzrostem użycia feminatywów a neutratywami różnego rodzaju. W języku prywatnym większość z nas – i to również tych, którzy deklarują potrzebę zwiększenia udziału feminatywów – gdy rozboli nas głowa, pomyśli: muszę iść do lekarza, a nie: muszę iść do lekarza lub lekarki. A już na pewno nie: muszę iść do osoby lekarskiej.

Pytałam w środowisku osób niebinarnych, jak mówią same o sobie. W tej grupie użycie formy „byłom/zrobiłom" to raczej wyjątek. Większość wybiera rodzaj, z którym się lepiej czuje, albo płynnie zmienia rodzaj męski i żeński. Jeszcze inna strategia to niewyraźne wymawianie końcówek czasownika.

Podobne były wyniki sondy publikowanej na stronie zaimki.pl. Ja bym to nazwał właśnie strategiami, a nie regułami językowymi. Bo chodzi tu o społeczne strategie zaznaczania swojej tożsamości. Przyzwyczajenia są na tyle mocne, że stosujemy te formy, które poznaliśmy. Możemy je stosować wymiennie i raz mówić „zrobiłam", a raz „zrobiłem", bo łatwiejsze jest dla nas to, co jest już osadzone w tradycji językowej, niż nowe „zrobiłom".

W polszczyźnie każda część mowy musi mieć przypisany rodzaj. W przekładzie na język neutralny zdanie może brzmieć: „moju pięknu partneru przyszłu do domu". To chyba jeszcze komplikuje sytuację?

Jeden z najwybitniejszych językoznawców wszech czasów Roman Jakobson napisał kiedyś, że języki różnią się istotnie nie tym, co mogą wyrazić, ale tym, co muszą wyrazić. Problemy z polską dyskusją o rodzaju gramatycznym wynikają nie tylko z tego, że u nas później pojawiła się taka refleksja niż np. na gruncie języka niemieckiego, ale właśnie z tego, że my musimy rodzaj gramatyczny zaznaczyć prawie wszędzie, nawet w formach czasownika. I to dotyczy także rodzaju innego niż tylko męski czy żeński. W tej sytuacji pojawia się pokusa – mówię o niej, wiedząc, że nie poprą mnie zdecydowane

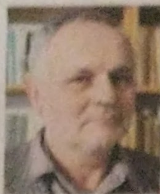
zwolenniczki walki o feminatywy – skoro jest tak trudno, to może wróćmy do rodzaju męskiego jako tego, który nie precyzuje płci. Nie znaczy to, że zniechęcam do feminatywów w języku. Jestem jak najbardziej za ich używaniem i tworzeniem nowych, ale nie za tym, żeby używać ich zawsze.

Czy zwiększyła się liczba pytań kierowanych do Rady Języka Polskiego, związanych z językiem neutralnym płciowo?

Takich pytań nie ma zbyt dużo, ale się pojawiają. Także na poziomie urzędowych zmian imion na takie, które nie precyzują płci. Trzeba do tego podejść z jednej strony z szacunkiem, z drugiej – z poszanowaniem przepisów. Pojawiają się problemy np. na poziomie uczelnianych systemów ewidencji studentów. Z jednej strony student czy osoba studiująca ma prawo, żeby zwracać się do niego tak jak on chce, z drugiej – coś ma wpisane w dokumentach i na tym musi opierać się administracja dziekanatu. Na niektórych uczelniach jest już możliwa bezkonfliktowa transmisja między jednym a drugim. Już kilka lat temu, kiedy uczestniczyłem w konferencjach na uniwersytetach anglojęzycznych, w formularzu zgłoszeniowym odpowiadałem na pytanie: jak o mnie mówić, jakich zaimków chcę używać. Powoli wchodzi to do Polski. Część osób odbiera to jako zagrożenie dla tradycji. Ale to nie jest zmuszanie wszystkich, żeby tak mówili, tylko próba uszanowania prawa do własnej tożsamości osób, które nie czują się dobrze w binarnym świecie.

W jednym z artykułów pisze pan, że inkluzywne zmiany w języku to naturalny proces, który trwa od stuleci. Ale on chyba mocno teraz przyspieszył?

Pisałem, że to, co głoszą konserwatyści językowi – że dopóki nie było pojęcia poprawności politycznej, nie spieraliśmy się o słowa – nie jest prawdą. Oczywiście, że się spieraliśmy; choćby przez całe dwudziestolecie międzywojenne o to, czy mamy swoich sąsiadów nazywać Rusinami czy Ukraińcami. Spierali się o to politycy, publicyści i językoznawcy także. To, co na początku było opinią większości, czyli nazywanie sąsiadów Rusinami, ostatecznie przegrało. Wygrało podejście, którego chcieli sami zainteresowani, i dziś ten spór wydaje się abstrakcyjny. Od ponad 100 lat dyskutujemy o tym, czy powinniśmy do siebie mówić „proszę pana, proszę pani", bo to wyjątek wśród innych języków. W polszczyźnie nie tylko językoznawcy, ale i publicyści,



Marek Łaziński – *językoznawca, profesor nauk humanistycznych na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Członek Rady Języka Polskiego, współtwórca Narodowego Korpusu Języka Polskiego. Współorganizator plebiscytów na Słowo Roku oraz Młodzieżowe Słowo Roku.*

od bardzo dawna debatują o tym, czy zmieniać język, choć można powiedzieć, że dziś tych sporów jest więcej. Inna rzecz, że wcześniej brało udział w tych dyskusjach dość wąskie grono, a dziś są one szeroko popularyzowane przez media, także społecznościowe.

Może wynika to także z tego, że wzrosła nasza wrażliwość i empatia? Nie chcemy mówić w sposób, który kogoś rani. Prawie zniknęły z języka takie słowa jak „murzyn" czy „kaleka".

Na pewno nasza empatia językowa się zwiększa, ale nie zawsze zmiany wynikają ze świadomego wyrażania szacunku. Słowo, które jeszcze niedawno było neutralne, wydaje nam się dziś nawet nie tyle obraźliwe czy stygmatyzujące, ile po prostu przestarzałe: zaraz, zaraz, ale przecież nikt już tak nie mówi. Zasada, żeby mówić tak, by nie obrażać, i tak, jak zainteresowana osoba sobie życzy, jest oczywiście bardzo dobra, ale niełatwa do zastosowania. Nie zawsze mówimy do kogoś wprost. Mówiąc o jakiejś grupie czy osobie, nie możemy zapytać o preferencję językową. Feminatywy to dobry przykład, bo najwięcej osób, które protestują przeciw ich używaniu, jest wśród kobiet. Nic w tym dziwnego, bo to ich te zmiany wprost dotyczą. O neutratywy też nie zawsze możemy zapytać.

Język kształtuje rzeczywistość i zmieniamy go po to, by zmieniać niesprawiedliwe relacje społeczne. Czy są przykłady na to, że coraz powszechniejsze stosowanie feminatywów poprawia sytuację kobiet?

Na pewno zwiększenie udziału feminatywów w ogłoszeniach o pracę – w różnych językach, także w polszczyźnie – wpłynęło na to, że więcej kobiet uznawało, że to ogłoszenie skierowane jest także do nich i więcej się na nie zgłaszało. W konsekwencji więcej ich przyjmowano do pracy. Ale to nie zawsze działa automatycznie. Te zmiany mają większe znaczenie symboliczne dla danej grupy, czy to dla kobiet, które były do tej pory w języku zbyt mało obecne, czy to dla osób niebinarnych, które nie były w nim obecne w ogóle. Będą posługiwać się językiem z większym komfortem i poczuciem, że mówi się także o nich, nawet jeśli nie ma to bezpośredniego wpływu na rzeczywistość. Nie ma generalnej zasady, że w społeczeństwach, gdzie używa się wielu feminatywów, lepiej się traktuje kobiety. Bardzo wiele języków bez rodzaju gramatycznego, a więc bez odniesienia do płci, to języki społeczeństw, w których pozycja kobiet jest nie do pozazdroszczenia. To nie jest żaden argument w dyskusji ani za feminatywami, ani przeciwko nim. Mówimy o tym, czy zwiększyć ich udział w naszym języku, w naszym społeczeństwie i w jakich sytuacjach.

Konserwatyści zmiany inkluzywne w języku postrzegają jako opresję. Jak ich przekonywać?

Zmiany językowe należy jak najszybciej oderwać od poszczególnych opcji politycznych, pokazując, że one – przynajmniej częściowo – dotyczą wszystkich. Weźmy kwestię wspomnianego „murzyna" – w bardzo konserwatywnych środowiskach polskiej prawicy jeszcze zanim wybuchła ogromna dyskusja, wiele osób przestało używać tego słowa i miało poczucie, że ono stygmatyzuje. Jednym z posłów, który jako pierwszy w polskim Sejmie używał feminatywu „posłanka", o który toczono boje w latach 90., był Janusz Korwin-Mikke. Gdy w podręcznikach w polskiej szkole cały czas panowała zasada używania wobec wszystkich uczniów i uczennic formy męskiej, np. „zrób to ćwiczenie z kolegą", to jako pierwsze zerwały z tą zasadą podręczniki do religii. Czy zauważyły, że w klasie są koledzy i koleżanki dlatego, że chciały iść z duchem zmian społecznych, czy raczej dlatego, że w konserwatywnej wizji rodziny zaznacza się specyficzną rolę kobiety? I nie chodzi o rolę, jaką by dzisiejsze środowiska kobiece promowały. Można znaleźć wiele pojedynczych zjawisk i zmian w języku, kojarzonych z tą straszną poprawnością polityczną, które stosują akurat nie środowiska zwane progresywnymi. Przez wiele osób te zmiany są traktowane po prostu jako naturalne i wygodne, bo przecież w klasie naprawdę są koleżanki i koledzy. Gdy zwrócimy na to uwagę, może choć trochę oderwiemy spór o feminatywy, neutratywy i inne spory językowe od wyraźnego podziału politycznego. Wierzę, że jest to możliwe, choć na razie nie nastąpiło. Gdy pojawia się jakiś spór, bardzo chętnie dołączają do niego osoby z deklaracjami politycznymi i oskarżają także językoznawców, że akceptując tendencje do zmian, próbują „pogrześć mowę".

ROZMAWIAŁA JOANNA PODGÓRSKA



ILUSTRACJA MARCIN BONDAROWICZ

Metry za litry

VIOLETTA KRASNOWSKA

Przestępcy, żeby przejąć cudzą nieruchomość, sięgają po różne oszustwa. Niektórzy posunęli się dalej – zabijali właścicieli. Co więcej, zrobili z tego dobrze prosperujący interes.

Najpierw polują, tropią, szukają. Po podwórkach, melinach, pod osiedlowymi sklepami, patrzą po brudnych oknach. Szukają uzależnionych od alkoholu, słabych, chorych, z ułomnościami psychicznymi, samotnych. Najważniejsze – z mieszkaniem, które można im zabrać i z zyskiem sprzedać. Jak się da, na zabrany ofiarom dowód wziąć jeszcze kredyty. A oszukanych otruć, żeby nie było świadków przestępstwa. To wydaje się nieprawdopodobne, ale takie szajki działają od lat, z podziałem na role – ktoś wyszukuje ofiary, ktoś nad nimi pracuje, żeby zdobyć od nich pełnomocnictwo do sprzedaży ich nieruchomości, aż do „wyjścia", jak nazywają moment, kiedy właściciel zwalnia mieszkanie. Lub zejścia. A wtedy pod blok podjeżdża kontener, gdzie trafiają wszystkie rzeczy byłego już właściciela. Potem tylko szybkie odświeżenie, malowanie i sprzedaż na wtórnym rynku. Z tej transakcji były już właściciel nie zobaczy grosza. Złoty interes.

Właśnie przed Sądem Okręgowym Warszawa-Praga ruszył proces tzw. gangu trucicieli.

Nie próbuj tego pić

Nie dowiedzielibyśmy się o tym zapewne do dziś, gdyby nie jedno zdanie rzucone przez kobietę, która przyszła do prokuratury złożyć zeznania w zupełnie innej sprawie. Podczas przesłuchania powiedziała, że znajomy jej wyznał, że zabijani są właściciele mieszkań przejmowanych przez grupę przestępczą.

Tym znajomym okazał się Robert S. – człowiek wykształcony, prawnik. Przyprowadzony do prokuratury wyznał wszystko, bo nie chce brać udziału w zabójstwach. Mówił o przejmowaniu konkretnych mieszkań, sypał adresami, nazwiskami ofiar. To były wielogodzinne zeznania. Wskazał kolejne adresy, gdzie wozili truciznę w plastikowych półtoralitrowych butelkach. Z jego zeznań wynikało, że to trwa od lat, miejscem działania grupy jest teren całej Polski, a w działania zaangażowani są również adwokaci i notariusze. Dodał, że „aktualnie grupa przygotowuje się do przejęcia kolejnych nieruchomości".

Jak sam przyznał, był przydatny szajce jako prawnik, no i umiał czytać, czego nie potrafił jego bezpośredni „szef" Roman P. Trucie właścicieli jako metodę działania przejął po teściu, który zmarł nagle w 2015 r. Roman P. jest analfabetą, ale za to sprawnie wyszukiwał ofiary, „zaprzyjaźniał" się z nimi, odwiedzał w mieszkaniu, udawał, że się nimi opiekuje, i okazywał troskę po to, żeby tylko

zdobyć pełnomocnictwo do sprzedaży ich mieszkań. Jako „przyjaciel" co rusz dostarczał im też rozcieńczony spirytus zmieszany z izopropanolem. To środek chemiczny wykorzystywany do rozpuszczania olejów i smarów, także jako środek czyszczący. Spożyty wywołuje ostrą niewydolność krążeniowo-oddechową i może prowadzić do śmierci. Do tego praktycznie jest nie do wykrycia podczas sekcji zwłok, gdy nie wie się, czego szukać.

A nikt nie szukał. Gdy znaleziono martwą Katarzynę B., policjanci, którzy przybyli na miejsce, pamiętali, że widzieli na stole plastikową 1,5-litrową butelkę po wodzie mineralnej – z jakimś płynem. Ale nie pomyśleli, sami przyznali to potem, żeby sprawdzić, co zawiera. Mieszkanie Katarzyny B. po babce przy ul. Szczęśliwickiej blisko Dworca Zachodniego w Warszawie wycenione na 280 tys. zł „kupił" – przeprowadzając nawet sprawę spadkową – Tomasz G. To młody biznesmen z wyższym wykształceniem menedżerskim. Według prokuratury to on kierował całą grupą.

Jak później ujął to prokurator Piotr Woźniak w akcie oskarżenia: „wykorzystując niezdolność Katarzyny B. do należytego pojmowania przedsięwziętego działania" wziął od niej pełnomocnictwo do sprzedaży mieszkania, a potem sam od siebie kupił. Ale pieniędzy jej nie dał, obiecał płacić jej „na życie", raz dawał jej 500 zł, innym razem tysiąc. W jego telefonie znaleziono wiele esemesów od niej – gdy prosi o pieniądze, bo nie ma na jedzenie. Potem zabrał się do jej własnego mieszkania, znalazł kupca, ale kobieta zażądała wpisania prawa do dożywocia w tym mieszkaniu. Tomasz G. powiedział kupcowi wtedy, że „ten problem wkrótce zniknie, bo ta pani jest w złym stanie zdrowia, jest alkoholiczką i ma opiekunów, którzy dostarczają jej alkohol i dopilnują tego". I dopilnowali. Niedługo potem zmarła. Tak jak jej znajomy, który z nią zamieszkał (po tym jak przejęto i jego mieszkanie przy al. Niepodległości, które sprzedano za 120 tys. zł).

Tomasz G. kazał dowozić zatruty alkohol także Krystynie N., właścicielce mieszkania przy ul. Przemyka w Warszawie. Podpisała dla niego pełnomocnictwo do sprzedaży. Obiecywał, że załatwi operację oczu jej partnera, który był niewidomy. Tomasz G. za to mieszkanie wziął 170 tys. zł. Dał jej je w reklamówce przy notariuszu, a po wyjściu odebrał. I żadnej operacji nie załatwił. Za to nowy właściciel wygonił ją z mieszkania, więc wylądowała w kawalerce, gdzie „eksmitowano" byłych już właścicieli wynajętego przez członka grupy w podwarszawskich Markach. Wkrótce jej zwłoki znaleziono w pobliżu.

Krzysztofowi L. zabrano mieszkanie, do tego kawał ziemi i wyrzucono na ulicę. Jakaś kobieta pozwoliła mu zamieszkać w pokoju, który wynajmowała dwóm budowlańcom. Potem zeznała, że widziała wielokrotnie, jak czarny samochód przywoził mu „całą butelkę z płynem po wodzie sodowej". Gdy Krzysztof to pił, przewracał się na wersalkę. Wąchała ten płyn, „był śmierdzący, nienadający się do picia" – powiedziała. Krzysztof zmarł w jej domu.

Był też Waldemar K. z mieszkaniem przy ul. Wandy. Od sierpnia 2019 r. „pracowali" nad nim, dowożąc zatruty alkohol; 14 grudnia 2019 r. Waldemar K. zmarł. „Nie wiedział, czego dotyczy upoważnienie, które podpisał" – zeznał później jego znajomy. Mieszkanie „poszło" za 120 tys. zł.

Robert S. opowiedział w prokuraturze, że Roman P. dawał mu takie 1,5-litrowe plastikowe butelki, które kazał mu rozwozić na podane adresy, ostrzegając, żeby nie próbował sam tego pić. Mówił mu, że płyn w butelkach jest niebezpieczny dla życia, że niektóre osoby zmarły zbyt szybko, zanim przestępcy zdołali zdobyć pełnomocnictwa na sprzedaż mieszkań.

Jak nie matka, to syn

Tak było z Marią S., właścicielką mieszkania przy ul. Czerniakowskiej 201 w Warszawie o wartości 344 tys. zł. Dowozili jej zatruty alkohol, ale została znaleziona martwa, zanim zdobyli od niej pełnomocnictwo do sprzedaży lokum. Zabiegów o zdobycie mieszkania jednak nie porzucili. Zabrali się do jej chorego na schizofrenię syna Adama, spadkobiorcę mieszkania. Sprawy w swoje ręce wziął już sam Tomasz G. Zlecił prawnikom przeprowadzenie postępowania spadkowego. Ale Adam S. uparł się, że nie sprzeda mieszkania. Tomasz G. mianował się więc przed sądem jego kuratorem – opiekunem prawnym.

Z protokołu posiedzenia sądu, który odnaleziono, wynika, że Adam S. nie wiedział, co się dzieje i co to dla niego oznacza. Żeby fizycznie wyprowadzić go z mieszkania, zaaranżowali przedstawienie: prawnik Robert S. przyszedł do mieszkania Adama i oświadczył mu, że jest administratorem i że z powodu zadłużenia lokalu Adam musi opuścić mieszkanie. Pomogli mu się spakować, a on opuszczając mieszkanie, potulnie oddał klucze nie komuś z administracji, tylko wprost w ręce Tomasza G. Ten – jako kurator – sam sobie wystawił pełnomocnictwo do sprzedaży mieszkania Adama. Wziął za nie 245 tys. zł. Ale Adamowi nie dał z tego nic. Mówił, że za to kupi mu inne mieszkanie. I kupił, nawet dwa, ale nie na Adama, tylko ▶

▶ na siebie. Jego najpierw umieścił w wynajętym mieszkaniu w Milanówku, potem w Tarczynie, skąd po jakimś czasie wyrzuciła go właścicielka.

– Ogryzali ludzi do gołej kości – mówi obrazowo prokurator Piotr Woźniak, który od początku prowadził to śledztwo.

O Michale, co wódki nie pił

Patent z zakażoną wódką zwykle się sprawdzał, bo skutecznie usuwał właściciela nieruchomości. Problemy pojawiały się, gdy ktoś nie chciał wódki. Jak Michał S. z mieszkaniem przy ul. Międzynarodowej w Warszawie o wartości 274 tys. zł. I nie chciał mieszkania sprzedać. Nie mogli go zatruć, to postanowili mu zabrać dowód osobisty. W tym celu kolejny z członków szajki Roman P. powiedział Michałowi, że załatwił mu pracę w Anglii i dowód potrzebny jest do załatwienia formalności przy zatrudnieniu. Roman dostał za to od Tomasza G. 400 zł. Potem na podstawie danych z dowodu sporządzono pełnomocnictwo do sprzedaży, podrabiając podpis. A na koniec notariuszka z Sochaczewa zatwierdziła dokument jako podpisany w jej obecności. Tomasz G. jako pełnomocnik sam od siebie „kupił" mieszkanie Michała. Oczywiście formalnie.

Gdy Michał S. się o tym dowiedział, pojechał do notariuszki do Sochaczewa. Zrobił awanturę, krzyczał, że to oszustwo, że nigdy nie był w kancelarii, nie składał tu podpisu, że to fałszerstwo. Zdenerwowana notariuszka zadzwoniła do Tomasza G. Postanowili go spacyfikować. Roman P. miał wywieźć Michała S. do Anglii, niby do pracy, ale okazało się, że sam miał zakaz wjazdu, więc na parkingu w Belgii pobił go do nieprzytomności, ukradł mu klucze od mieszkania, karty, prawo jazdy, wrócił do Warszawy i jeszcze okradł mieszkanie, wynosząc sprzęt AGD, obrazy, naczynia. Po czym sprzedano jego mieszkanie.

Michał S. się nie poddał. Gdy wyszedł ze szpitala w Belgii, wrócił i napisał do policji zawiadomienie o pobiciu. Szczegółowo opisał działania wobec niego, jak sam mówił, „mieszkaniowej mafii". Pismo z policji o wszczęciu dochodzenia Roman P. znalazł w skrzynce, więc znów go pobił i zmusił do wycofania zawiadomienia. Michał S. kolejny raz poszedł z tym na policję. Opowiedział, jak został wywieziony do kancelarii prawnej na Gocławiu i tam pobity, jak adwokat mu groził, jak wymuszono na nim oświadczenie, że wycofuje oskarżenia i zawieziono na pocztę, by je wysłać. Mówił, że ma na wszystko dowody, ale nie stać go na zrobienie ksero. Ale kilka dni później w towarzystwie adwokata został przywieziony na policję, gdzie wszystko odwołał. Nikogo to nie zastanowiło. Ludzie Tomasza G. przenieśli go do wynajętego pokoju, potem do hotelu robotniczego, w końcu Michał S. wylądował w ogródkach działkowych i tam zmarł.

Prokuratura zajęła się weryfikacją zeznań prawnika Roberta S. Sprawdzano księgi wieczyste, akty notarialne, pełnomocnictwa do sprzedaży mieszkania, aż po okoliczności śmierci właścicieli mieszkań. *– Wiele spraw dotyczących tych zgonów było zgłoszonych na policji, także kradzieże czy wyłudzanie własności nieruchomości, przywłaszczenia. Te sprawy zostały ściągnięte z prokuratur rejonowych, podjęte z umorzenia i dołączone do rozrastającego się wciąż postępowania* – mówi prokurator Woźniak.

Sprawę gangu trucicieli Tomasza G. wyłączył z tego rozrastającego się wciąż o nowe przypadki śledztwa. Bo, jak mówi, wszystkie zeznania Roberta S. potwierdziły się, znalazły oparcie w innych dowodach. W grudniu 2021 r. wydał polecenia zatrzymania członków grupy. Tomasza G. jako szefa grupy, Romana P. od wyszukiwania ofiar i dostawcy zatrutego alkoholu oraz zdobywania pełnomocnictw. Także Pawła S., który pilnował, żeby ofiary piły zatruty alkohol (okazało się, że sam też z nimi go pił), a potem pomagał przy „sprzątaniu" mieszkania i przygotowania do sprzedaży. On po zatrzymaniu podał kolejne adresy, kolejne nazwiska ofiar.



ILUSTRACJA BARTEK KIEŁBOWICZ

Krzysztofa P., brata Romana, zatrzymano na gorącym uczynku, gdy stał pod bankiem i czekał na Grażynę Ż., która poszła wybrać z konta 300 tys. zł na ich wspólną przyszłość. Jak określono to później w akcie oskarżenia: „wykorzystując niezdolność do należytego pojmowania przedsiębranego działania". W mieszkaniu kobiety przy ul. Kobielskiej w Warszawie wartym prawie pół miliona złotych zabezpieczono stojącą na stole plastikową butelkę z płynem. Okazało się, że był to zatruty alkohol. W organizmie kobiety, która miała 0,12 promila alkoholu, wykryto 407 mg/litr acetonu i 219 mg/litr izopropanolu. Według biegłych dawka śmiertelna wynosi ok. 250. Krzysztof P. usłyszał więc dodatkowy zarzut, że „działając z zamiarem pozbawienia życia, podawał Grażynie Ż. zatruty alkohol, jednak zamierzonego celu nie osiągnął z uwagi na interwencję policji".

Prokurator Woźniak na ławie oskarżonych posadził sześć osób, w tym emerytowaną notariuszkę za zatwierdzenie sfałszowanego pełnomocnictwa do sprzedaży mieszkania Michała S. Oskarżeni są w sumie o działanie w zorganizowanej grupie przestępczej od 2014 r., dokonanie pięciu zabójstw, sześciu przestępstw usiłowania zabójstwa, przestępstw doprowadzenia do niekorzystnego rozporządzenia mieniem lub usiłowania oszustwa w stosunku do mienia znacznej wartości.

Jak dodaje prokurator Woźniak, w sprawie wobec zagarniętych przez grupę Tomasza G. nieruchomości toczą się postępowania prowadzone przez wydziały cywilne prokuratur, by mogły powrócić do prawowitych właścicieli. Podstawą mogą być ustalenia wskazujące, że sprzedający nie miał świadomości znaczenia prawnego danej czynności.

W jednym z wielu mieszkań Tomasza G. zajętych przez prokuraturę na poczet przyszłych roszczeń mieszka teraz jedna z jego ofiar – bezdomny schizofrenik Adam S. W związku z działalnością grupy Tomasza G. stawiane są zarzuty kolejnym ludziom, w tym adwokatom.

Nowe adresy czekają

Działalność „gangu trucicieli" Tomasza G. okazała się tylko fragmentem tego rodzaju akcji, które mają miejsce w całej Polsce. Informacje o zatrzymaniu „gangu trucicieli" przyniosły lawinę podobnych spraw i zawiadomień z całej Polski dotyczących kolejnych nieruchomości. Co rusz kolejne mieszkania przejmowane w podejrzany sposób, ze śmiercią właściciela w tle, włączane są do tego wielkiego śledztwa prowadzonego w Prokuraturze Okręgowej Warszawa-Praga. To nieruchomości z Warszawy i okolic, ale też z Ostrołęki, Poznania, Siedlec, Mińska Mazowieckiego czy Łomży.

W sądzie Tomasz G. ani Roman P. nie przyznają się do winy. Jeden zrzuca winę na drugiego. Tomasz G. mówi, że dla niego to był zwykły biznes, a o truciu nie wiedział. Roman P. zaprzecza. I mówi, jak Tomasz G. kręcił nosem, że spirytus, który kupują do rozrabiania, za drogo kosztuje, 10 litrów 650 zł. I żeby kupował jakiś tańszy.

VIOLETTA KRASNOWSKA

Rozmowa z socjolożką dr Dominiką Byczkowską-Owczarek o zmaganiach z ciałem i wymaganiach, jakie sobie w związku z nim stawiał człowiek.



Ciałom wciąż mało

ILUSTRACJE PATRYK SROCZYŃSKI

JOANNA CIEŚLA: **– Podobno swoje ciało powinno się lubić. To modny banał czy jest w tym jakiś naukowy sens?**

DOMINIKA BYCZKOWSKA-OWCZAREK: – Ludzie zawsze mieli do ciała jakiś stosunek – było narzędziem pracy, narzędziem zbawienia albo drogą grzechu. Dziś ciała ludzi Zachodu z klasy średniej są oczywiście ich wizytówkami. I istnieje tak wiele możliwości zadbania o ciało – chirurgicznych, sportowych, dietetycznych, kosmetycznych – że łatwo ciało zmienić. Dlatego nie należy się na nie skarżyć. Jeśli ktoś narzeka na swoją wagę albo na zmarszczki, to najwyraźniej…

…wypadł z wyścigu.

No właśnie, poddał się marazmowi.

Można się uwolnić od tego obowiązku lubienia, od wpływu kultury na ciało?

Od wpływów kulturowych – nie, ale wobec ocen społecznych można się zdystansować. Nie jest to łatwe, ale istnieją społeczności, w których oceny innych dokonywane na podstawie wyglądu ciała nie są kluczowe. Natomiast nie uważam, że możliwe jest, aby wszystko, co związane z ciałem, było od wpływów kulturowych wolne. Przecież ciała są w wielkim stopniu kształtowane przez kulturę – czy bez plomb w zębach, okularów i operacji byłyby bardziej nasze? Czy funkcjonowałyby lepiej, realizowały role społeczne, które każdy z nas odgrywa? Raczej nie.

Kiedy socjologia zwróciła uwagę, że ciało ma znaczenie, że wpływa na role i procesy społeczne?

Po drugiej wojnie światowej zaczęli o tym pisać antropolodzy i filozofowie, np. Maurice Merleau-Ponty czy Norbert Elias, który pasjonował się tym, jak ludzie cywilizowali swoje ciała (Na marginesie chętnie przywoływał cytat z XVI-wiecznej książki dla chłopców: „Nie wypada witać się z kimś, kto właśnie oddaje mocz lub się wypróżnia", co świadczyło o tym, że nie było to wtedy oczywiste). Sama socjologia ciała to lata 80. XX w. Ale lata 80. są po latach 70. i 60., kiedy powstały tabletka antykoncepcyjna i ruch hipisowski, łatwo dostępne stały się substancje psychoaktywne, które w jakimś sensie pozwalały na uwolnienie ciała.

Myślałam, że zaczęło się wcześniej, w okolicach rewolucji przemysłowej.

Zainteresowanie ciałem rozwijało się tysiące lat, ale sprowadzało się do podejścia medycznego, biologicznego. Nie było tego tematu w szerszej refleksji historycznej, socjologicznej. Początek zmiany faktycznie był ściśle związany ze zmianą świata pracy, ale dokładnie z wejściem do niego kobiet. Dopiero wtedy ujawniły się różnice, jeśli chodzi o sposób pracy, wytrzymałość fizyczną, objawiły się także m.in. kwestie macierzyństwa. Wcześniej nie było za bardzo czym się zajmować, bo ciała widywane w przestrzeni publicznej były podobne. Wśród pracowników fabryk dominowali mężczyźni, wśród urzędników kobiet prawie w ogóle nie było. Jeśli chodzi o Polskę, nie było osób różnych ras, więc nie było punktu odniesienia do porównań. Zaczęło się to zmieniać przed drugą wojną światową, a wojna wymusiła najbardziej masowe wejście kobiet na rynek pracy. W XX i XXI w. zaczęliśmy dostrzegać ciało i zastanawiać się nad nim także dlatego, że przestaliśmy o nim myśleć w ujęciu religijnym, jako o tymczasowym, nieważnym aspekcie istnienia. Poza tym kobiety zaczęły zarabiać i mogły sobie kupować kosmetyki, a ponieważ wychodziły do pracy, chciały wyglądać lepiej.

Czyli wciąż traktuje się ciało jako drogę do czegoś – jak nie do zbawienia, to do sukcesu, statusu itd.

To jest zróżnicowane w zależności od kraju, ale w Polsce rzeczywiście ciało ▶

▶ jest traktowane bardzo instrumentalnie, o czym świadczy liczba aptek i spożywanych leków, w szczególności antybiotyków. Według unijnych statystyk w Polsce sprzedaje się tyle antybiotyków, ile we wszystkich krajach wspólnoty razem wziętych!

Żeby szybko zreperować i jechać dalej...

Oczywiście nie jest tak, że ludzie biorą antybiotyki, bo są źli czy bezmyślni. Ciało to element systemu społecznego, w którym istnieje pewna kultura pracy. Tę polską kulturę już dawno brutalnie, ale trafnie nazwano „kulturą zapier…”. To fakt, że Polacy pracują bardzo dużo – dyskusyjne jest, czy efektywnie. Są zmęczeni, nie umieją odpoczywać.

Ależ umieją! A chill and grill?

Biesiadowanie i picie alkoholu nie sprzyjają regeneracji ciała, nawet jeśli ludzie rozluźniają się psychicznie. Mało śpimy. Potrzeba odpoczynku i snu dziś jest tabu, takim jak kiedyś seks. Seks teraz stał się obowiązkiem, a odpoczynek i sen są kojarzone ze słabością charakteru. Jeśli lubisz długo spać, to jesteś leniwa, jeśli wolisz się zdrzemnąć, niż przeczytać książkę, to nie zależy ci na rozwoju osobistym.

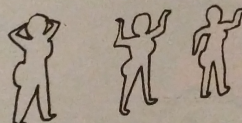
Pandemia tego nie zmieniła?

To się zmienia, ale wśród najmłodszych pokoleń, które starsi krytykują właśnie dlatego, że zostali ukształtowani w tej kulturze zapier… w latach 90. W odniesieniu do pracy zastanawiają się, „jak wiele jestem jej winna?”. W oczach starszych to lenistwo albo mazgajstwo, a moim zdaniem jest dużo mądrości w dbaniu o swoje zasoby, o swoje ciała też.

Choć o ciele mówi się mnóstwo, ludzie bardzo mało wiedzą o tym, jak ignorowanie fizycznych potrzeb wpływa na relacje społeczne, na skuteczność w osiąganiu celów. Na przykład, że do rozwiązywania konfliktu nie warto się zabierać, będąc głodnym.

Tak, ludzie tkwią w przekonaniu, że dbanie o relacje społeczne oznacza głównie troskę o rozwój intelektualny, lektury, kursy doszkalające, ewentualnie psychoterapię, no i dbałość o wygląd. Studenci, z którymi pracuję, też są zdziwieni, gdy mówię, że gryzący sweter sprawia, że człowiekowi podnosi się poziom irytacji, tak samo jak wtedy, gdy jest mu zimno. A to ma wpływ na sposób, w jaki on wchodzi w interakcje z innymi. Bez świadomości ciała, np. tego, że cisną nas buty, związane z tym rozdrażnienie interpretujemy jako emocję, np. złość.

Ciała są w wielkim stopniu kształtowane przez kulturę. Czy bez plomb w zębach, okularów i operacji byłyby bardziej nasze?



Dlaczego ludzie tego nie wiedzą?

Dlatego, że są trenowani w ćwiczeniach intelektualnych, a pomija się zadania i rozmowy typu: „po czym poznajesz, że jesteś zmęczony?”, „po tym, że już nie przyjmujesz wiedzy, że niczego się nie nauczysz?”. Czasem na zajęciach zadaję pytanie: „Gdzie teraz jest twoja lewa noga?”. I połowa studentów musi spojrzeć, nie wiedzą tego, bo nie czują.

Z książki „Ciało i społeczeństwo. Socjologia ciała w badaniach i koncepcjach teoretycznych”, której jest pani współautorką i redaktorką, wynika, że podejście do ciała w pracy to cały ocean przykładów pozorowanej troski.

Tak, szczególnie pasjonujące dla socjologa są zasady bezpieczeństwa i higieny pracy. Bo co to takiego? To normy i procedury, które ludzie wymyślili, żeby w pracy było bezpieczniej. Ogólnie to ogromny dorobek cywilizacyjny. Ale w tworzeniu tych regulacji uwzględniano przede wszystkim nagłe czynniki, które zagrażają bezpieczeństwu. Przez dziesiątki lat ignorowano takie ryzyko, jak np. w przypadku łódzkich włókniarek, wśród których był bardzo duży odsetek poronień. Działo się tak, bo pracowały wśród maszyn, które raczej nie stwarzały bezpośredniego zagrożenia życia, emitowały natomiast bardzo częste drgania. Dalej: wysiłek osoby 24 godziny na dobę zajmującej się dziećmi, odpowiedzialnej za ich zdrowie i życie, co wymaga uwagi, wiąże się z ciągłym zmęczeniem i deprywacją snu, nie jest uznawany za pracę. Jeszcze dalej: usługi seksualne dopiero powoli zaczynają być w niektórych kręgach uważane za pracę.

Te zadania nie są wykonywane w przedsiębiorstwach, nie widnieją w klasyfikacji zawodów.

W tym rzecz. Pracownice seksualne z powodów czysto kulturowych nie są np. objęte badaniami pod kątem chorób wenerycznych. A mówimy o pracy, która istnieje od zawsze, o usługach seksualnych przecież nawet zgryźliwie mówi się „najstarszy zawód świata”. Praca matki też istnieje od zawsze.

Tak się składa, że są to zawody kobiece.

Być może to nie jest przypadek. Jeśli jednak chodzi o tzw. zawody męskie, w których zasady BHP obowiązują, ale punktem odniesienia jest model macho twardziela, nadmierne respektowanie zasad bezpieczeństwa bywa uważane za niemęskie.

Ciało stało się na nowy sposób kłopotliwe, kiedy weszło do przestrzeni publicznej. Zwraca pani uwagę, że właśnie wokół ciała krąży dziś gros największych społecznych sporów, choćby o aborcję czy zasady bezpieczeństwa w pandemii. Faktycznie chodzi o granice wolności, prywatności i odpowiedzialności?

Można tak to ująć, to pewien aspekt dyskusji o tym, czyje jest ciało, na ile społeczna kontrola nad nim jest uprawniona. Nigdy w historii ciało nie było tylko nasze własne. Pańszczyźniani chłopi byli własnością szlachcica, niewolnicy należeli do właściciela, kobiety były własnością męża lub ojca, żołnierze – dowódców itd. Dziś nam się mówi, że ciało jest tylko nasze, a innymi kanałami przekazuje się informacje, że tak nie jest, bo czym innym jest zakaz aborcji? Nie możesz czegoś zrobić ze swoim ciałem. Podobnie jest z nakazami – musisz się zaszczepić, nosić maseczkę w pandemii. Ludziom wydaje się niepojęte, że ktoś ingeruje w ich ciała, bo słyszą wciąż, że są wolni. A to pozór, po prostu nie są zniewoleni religią, własnością ziemską, wszyscy jesteśmy współobywatelami. Ale regulacje prawne na różnym poziomie wciąż wolność ograniczają, wpływają na to, co z ciałami można zrobić, a czego nie. Chcę zaznaczyć, że nie oceniam, czy to dobrze, czy źle, jedynie stwierdzam fakty.

Ciekawe, że podejście do tych ograniczeń nie do końca zgadza się ze światopoglądowymi pakietami. Lewicowy



Dr **Dominika Byczkowska-Owczarek** jest socjolożką, pracuje w Uniwersytecie Łódzkim na Wydziale Ekonomiczno-Socjologicznym. Przewodnicząca Sekcji Socjologii Ciała Polskiego Towarzystwa Socjologicznego. Redaktorka książki „Ciało i społeczeństwo. Socjologia ciała w badaniach i koncepcjach teoretycznych” (Wydawnictwo UŁ, 2023 r.).

sprzeciw wobec zakazu aborcji jest uzasadniany prawem do wolności i autonomii, ale prawem do wolności uzasadnia się też ultraliberalną niechęć wobec obowiązku szczepień.

Normy bardziej lub mniej akceptowane w różnych grupach politycznych czy ideologiach dotyczą różnych sfer życia. Czym innym są kwestie zaraźliwości chorób, czym innym prawa reprodukcyjne. Wolność związana z ciałem ma wiele różnych wymiarów.

Prawa reprodukcyjne mogą być rozpatrywane w perspektywie patriotycznej jako gra, w której stawką jest przedłużenie ciągłości narodu. Być może dlatego, oprócz względów religijnych, prawica tak bardzo chce zakazu aborcji. A obcy ludzie dają sobie też prawo do komentowania wyglądu, zachowań i dawania rad kobietom w ciąży. Pomyślałam o tym, śledząc dyskusję wokół wieloboistki Adrianny Sułek, która na czas ciąży nie przerwała przygotowań do igrzysk olimpijskich.

Kobieta w ciąży jest wobec tej ciąży drugorzędna, jej ciało w sposób najbardziej ewidentny staje się polem ideologicznej bitwy. Z każdej strony sypią się pytania: a czy ona jeszcze pracuje? Wzięła wolne, bo dba o dziecko. Ale ciąża to nie choroba, dlaczego już idzie na zwolnienie? Dlaczego poszła na zwolnienie tak późno? Mniejsze znaczenie ma to, czy kobieta chce pracować, czy zależy jej np. na awansie. Częściowe wyjaśnienie emocji i napięć tkwi również w tajemnicy, która otaczała ten stan przez tysiące lat, kiedy nie można było zajrzeć do brzucha, nie było badań, do końca nie było wiadomo, czy dziecko urodzi się żywe. Zdrowe? Dziewczynka czy chłopiec? Z tym mistycyzmem z kolei wiążą się przesądy, np. że dotknięcie ciężarnego brzucha przynosi szczęście – i dlatego nawet obce osoby uważają, że mają do tego prawo.

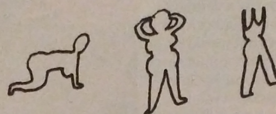
A ciała ciężarnych osób publicznych, reprezentantek narodu, jeszcze mniej są ich własne.

No tak, ciała osób, które nas reprezentują, w ogóle podlegają licznym surowym wymogom. Powinny być też estetyczne, mieścić się w kanonie. W swoim czasie do Parlamentu Europejskiego startowała znana i zasłużona działaczka społeczna, która była w trakcie chemioterapii – i dały się słyszeć głosy, że wspaniale, „ale teraz to ona powinna się zająć swoim zdrowiem". Dlaczego poza Franklinem Delano Rooseveltem wśród światowych przywódców nie było dotychczas osób na wózku inwalidzkim, z protezami kończyn albo niewidomych? Nie tylko dlatego, że mierzą się z liczniejszymi problemami codziennego życia. Jedynie modelowe ciało wydaje się zapewniać efektywność działań. Ten, kto nas reprezentuje, musi być osobą sprawną.

Czy w takim razie fakt, że osoby urodziwe wydają nam się bardziej odpowiednie do pewnych zadań, kompetentne, chętniej je też zatrudniamy i awansujemy, to natura czy kultura?

To kultura. W naszej takie bonusy na starcie do większości zawodów otrzymują wysocy mężczyźni, szczupli, ale umięśnieni, po trzydziestce. W niektórych kulturach afrykańskich to też będzie mężczyzna, ale otyły. Ciało komunikuje wartości, według których żyjemy. Jeżeli kiedyś wartością były cnota, religijność, oddanie Bogu, to w cenie były bladość skóry, zatroskany wyraz twarzy, pochylona sylwetka. Dzisiaj wartość stanowią aktywność, witalność i dobrobyt, modelowe ciała są zdrowe, ale też zadbane – po fryzjerze, z manikiurem, ogolone.

Ciało komunikuje wartości, według których żyjemy. Dzisiaj wartość stanowią aktywność, witalność i dobrobyt.



Czy jest szansa, że uwolnimy się od wnioskowania o kompetencjach na podstawie wyglądu ciała?

Szansa – tak, pewności nie ma. Wypracowano już różne sposoby, żeby ograniczyć wpływ cech ciała, takich jak rasa czy płeć, na rekrutację. To na przykład anonimizowanie CV, neutralizowanie informacji powiązanych z płcią. Dąży się do tego np. w londyńskim City, ale rekruterzy zawsze mają do dyspozycji adres kandydata i na jego podstawie mogą ustalić, że jest on np. hinduskiego pochodzenia, co może być przydatne, jeśli np. mamy w zespole pięciu Hindusów. Czasem biorą górę własne przeświadczenia, np. że kobiety czy mężczyźni są w czymś lepsi. Według mnie najskuteczniejszym sposobem neutralizowania tych przeświadczeń jest dopuszczanie do gremiów decyzyjnych osób o różnych wrażliwościach, z ograniczeniami sprawności, w różnym wieku, z różnych kręgów kulturowych i klas, różnych płci.

Rozwój sztucznej inteligencji pomoże nam w relacjach z ciałem? Przyszłość wydaje się pani obiecująca czy raczej budzi niepokój?

Wydaje mi się ciekawa. Zazwyczaj gdy pojawiają się jakieś tendencje, pojawiają się też tendencje przeciwne, np. technologia kształtuje nasze życie, ale dzięki niej mamy dostęp do przydatnych aplikacji pozwalających monitorować stan zdrowia. Choć oczywiście czasami przekracza to granice absurdu, gdy informacje o tym, czy jesteśmy wyspani, czerpiemy ze smartwatcha, a nie z własnego samopoczucia.

A co z ciągłym ocenianiem własnych ciał? Wspomniała pani, że można się od tego uwolnić.

Dość obiecujący wydał mi się jeden z nowszych nurtów, który nazywa się *body neutrality*, w odróżnieniu od *body positivity*, ciałopozytywności, która niejednokrotnie okazuje się pułapką. *Body neutrality* zakłada, że po prostu mamy ciało – jakiś brzuch, bardziej umięśniony lub mniej. Mój brzuch, który posłużył np. do wydania na świat dziecka, trawi jedzenie, nie jest powodem ani dumy, ani wstydu, źródłem osiągnięć ani nawet tożsamości. W podejściu *body neutrality* uznaje się, że dobrze, że mamy ciało, które jest zdrowe, umożliwia nam pracę, oddawanie się zainteresowaniom, wchodzenie w interakcje z innymi ludźmi. W tym sensie, wracając do pani początkowego pytania, sądzę, że warto lubić swoje ciało. Ale nie mam też złudzeń, że takie podejście spodoba się korporacjom kosmetycznym, medycznym i farmaceutycznym; raczej nie będą chętne, żeby je popularyzować.

ROZMAWIAŁA
JOANNA CIEŚLA

Od majówki po sierpniówkę



Polacy coraz chętniej wybierają wypoczynek za granicą, niewiele droższy niż w kraju, za to z gwarancją pogody. Niebawem ruszą na majówkę i czerwcówkę, a potem na letnie wakacje. Biura podróży zacierają ręce, bo szykuje się rekordowy rok turystyki wyjazdowej.

ADAM GRZESZAK

Do wyjazdów zachęca też tegoroczny kalendarz. Wyjątkowo korzystny układ dni świątecznych i weekendów daje możliwość zbudowania kilku mostów wypoczynkowych bez nadmiernego nadwyrężania urlopowego zasobu. Królową mostów jest oczywiście majówka: wystarczy zainwestować trzy dni urlopu między 27 kwietnia a 5 maja i można się cieszyć aż dziewięcioma dniami wypoczynku. Zaraz potem jest czerwcówka, która w tym roku zacznie się w czwartek 30 maja, bo wtedy wypada święto Bożego Ciała, co daje szansę na kolejny czterodniowy wypad. A przecież pomiędzy majówką a czerwcówką są egzaminy ósmoklasisty, kiedy uczniowie niższych klas podstawówek mają wolne, a to zachęca wielu rodziców także do wyjazdu. Biura podróży starają się do tego dopasować. Skończyły się sztywne turnusy od soboty do soboty, dziś można wybrać się na dowolną liczbę dni.

Dla biur podróży majówka oznacza inaugurację letniego sezonu. – *Rezerwacji na tegoroczny długi weekend majowy jest dwa razy więcej niż w ubiegłym roku. Już w marcu sprzedano więcej ofert, niż turystów w ogóle wyjechało na zeszłoroczną majówkę* – komentuje Jarosław Kałucki z travelplanet.pl, popularnego zwłaszcza wśród internautów multiagenta turystycznego oferującego wycieczki wielu biur podróży. – *Sprzedaliśmy o 20 proc. więcej wycieczek niż w zeszłym roku, też przecież nie najgorszym* – zdradza Semir Hamouda, dyrektor biura Sun & Fun Holidays.

Przed Wielkanocą majówkowa pula w większości biur podróży była już wyczerpana. – *Do wyjazdów zachęcają też ceny, generalnie niższe niż w ubiegłym roku. Pewne wzrosty dostrzegamy w przypadku Cypru i Włoch. Droższe są też imprezy krajowe sprzedawane przez touroperatorów, te średnio zdrożały o ok. 30 proc.* – wyjaśnia Kałucki. Sposobem na obniżenie kosztów zagranicznego wyjazdu może być skorzystanie z niemieckich biur podróży sprzedających oferty w Polsce. Niemcy nie mają takiej majówki jak my, więc szukając klientów, oferują swe imprezy nieco taniej. Korzystają z tego głównie mieszkańcy ściany zachodniej, dla których dojazd do lotniska w Berlinie, Lipsku czy Dreźnie nie stanowi problemu.

– *Jeśli porównamy średnie ceny tegorocznych ofert i ubiegłorocznych, to okazuje się, że tydzień w Turcji kosztuje ok. 80 zł od osoby mniej niż rok temu, w Egipcie blisko 290 zł mniej, a przy Grecji prawie 350 zł. Nieznacznie spadł również koszt wyjazdu do Tunezji* – wyjaśnia Marzena German, ekspertka z internetowej platformy sprzedaży wycieczek wakacje.pl. – *Rosnący popyt na wycieczki to także efekt coraz częstszych wyjazdów rodzinnych. Jeśli w poprzednich latach dominowała sprzedaż wakacji we dwoje, to dziś widzimy wzrost zainteresowania ofertami 2+1 lub 2+2* – dodaje ekspertka.

Lato stulecia

W biurach turystycznych trwa więc ruch, bo po wyjazdach na majówkę i czerwcówkę niedługo zacznie się szczyt wakacyjnego sezonu. Ten tradycyjnie koncentruje się w lipcu i sierpniu, choć wydłuża się coraz bardziej aż do października. Wiele osób już jesienią planuje wypoczynek w kolejnym roku. Biura podróży starają się te emocje podkręcać, prowadząc promocje first minute. W ten sposób walczą z popularną modą polowania na lasty, czyli kupowaniem tuż przed wylotem przecenionych wycieczek last minute. To dla nich dość uciążliwa praktyka, więc każdego roku przekonują łowców okazji, że tym razem lastów nie będzie. Ale są, bo nigdy nie udaje się sprzedać wszystkich miejsc w samolocie czarterowym i pokoi hotelowych, więc trzeba się zdecydować na przecenę.



Marmaris, Turcja – jeden z ulubionych kierunków wyjazdowych Polaków.

Niektóre biura rozpoczęły już sprzedaż zimy 2024/25, a są i takie, w których można rezerwować lato 2025. Konkurencja się zaostrza, zwłaszcza że w ubiegłym roku na nasz rynek weszły dwa zagraniczne biura podróży, turecki Orex Travel by Anex oraz ukraiński Join UP!, które zdobywają klientów niskimi cenami. Zdaniem branży podejrzanie niskimi, a ponieważ dotyczy to wypoczynku w Turcji, Egipcie i Bułgarii, a więc ulubionych miejscówkach polskiego turysty masowego, nic dziwnego, że napięcie rośnie. Branża boi się wybuchu wojny cenowej, bo wspomnienie poprzedniej, która doprowadziła wiele biur do upadku, jest wciąż żywe.

– *Wszystko wskazuje, że to będzie najlepsze lato w historii naszej firmy, a prawdopodobnie w ogóle całej branży. Na wakacje wyślemy nawet 30 proc. więcej klientów niż w 2023 r. Hitami tegorocznych wakacji będą, podobnie jak w roku ubiegłym, Grecja, Turcja i Hiszpania, ale do ścisłej czołówki dołączają również mniej oczywiste kierunki, takie jak Albania* – mówi Marta Góral z biura Rainbow, jedynego touroperatora notowanego na warszawskiej giełdzie.

Także w innych biurach rezerwacji jest tyle, że wszyscy żyją w przekonaniu o historycznym rekordzie. Byle tylko samolotów nie zabrakło, bo nie tylko rośnie liczba klientów, ale coraz większy udział mają wczasy, na które docieramy drogą powietrzną. Wakacyjne czartery to było zawsze wąskie gardło branży turystycznej, a pandemia źle wpłynęła na branżę lotniczą. – *Już w ubiegłym roku samoloty latały jak taksówki, niemal bez przerwy. Drobna awaria maszyny powodowała, że cały harmonogram ulegał wywróceniu, bo nie było jej czym zastąpić. Pandemia zahamowała produkcję nowych maszyn i teraz liniom ich brakuje. Także LOT czeka na nowe samoloty* – wyjaśnia Semir Hamouda.

Z Radomia bliżej do Afryki

Duża część ruchu lotniczego w polskich portach to wakacyjne czartery. Biura podróży wysyłają swych klientów z niemal wszystkich lokalnych lotnisk. – *Ponad połowa turystów poleci na wakacje z warszawskiego lotniska Chopina i z Katowic. Na kolejnych miejscach są porty Poznania, Wrocławia, Gdańska, Krakowa i Łodzi, bo duże aglomeracje zapewniają touroperatorom większość klientów. Ostatnio bardzo wzrósł ruch z Rzeszowa, skąd operują ukraińscy touroperatorzy. Słabo za to wygląda pozycja Radomia, choć jak słyszeliśmy, jego atutem jest to, że leży bliżej Afryki* – zauważa Jarosław Kałucki.

Już zeszły rok był dla biur podróży niezły, ale ten zapowiada się dużo lepiej. Byle tylko nic dramatycznego się nie wydarzyło, bo przekleństwem branży turystycznej są wojny, rewolucje, ▶

▶ pandemie, kryzysy ekonomiczne i załamania waluty. – *Na razie złoty jest mocny, paliwo lotnicze w miarę tanie, dochody Polaków rosną, bezrobocia nie ma* – wylicza dyrektor Semir Hamouda. I dodaje: – *Dlatego nie tylko przybywa klientów, ale też rosną oczekiwania dotyczące standardu wypoczynku. Dziś najczęściej wybierane są hotele cztero- i pięciogwiazdkowe.*

Słońce, piasek, morze

Polski turysta masowy latem szuka nie tylko dobrego hotelu, ale przede wszystkim ciepłego morza, piaszczystej plaży i prażącego słońca, czyli tego, co w turystycznej branży zwane jest ofertą trzy S (*sea-sun-sand*). Według systemu rezerwacyjnego wakacje.pl najtaniej znajdzie się to w tym roku w Tunezji (tydzień dla dwóch osób to ok. 5,8 tys. zł), nieco drożej w Turcji, dziś najpopularniejszym kraju letniego wypoczynku rodaków (6,5 tys. zł), podobnie wygląda średnia cena w Grecji. Nieco drożej jest w Hiszpanii i Egipcie.

– *Najchętniej wybierana jest oczywiście opcja all inclusive* – wyjaśnia Jarosław Kałucki. W branży turystycznej są różne teorie, skąd taka popularność wakacji na wypasie. Panuje przekonanie, że Polak na wakacjach lubi nie tylko zjeść, ale i napić się, a w opcji all inclusive można sączyć drinki, wino lub piwo do woli, a między posiłkami dogadzać sobie także przekąskami. – *W wielu hotelach opcja all inclusive jest standardem. W egipskich kurortach, gdzie turysta spędza czas nad basenem przy hotelu albo na plaży, nie ma nawet możliwości, by wybrać się samodzielnie do restauracji albo kafejki. Inaczej jest w Grecji, gdzie turyści chętnie korzystają z lokalnej gastronomii* – twierdzi Kałucki. Marzena German ma własną teorię: – *Rodzice jadący z dziećmi obawiają się, że będą musieli kupować im lody, przekąski czy napoje, a to nadszarpnie ich budżet. A tak za nic płacić dodatkowo nie muszą.*

Branża turystyczna wolno podnosiła się z covidowej zapaści. Ze statystyk Turystycznego Funduszu Gwarancyjnego wynika, że jeśli w 2019 r. ze zorganizowanego wypoczynku skorzystało 7,8 mln osób, to rok później było ich zaledwie około miliona, głównie za sprawą turystyki zagranicznej i tego, że niektóre kraje stosowały łagodne reguły sanitarne. Potem zaczęło się luzowanie obostrzeń, pandemia powoli wygasła, więc liczba wypoczywających rosła. W ubiegłym roku było ich już 7,57 mln, ale dla biur podróży oznaczało to rekord, bo na zagraniczne wczasy wysłały 5,4 mln klientów, czyli 1,06 mln więcej niż w 2019 r. W tym roku – wszystko na to wskazuje – powinno być jeszcze lepiej.

Coraz liczniejsza grupa wyjeżdża nie raz, ale dwa razy w roku, a nawet częściej. Karierę zrobił *city break*, czyli kilkudniowy wyjazd do jakiegoś atrakcyjnego turystycznie europejskiego miasta po to, by je zwiedzić, zanurzyć się w jego atmosferze, poznać lokalną kulturę i kuchnię. Biura podróży wprowadziły więc do swej oferty takie krótkie miejskie wypady, ale także gotowe są pomagać w samodzielnym ich organizowaniu. Nazywa się to pakietowaniem dynamicznym, kiedy klient kupuje tylko określone usługi – np. przelot samolotem, zarezerwowanie miejsca w hotelu, wynajęcie samochodu. A resztą zajmuje się sam.

To jedna z form turystyki doświadczeń, czyli rozwijającego się nurtu turystyki, w której chodzi o coś więcej niż tylko spędzenie tygodnia lub dwóch na plaży, przy basenie i za suto zastawionym bufetem w gigantycznym luksusowym hotelu. Im bardziej rozrasta się przemysł turystyczny, w kurortach powstają wielkie hotelowe kombinaty, po morzach krążą gigantyczne wycieczkowce z tysiącami pasażerów – tym silniejsze jest wrażenie, że *overtourism* doprowadzi do tego, że te masy zadepczą najpiękniejsze miejsca świata. Coraz więcej osób szuka innych form wakacyjnego wypoczynku.

Renesans przeżywa turystyka objazdowa. Dotychczas był to margines. Latem biura podróży zwykle ograniczały się do oferowania klientom znudzonym plażowaniem krótkich wycieczek fakultatywnych, które można było wykupić u lokalnego rezydenta biura. Dziś jednak niemal wszystkie mają imprezy objazdowe, przybywa też małych biur podróży wyspecjalizowanych w określonych kierunkach albo typach aktywności. Można się wybrać na wyprawę po Europie, by podglądać ptaki w towarzystwie ornitologa, robić zdjęcia w pięknych miejscach pod okiem zawodowego fotografa, zwiedzać zabytki z historykiem sztuki. Jest nawet biuro, które oferuje objazdówkę dookoła świata (cena ok. 75 tys. zł od osoby).

Skandynawskie biuro Albatros Travel działa w Polsce od kilku lat i specjalizuje się wycieczkach objazdowych. Bliskich, czyli po Europie, i dalekich, czyli po innych kontynentach, aż po Australię, Amerykę, a nawet Antarktydę. – *Widzimy, jak rośnie zainteresowanie tą formą wypoczynku. Nasi klienci to głównie mieszkańcy dużych miast, zarabiający powyżej średniej i w wieku także powyżej średniej, bo wycieczki objazdowe to nie jest rozwiązanie na wakacje z małymi dziećmi* – mówi Wioletta Drozdowska, szefowa polskiego oddziału Albatros Travel. Wycieczki objazdowe są zdecydowanie droższe niż stacjonarne, a te na inne kontynenty kosztują kilkanaście do kilkudziesięciu tysięcy złotych od osoby, więc klient jest wymagający. – *Szukamy nowych tras i nowych sposobów pokazania miejsc, które nawet jeśli nasz turysta już kiedyś odwiedzał, to teraz zobaczy je w nowym świetle. Do tego są potrzebni doświadczeni piloci i przewodnicy* – wyjaśnia Drozdowska.

Ekowakacje

Turystyka doświadczeń nie jest jedynym nowym trendem, jaki przyniosła pandemia. Inny wiąże się z ekologią. Coraz częściej turyści zwracają uwagę na szkody, jakie masowa turystyka wyrządza przyrodzie. Światowa Organizacja Turystyki (UNWTO) promuje turystykę zrównoważoną, czyli taką, która chroni przyrodę, dorobek kulturowy, szanuje lokalne społeczności i ich kultury. Zadanie nie jest łatwe, ale mamy już pierwsze sygnały, że także polska branża dostrzega problem. – *Chcemy rozwijać ofertę wyjazdów wakacyjnych w miejsca dbające o ekologię* – deklaruje Maciej Nykiel, prezes biura podróży Nekera. Pierwszym kierunkiem, gdzie (poza wszystkimi usługami) turysta uzyska gwarancję poszanowania środowiska naturalnego i społecznego, jest Cypr. – *Nasi cypryjscy partnerzy dają nam gwarancje działania zgodnie z zasadami ESG (środowisko-społeczeństwo-zarządzanie)* – wyjaśnia szef Nekery.

Okres pandemii odcisnął potężne piętno na turystyce. Wciąż jeszcze odreagowujemy ten czas zamknięcia. – *Dziś w hierarchii potrzeb turystyka i wypoczynek znacznie awansowały. Ludzie nie chcą z nich rezygnować, nawet jeśli muszą oszczędzać* – twierdzi Jarosław Kałucki. Maciej Nykiel jest zdania, że przysłużył się też bon turystyczny. Wprawdzie można go było wykorzystać tylko w Polsce, ale dla wielu rodzin był to rodzaj turystycznej inicjacji. Wyjeżdżali, bo jak państwo daje pieniądze, to szkoda, żeby się zmarnowały, ale nagle dostrzegli też, że można się ruszyć z domu, zatrzymać na kilka dni w hotelu lub pensjonacie, coś zwiedzić, odpocząć. Zasmakowali i nie chcą już z tego zrezygnować. Dla biur podróży stanowią nową grupę klientów. I to grupę cenną, bo nie grymaszą, że wszędzie już byli i wszystko widzieli.

ADAM GRZESZAK

Tanie skarby Alibaby

Do Aliexpress w walce o polskiego klienta dołączyły Temu i Shein, a do natarcia przygotowuje się TikTok. Czy nasi sprzedawcy przetrwają to zderzenie z gigantami wspieranymi przez chińskie władze?

CEZARY KOWANDA



© TIM GRAHAM/ROBERT HARDING/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK

Kupuj jak milioner – tak w Polsce reklamuje się platforma Temu, która w imponującym tempie podbija zachodnie rynki. Co ciekawe, w Stanach Zjednoczonych Temu obiecuje klientom jeszcze więcej. Tam slogan promocyjny to „kupuj jak miliarder". Chociaż Chińczycy oceniają Polaków jako mniej ambitnych niż Amerykanie, także u nas Temu może się pochwalić spektakularnym debiutem.

Serwis wystartował w połowie ubiegłego roku, a jego stronę internetową i aplikację – jak wynika ze styczniowego badania Gemius/PBI – odwiedza już ok. 15 mln polskich użytkowników miesięcznie. Pod tym względem Temu jest numerem dwa naszego handlu internetowego, bo więcej Polaków przegląda tylko ofertę Allegro. W pierwszej dziesiątce najpopularniejszych serwisów zakupowych można znaleźć też obecny znacznie dłużej na polskim rynku Aliexpress (niecałe 9 mln użytkowników) oraz modowy Shein (ponad 6 mln). Oba również pochodzą z Państwa Środka. Wkrótce dołączy do nich zapewne chiński serwis społecznościowy TikTok, który także rozwija w szybkim tempie swój sklep internetowy.

Nie wiadomo, ile Polacy wydają na zakupy przez chińskie platformy, bo te nie udostępniają takich danych. Jednak łatwo wyjaśnić ich triumfalny pochód przez Europę i Amerykę – to przede wszystkim niskie ceny połączone z często bezpłatną dostawą produktów. Mimo że te docierają z Chin, i to zazwyczaj drogą lotniczą. Chińskie platformy tłumaczą, że ich atrakcyjne promocje są możliwe dzięki wyeliminowaniu pośredników. Na przykład Temu kontaktuje ze sobą bezpośrednio klientów i chińskich producentów. Czasem oferowane są artykuły nawet jeszcze nieistniejące, aby w ten ▶

► sposób zbadać potencjalne zainteresowanie. W sukurs przychodzi sztuczna inteligencja, tworząca wymyślne grafiki. Shein testuje rynek, szyjąc najpierw stosunkowo niewielkie partie ubrań. Jeżeli liczba zamówień rośnie, natychmiast następuje zwiększenie produkcji. Nie ma kosztownego magazynowania czy ryzyka, że odzież się nie sprzeda. Do tego dochodzi niebywale skuteczne wykorzystywanie nowoczesnych technologii. Aplikacje tych serwisów natychmiast reagują na to, czym interesuje się użytkownik, i zarzucają go odpowiednimi promocjami. Przy tym kuszą nieustannie kuponami rabatowymi i specjalnymi przecenami.

Kto korzysta z chińskich platform, może się poczuć jak na gigantycznym bazarze. Tyle że wirtualnym. – *Na przykład Temu stosuje zupełnie inny marketing niż polscy sprzedawcy. Nie ma żadnego budowania wizerunku marki czy promowania logotypu. Jest za to skupienie się na krótkich filmikach reklamowych, np. poprzez platformę TikTok, zresztą też chińską* – wyjaśnia Tomasz Woźniak, prezes Future Mind, firmy tworzącej m.in. aplikacje mobilne dla sprzedawców. – *Zamiast kosztownych kampanii w telewizji do promocji wykorzystuje się dużą grupę tzw. mikro- czy nanoinfluencerów, mających stosunkowo niewielką liczbę lojalnych fanów. Poza tym pierwszy zakup zazwyczaj jest niemal za darmo. Chodzi o to, żeby klient – zwłaszcza ten do tej pory niekorzystający z zagranicznych platform handlu internetowego – spróbował i coś zamówił. A potem wrócił po więcej.*

Im szybciej rosną chińskie platformy, tym więcej wzbudzają kontrowersji. Zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, które same nie wiedzą, co robić z ich popularnością. Tamtejsi politycy oskarżają je o wykorzystywanie pracy przymusowej prześladowanych w Chinach Ujgurów, o szpiegostwo przemysłowe, o bliskie kontakty z chińską partią komunistyczną i przekazywanie jej informacji o klientach. Jednak np. właściciel Temu, koncern PDD Holdings, aby poradzić sobie z takimi zarzutami, przeniósł w ubiegłym roku swoją siedzibę z Szanghaju do Dublina. Chińskie platformy podkreślają, że przestrzegają europejskiego i amerykańskiego prawa. Z pewnością nie można ich oskarżyć o działanie w zmowie. Właściciele Temu i Aliexpress ostro walczą ze sobą na chińskim rynku, a teraz tę rywalizację przenieśli na cały świat. Temu i Shein toczą nawet spory w amerykańskich sądach, oskarżając się nawzajem o zastraszanie



dostawców. Jednak to wcale nie uspokaja polskich sprzedawców.

Naszym firmom chińska konkurencja nie podoba się z wielu powodów. Narzekają, że nikt nie sprawdza, czy produkty przybywające z Państwa Środka na wielką skalę spełniają surowe europejskie normy, dotyczące choćby bezpieczeństwa. Chińczycy nie przejmują się wymaganymi certyfikatami albo po prostu stosują europejskie oznaczenia bez przeprowadzania jakichkolwiek testów. To też jedna z metod ograniczania kosztów. A przy tym potencjalne zagrożenie, zwłaszcza w przypadku zabawek czy sprzętu elektronicznego. Europejscy sprzedawcy żądają od państw unijnych dokładniejszych kontroli i surowych kar za nieprzestrzeganie bardzo przecież rygorystycznych norm wspólnotowych.

Spore kontrowersje budzi też unijny przepis zwalniający z cła przesyłki spoza Wspólnoty (w tym z Chin) o wartości poniżej 150 euro. W przypadku droższych zamówień powszechną praktyką jest dzielenie ich na kilka paczek, aby zmieścić się w tym limicie. Komisja Europejska co prawda obiecuje, że obniży próg 150 euro, bo także ona jest zaniepokojona zalewem chińskich przesyłek. Jednak na razie szczegółów brak.

Europejscy sprzedawcy mogą się tylko pocieszać, że w jeszcze gorszej sytuacji znalazły się amerykańskie firmy rywalizujące z Chińczykami. W Stanach Zjednoczonych bowiem próg bezcłowego importu wynosi na razie aż 800 dolarów. Nic dziwnego, że według raportu Kongresu już w ubiegłym roku Temu i Shein nadawały do amerykańskich klientów łącznie 600 tys. paczek… dziennie! Skala sukcesu chińskich platform staje się coraz większym obciążeniem dla międzynarodowego transportu lotniczego. Firma Cargo Facts Consulting wyliczyła, że Temu wysyła dziennie w świat towary ważące 4 tys. ton, Shein – 5 tys. ton, a Alibaba (właściciel Aliexpress) dokłada kolejne tysiąc ton.

Także nową unijną dyrektywę Omnibus, mającą chronić klientów, Chińczycy traktują niezbyt poważnie. Co prawda platforma Aliexpress zaczęła niedawno podawać przy promocjach najniższą cenę z ostatnich 30 dni, ale Temu wciąż tego nie robi. Sprawie przygląda się m.in. nasz Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów. To jednak i tak stosunkowo niewielki problem w porównaniu z zarzutem o nierówność szans. – *Polscy producenci też przecież zamawiają produkty w Chinach. Mówią jednak często o nieuczciwej konkurencji logistycznej. W chińskich portach to firmy z chińskim kapitałem obsługiwane są priorytetowo* – mówi Tomasz Woźniak z Future Mind.

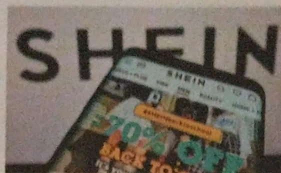
To zresztą tylko jeden z przykładów procederu bardzo niepokojącego europejskich sprzedawców. – *Nagły sukces chińskich gigantów wiąże się w dużej mierze z wykorzystywanym przez nich modelem biznesowym sprzedaży bezpośredniej (tzw. direct-to-consumer), który pomógł im zbudować silną globalną pozycję. Ten model pozwala gigantom korzystać m.in. z niskich podatków, ceł, atrakcyjnych opłat terminalowych czy braku nadzoru rynku* – tłumaczy Patrycja Sass-Staniszewska, prezes zarządu Izby Gospodarki Elektronicznej. – *Nie jest także tajemnicą, że rząd chiński wspiera e-przedsiębiorców obecnych na zagranicznych rynkach, np. przez subsydia, jeśli prowadzą działalność w specjalnych strefach ekonomicznych. Otrzymują też wsparcie finansowe na tworzenie zagranicznych magazynów czy dofinansowanie do przesyłek.*

Chińska ekspansja jest zatem tyleż zasługą pomysłowości tamtejszych przedsiębiorców, co efektem konsekwentnej polityki, zgodnie z którą to zalew sieci przez chińskie produkty ma pomóc Państwu Środka w czasie gospodarczego spowolnienia po pandemii. – *Konieczne jest zapewnienie sprawiedliwego i równego opodatkowania paczek wysyłanych bezpośrednio do konsumentów w Unii, skuteczne egzekwowanie przepisów wspólnotowych i nadzór rynkowy nad chińskimi graczami* – podkreśla Patrycja Sass-Staniszewska. – *Prowadzimy kampanię „Taki sam start", dotyczącą równych ram prawnych i konkurencyjnych dla azjatyckich oraz europejskich przedsiębiorców, ze szczególnym uwzględnieniem e-firm działających na terenie Polski.*

O ile chińskie platformy mogą sobie pozwolić na dopłacanie do wielu zamówień, o tyle nasi gracze nie są w tak komfortowej sytuacji. Pokazuje to historia serwisu wszystko.pl, należącego do polskiego koncernu informatycznego Comarch. Zaczął działać pod koniec czerwca ubiegłego roku, czyli niemal równolegle z polską wersją Temu. Chciał konkurować z Allegro i innymi potentatami. Chwalił się nawet, że nie pobiera prowizji od sprzedawców. Jednak już w lutym tego roku zakończył

krótki żywot. Najwyraźniej właściciel uznał, że nie stać go na ogromne inwestycje, a perspektywa osiągnięcia zysków była zbyt odległa. Chińscy sprzedawcy takich dylematów nie mają. Ich strategia jest prosta: ponosić straty, byle tylko osiągnąć dominującą pozycję na zagranicznych rynkach. Komu się to uda, ten potem podniesie ceny i zacznie zarabiać. Kto przegra, ten po prostu zakończy działalność, finansowaną i tak w sporej mierze przez chińskiego podatnika.

Czy zatem przyszłość także polskiego handlu internetowego jest wyłącznie w chińskich rękach? Niekoniecznie. Na razie większość klientów traktuje te platformy jako miejsce poszukiwania wyjątkowych okazji, jednak nie kojarzy ich ani z wysoką jakością produktów, ani z dobrą obsługą klienta. Wiadomo, że zwroty towarów do Chin są kłopotliwe, a kontakt z firmą wysyłającą – bardzo utrudniony, jeśli w ogóle możliwy. O ile w przypadku zamówień o niewielkiej wartości to stosunkowo mały problem, o tyle już droższych artykułów wciąż wiele osób boi się z Chin sprowadzać. Wśród największych platform internetowych



w Polsce pozostają zatem np. rodzime sklepy sprzętu elektronicznego: Media Expert i RTV Euro AGD.

Także Allegro nie musi się na razie bać chińskiej konkurencji, bo obroty lidera rynku, mimo spektakularnego wzrostu odwiedzin w aplikacjach Temu czy Shein, wciąż rosną. Kto zatem ma silną markę, cieszy się zaufaniem klientów i może zaoferować szybką dostawę, ten na razie nie powinien się martwić. Nawet przy wykorzystaniu transportu lotniczego przesyłki z Chin potrzebują około tygodnia na dotarcie do naszego kraju. A polskie sklepy oferują często dostawę już następnego dnia kurierem czy do automatu paczkowego.

Nasi sprzedawcy mają nadzieję, że choć wielu klientów chce wypróbować chińskie platformy, a ich oferty zwyczajnie lubi przeglądać w wolnej chwili na smartfonie, nie znaczy to, że będzie na nich regularnie kupować. Warto przypomnieć spektakularną, ale krótką karierę w Polsce singapurskiego serwisu Shopee, który wydał duże pieniądze na hałaśliwy marketing (choćby wyjątkowo irytującą przeróbkę dziecięcej piosenki o rekinku) i również zachęcał tysiącami promocji czy kuponów rabatowych w swojej aplikacji mobilnej. Jego właściciel szybko uznał, że polski rynek nie spełnia pokładanych w nim nadziei, i porzucił go ubiegłej zimy. Tyle że Shopee nie miał ani takich zasobów finansowych jak właściciele Shein, Aliexpress czy Temu, ani wsparcia chińskiego państwa.

Zagrożenie dla chińskich platform jest chyba innej natury. Muszą się zdecydować, czy chcą traktować nas rzeczywiście jak milionerów, o czym przekonują w reklamach, czy też jak klientów na bazarze, o czym świadczy ich dotychczasowa oferta i sposób jej prezentacji. Jeżeli wybiorą pierwszą drogę, zainwestują w przestrzeganie europejskich przepisów i zmienią wizerunek na bardziej profesjonalny, wtedy polscy sprzedawcy naprawdę znajdą się w poważnych tarapatach.

CEZARY KOWANDA

Porządki po brazylijsku

Były prezydent Jair Bolsonaro planował zamach stanu i nielegalnie inwigilował politycznych rywali. Czy skazanie go posłuży demokracji?

ARTUR DOMOSŁAWSKI Z SÃO PAULO I RIO DE JANEIRO

Jak na przegranego w wyborach i ściganego przez wymiar sprawiedliwości Jair Bolsonaro jest całkiem żywotny. Pod koniec lutego skrzyknął prawie 200 tys. zwolenników na największej alei w São Paulo – chciał pokazać siłę i postraszyć: „Zobaczcie, co się stanie, jeśli zostanę skazany".

Przed Sądem Najwyższym toczy się osiem spraw przeciw niemu. W najpoważniejszym ze śledztw jest podejrzany o kierowanie nieudaną próbą zamachu stanu po przegranych wyborach w 2022 r. Trzy dni przed wspomnianą demonstracją był przesłuchiwany przez policję, ale nie odpowiedział na żadne z pytań o swoją rolę w próbie puczu z 8 stycznia 2023 r. Policja zdołała jedynie zatrzymać mu paszport.

Dopiero otoczonemu tłumem sympatyków, stojącemu na dachu autobusu rozwiązał się język. „Zamach stanu to czołgi na ulicach, broń, spisek. Tutaj niczego takiego nie było!" – prowadził „dialog" z wymiarem sprawiedliwości w asyście braw i okrzyków.

Bolsonaro nie krył, że potrzebuje fotografii z tłumem zwolenników, która obiegnie Brazylię i świat. Zwołując manifestację, zachęcał fanów, by włożyli na siebie koszulki reprezentacji piłkarskiej Brazylii – to już dziś zawłaszczony przez bolsonarystów symbol. I żeby nikogo nie atakowali, a już szczególnie sędziów. Dał do zrozumienia, że ważne jest właśnie zdjęcie, nie hasła czy przemówienia. Wrogie okrzyki były, ale przeciw obecnemu prezydentowi Luizowi Inácio Luli da Silvie, nie sędziom.

Strach przed więzieniem – to zdaniem obserwatorów główny motyw obecnych działań Bolsonara, który nieraz mówił, że wolałby umrzeć, niż zostać uwięziony. A zarzuty się mnożą: organizowanie puczu, rozpowszechnianie fałszywych wiadomości, gromadzenie drogocennych prezentów należących do państwa brazylijskiego, nie do niego osobiście, lekceważenie i fatalne administrowanie podczas pandemii.

Dziś już nie ma wątpliwości, że atak tłumu bolsonarystów 8 stycznia 2023 r. na siedziby trzech władz w Brasilii był przygotowywany i zorganizowany. Na cztery dni przed złożeniem urzędu przez Bolsonara agencja bezpieczeństwa wewnętrznego ABIN ostrzegła mającego objąć urząd Lulę, że do stworzonego ad hoc koczowiska bolsonarystów w stolicy przyjechało ośmiu oficerów znanych z antydemokratycznych poglądów. Twórcy koczowiska wzywali w tamtych dniach wojsko do nieuznania wyniku wyborów prezydenckich i przeprowadzenia zamachu stanu.

Służby bezpieczeństwa były gotowe na ewentualny atak w dniu przejęcia przez Lulę władzy 1 stycznia. Ale gdy nic się nie wydarzyło, prawdopodobnie uznano, że zagrożenie jest mniejsze niż sądzono. Bolsonaryści zaatakowali tydzień później, a policjanci sympatyzujący z nimi odeskortowali ich pod same budynki władz, na które puczyści przypuścili szturm i je zdemolowali. Niektórzy policjanci robili sobie z puczystami selfie.

Atak stłumiła dopiero policja federalna, do aresztów trafiło około półtora tysiąca bolsonarystów. Części postawiono zarzuty m.in. o atak na konstytucyjne władze państwa, udział w uzbrojonej grupie przestępczej, niszczenie mienia publicznego. Za niektóre grozi kara 30 lat więzienia.

W czasie ataku w Brasilii Bolsonara nie było w kraju, pojechał na wakacje na Florydę. Głosił, że wybory mu ukradziono i nie chciał uczestniczyć w uroczystości przekazania władzy Luli. Wśród części bolsonarystów dało się wtedy wyczuć rozczarowanie liderem, który – najpewniej ze strachu przed konsekwencjami – dystansował się od puczystów.



Teraz wiadomo, że już na kilka miesięcy przed przegranymi wyborami Bolsonaro planował zamach stanu. Informacje te policja i prokuratura zawdzięczają zawartości telefonu komórkowego, a przede wszystkim zeznaniom osobistego sekretarza Bolsonara, porucznika Maura Cida. Od tego się zaczęło. Pod koniec marca zeznania Cida potwierdzili i rozwinęli dwaj inni wysocy oficerowie.

Zarys przebiegu zdarzeń: początek lipca 2022 r. – Bolsonarowi zostało pół roku na urzędzie. Na posiedzeniu grupy najbliższych sobie ministrów i współpracowników, w tym dwóch generałów, Bolsonaro żąda, by wszyscy oni zaczęli publicznie podważać bezpieczeństwo elektronicznego systemu wyborczego. Sugeruje, że przeciwnicy szykują wielkie fałszerstwo, żeby Lula wygrał już w pierwszej turze.

Jeden z obecnych generałów Augusto Heleno sugeruje, by uderzyć jeszcze przed wyborami. Tylko jeden z ministrów przytomnie pyta: „Czy to spotkanie jest nagrywane?". Bolsonaro odpowiada, że nagrane zostanie tylko jego wystąpienie. Jednak nagrane zostało całe spotkanie, policja znalazła odpowiednie wideo w komputerze porucznika Cida.

Nagrane słowa Bolsonara sugerują, że ma świadomość łamania prawa, bo mówi, że opuści pałac prezydencki „uwięziony za czyny niedemokratyczne". Co więcej, na spotkaniu z zagranicznymi ambasadorami Bolsonaro już publicznie wyraża wątpliwość, czy elektroniczne urny wyborcze to bezpieczny system głosowania. Później te właśnie słowa – uznane za rozpowszechnianie dezinformacji – staną się podstawą dla pozbawienia Bolsonara biernych praw wyborczych do 2030 r.

30 października 2022 r. Bolsonaro przegrywa z Lulą drugą turę wyborów. Ale przewaga zwycięzcy jest niewielka – 1,8 pkt proc. Przed koszarami wojskowymi w wielu dużych miastach gromadzą się zwolennicy Bolsonara. Wykrzykują, że wybory im skradziono, i domagają się od wojskowych przeprowadzenia zamachu stanu. Bolsonaro nie pokazuje się publicznie, milczy.

Już następnego dnia zwołuje spotkanie kilku generałów, cywilnych współpracowników, w tym doradcy prawnego. Zadaje zebranym pytanie, czy da się coś zrobić przeciw wynikowi wyborów. Słyszy od nich, że nie było oszustwa i należy uznać werdykt demokracji.

Trzy tygodnie później trzech współpracowników przedstawia Bolsonarowi projekt dekretu o zamachu stanu. Mowa w nim o unieważnieniu wyborów, aresztowaniu dwóch sędziów Sądu Najwyższego i przewodniczącego Senatu. Bolsonaro sugeruje poprawki. Nowa wersja dekretu zawiera propozycję m.in. przeprowadzenia nowych wyborów.

7 grudnia Bolsonaro wzywa na spotkanie dowódców sił zbrojnych i ministra obrony. Przedstawia im dekret o zamachu stanu jako działanie legalne. Tylko szef marynarki wojennej „kupuje" plan Bolsonara, pozostali dystansują się od spisku.

9 grudnia sekretarz Bolsonara naciska na dowódcę sił lądowych gen. Freire Gomesa, by przyłączył się do zamachowców – bezskutecznie.

W połowie grudnia gen. Braga Netto wszczyna kampanię obelg i oskarżeń przeciw dowódcom sił lądowych i lotnictwa z powodu ich odmowy przystąpienia do puczu. Nazywa ich zdrajcami ojczyzny. Oskarżenia podchwytują bolsonaryści i przez media społecznościowe przetacza się fala hejtu przeciw tym dwóm generałom. To najprawdopodobniej ich odmowa przesądza o tym, że plan puczystów się załamał.

1 stycznia 2023 r. Lula obejmuje urząd, a atak tłumu bolsonarystów w Brasilii tydzień później to ostatnia desperacka próba zdestabilizowania sytuacji, która – w zależności od rozwoju wydarzeń – mogła jeszcze stworzyć szansę na przeprowadzenie zamachu stanu.

Rok później, 8 lutego 2024 r., Bolsonaro i 28 innych osób zostają formalnie oskarżeni o planowanie zamachu stanu. Czterech doradców Bolsonara zostaje zatrzymanych, pozostali będą odpowiadać z wolnej stopy. Bolsonaro, pozbawiony paszportu, ma zakaz podróżowania za granicę. Obawiając się zatrzymania, dwie noce spędza w ambasadzie Węgier. Głosi, że jest politycznie prześladowany.

Dlaczego dowódcy sił lądowych i lotnictwa, mając zapewne poparcie części kolegów, nie zdecydowali się poprzeć planu puczystów? Moi rozmówcy – w 2023 r., jeszcze nie wiedząc o rozłamie wśród dowódców – wskazali na otoczenie międzynarodowe, w szczególności poparcie z Waszyngtonu dla werdyktu demokracji.

„Gdyby w Białym Domu w tamtym momencie zasiadał nie Joe Biden, ale Donald Trump, wydarzenia mogłyby się potoczyć ▶

▶ inaczej" – tłumaczył wpływowy dziennikarz Mario Magalhaes. Trump zacząłby wtórować Bolsonarowi, że elektroniczny system liczenia głosów jest zły. A od tego tylko krok do ogłoszenia dekretu o zamachu stanu, który – jak dziś wiemy – Bolsonaro miał gotowy. Fundamentalne znaczenie miało też szybkie uznanie przez Waszyngton wyborczego zwycięstwa Luli.

To zupełnie nowa sytuacja w historii Brazylii. USA wsparły siły progresywne przeciw zachowawczym, mającym poparcie armii. W latach 60. „postępowi" i „otwarci" John F. Kennedy i Lyndon B. Johnson rozważali, w obliczu egalitarnych reform w Brazylii, amerykańską interwencję wojskową, a poprzestali na przysyłaniu tysięcy agentów i broni dla wojska (które przeprowadziło w 1964 r. zamachu stanu). Doświadczenia amerykańskich Demokratów z trumpizmem miały – jak się okazało – pedagogiczną moc.

Piero Leiner, brazylijski komentator zajmujący się siłami zbrojnymi, napisał w dniach niedoszłego puczu, że porównanie ataku bolsonarystów w Brasilii do ataku trumpistów na Kapitol w Waszyngtonie miało pewną słabość. W Stanach wojsko nie brało udziału w szturmie na siedzibę Kongresu. W Brazylii – brało. I jest to okoliczność kluczowa, stwarzająca stan permanentnego zagrożenia dla demokracji ze strony mundurowych – niezależnie od tego, jakie układy zawrze z nimi Lula czy inny progresywny przywódca.



© EVARISTO SA/AFP/EAST NEWS

Budynek ambasady Węgier w Brasilii, w którym ukrył się Jair Bolsonaro.

Wzywając tysiące swoich zwolenników na ulice, Bolsonaro liczył na zastraszenie wymiaru sprawiedliwości i obecnej ekipy. Możliwe zresztą, że taki efekt uzyska. Pytanie, czy uwięzienie uczyniłoby zeń „męczennika", jest politycznie zasadne. Z punktu widzenia prawa nie jest; spiskowanie przeciw ładowi konstytucyjnemu w celu przeprowadzenia puczu to przestępstwo. Nie wiadomo jeszcze, jaki argument przeważy.

Wśród przeciwników Bolsonara w prywatnych rozmowach słyszałem argument, że lepiej go nękać, uprzykrzać mu życie, wzywać na przesłuchania i do sądu. Ale samo skazanie odwlekać. I tak już nie może kandydować w wyborach.

Wystąpienie w czasie ostatniej demonstracji w São Paulo dostarczyło zresztą policji i prokuraturze kolejnych dowodów. Bolsonaro, mówiąc do tłumu sympatyków, sam przyznał, że dekret o zamachu stanu był gotowy. Lepszego potwierdzenia żadne władze śledcze już chyba nie zdobędą.

Ale próba zamachu stanu – choć to najpoważniejsze z przestępstw Bolsonara – nie jest jedynym złamaniem prawa przez byłego prezydenta. W czasie jego rządów agencja bezpieczeństwa ABIN szpiegowała polityków opozycji, ich asystentów, działaczy ekologicznych, związkowców, dziennikarzy i ludzi akademii. Posługiwano się izraelskim programem śledzącym First Mile.

Innym sposobem niszczenia przeciwników było rozpowszechnianie przez ABIN fałszywych informacji za pomocą anonimowych kont na Twitterze (obecnie X). Obiektami ataku byli działacze lewicy i społeczności LGBT. Szpiegowano też opozycyjnych senatorów, a także Marcelo Dutra, byłego szefa Instytutu Ochrony Amazonii, oraz inżyniera Newtona Monteirę, który zajmował się demaskowaniem nielegalnego wypalania i wycinania lasów deszczowych – obie praktyki Bolsonaro jako prezydent wspierał osobiście.

Prawdopodobnie podejrzliwość i paranoja, jakie panowały w otoczeniu byłego prezydenta, sprawiły, że ABIN szpiegowała również niektórych jego współpracowników oraz lojalnych wobec rządu deputowanych z prawicy. Kolejne dni przynoszą coraz to nowe rewelacje w tej sprawie.

Sprzątanie po rządach Bolsonara to jak do tej pory największe zadanie, z którym zmaga się koalicyjny rząd Luli. – *Mamy za sobą rok odbudowy kraju* – mówi Tatiana Carlotti, historyczka i członkini szerokiego zespołu społecznych doradców Luli.

Wznowiono programy socjalne, które zostały przerwane za rządów Bolsonara, m.in. Więcej Lekarzy („import" medyków, głównie z Kuby), Mój Dom – Moje Życie (dotacje do budowy własnego domu) lub przygaszone jak Bolsa Familia (stypendium rodzinne w zamian za posyłanie dzieci do szkoły i na szczepienia).

Przywrócono też działalność instytucji takich jak Krajowa Rada Bezpieczeństwa Żywności i Żywienia, odpowiedzialna za wdrażanie polityki zwalczania głodu, który z potężną siłą wrócił za rządów Bolsonara. U schyłku jego rządów brak bezpieczeństwa żywnościowego dotknął połowę ludności wielkiego kraju, który jest... producentem żywności.

Carlotti mówi, że powrót Luli do władzy przywrócił również względną kontrolę nad naruszeniami prawa w Amazonii. Wylesianie ograniczono o jedną czwartą, a nielegalne wycinki zaczęto znowu ścigać na mocy prawa (Bolsonaro osobiście zachęcał do niszczenia lasów deszczowych). Policja federalna ponownie wszczyna śledztwa przeciw sprawcom przestępstw dokonywanych przez wielki biznes na rdzennej ludności.

– *Sama obecność Luli przywróciła poczucie stabilności politycznej, o której zdążyliśmy w ostatnich latach zapomnieć* – mówi Carlotti. – *Ze szczytów władzy zniknął przemocowy język, nieustanne kreowanie atmosfery konfliktów („rozniecimy ogień") i nieodpowiedzialności („kiedy ostatni Brazylijczyk dostanie szczepionkę, to i ja ją przyjmę").*

Ale sprzątanie po rządach Bolsonara nie będzie łatwe. Lula jest dziś politycznie słabszy niż w pierwszym okresie swoich rządów (2003–10). Wówczas miał więcej głosów w Kongresie i Senacie niż obecnie. Ponadto teraz nie ma światowej bonanzy na surowce i produkty rolne, jaka była w tamtych latach. Wprowadzane obecnie zmiany mają więc charakter kosmetyczny i symboliczny – przywracają stan sprzed rządów Bolsonara.

Lula musi układać się z tymi samymi siłami, które w drodze parlamentarnego zamachu stanu obaliły prezydent Dilmę Rousseff w 2016 r. i które współodpowiadają za uwięzienie jego samego w latach 2018–19. Również te same siły przyczyniły się do wyboru Bolsonara, dopiero po czasie orientując się, że rządy faszyzującego populisty to recepta na katastrofę. – *Szczęście w nieszczęściu, że mamy kogoś takiego jak Lula* – mówi Carlotti. – *Ale w tej chwili, niestety, tylko jego.*

Jeśli jesienią wybory w USA wygra Trump, a Bolsonaro i jego sympatycy zachowają energię do działania przeciw demokracji, sytuacja w Brazylii może się potężnie skomplikować.

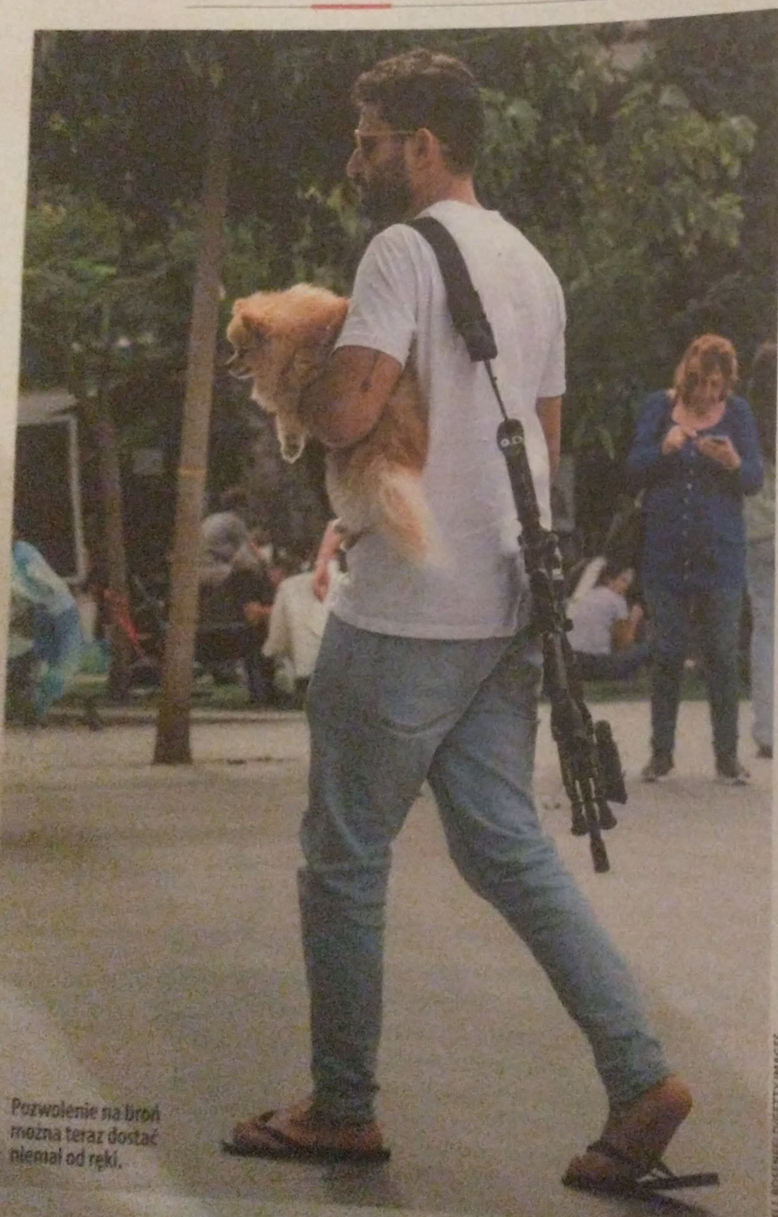
ARTUR DOMOSŁAWSKI



Półwojna

Strach Izraelczyków łatwo zrozumieć – państwo ich zawiodło. Ale zemsta w Gazie ma być tak długa i krwawa, żeby Hamas nigdy więcej nie odważył się zaatakować.

AGNIESZKA ZAGNER Z JEROZOLIMY I SDEROT



Pozwolenie na broń można teraz dostać niemal od ręki.

© ALEXI J. ROSENFELD/GETTY IMAGES

Przy placu Zakładników w Tel Awiwie jest duży stoper. Pokazuje upływ czasu od wzięcia do niewoli przez Hamas 240 izraelskich zakładników. Gdy wskazywał 170 dni, nadeszły informacje o porozumieniu w sprawie uwolnienia 40 z nich – w zamian za 800 palestyńskich więźniów i sześciotygodniowe zawieszenie broni. Z Gazy uwolnione mają być kobiety, dzieci, a także starsi mężczyźni. Ora Rubenstein, ciotka 22-letniego Bara Kupersteina porwanego z festiwalu Supernowa w Reim, gdzie pracował jako ochroniarz, wie, że w pierwszej grupie nie będzie jej bratanka. – *To porozumienie jest jednak krokiem do kolejnego, wierzę, że Bar do nas w końcu wróci* – mówi Ora.

W chwili zamykania tego numeru POLITYKI nie było pewne, czy porozumienie w ogóle dojdzie do skutku. Musi je zatwierdzić także ukrywający się w tunelach pod Gazą szef Hamasu, Jahia Sinwar, a sam Hamas blokuje jakąkolwiek umowę, która na dobre nie kończyłaby walk. Rodziny zakładników nadal więc czekają. Adi to żona porwanego z kibucu Beeri Tala Szohama, wciąż zakładnika w Gazie. Wraz z dwójką kilkuletnich dzieci została uwolniona w pierwszej turze w listopadzie: – *Powiedziała tylko, że nikt jej nie tknął, nie skrzywdzili też wnucząt. Nie śmiemy pytać o nic więcej* – mówi Gilad Korngold, jej teść. Jednak o gwałtach w tunelach opowiadali inni uwolnieni z rąk Hamasu. – *Mamy dowody na to, że zarówno 7 października, jak i już w Gazie, dochodziło do przemocy seksualnej* – mówi Orit Suliceanu, dyrektorka Stowarzyszenia Centrów Kryzysowych, które opublikowało szczegółowy raport na ten temat.

Surferzy na wietrze

Jair Moses na dźwięk telefonu przerywa rozmowę. Dzwoni przydzielony rodzinie oficer z armii, nie ma żadnych nowych informacji o ojcu Gadim, który w niewoli właśnie skończył 80 lat. Jego partnerka zginęła 7 października w Nir Oz. Matkę Jaira hamasowcy uwolnili po 49 dniach. Ze względu na hardość nadali jej przydomek „Kapitan Margalit". Jest jedną z niewielu osób, które stanęły oko w oko z człowiekiem odpowiedzialnym za atak 7 października. – *Sinwar przyszedł do nich, by powiedzieć, że nie chcą ich skrzywdzić, a jedynie wymienić na palestyńskich więźniów. Nie wywarł na mamie wielkiego wrażenia, taki niewielkiego wzrostu starszy pan* – mówi Jair.

Czy rząd robi wszystko, by uwolnić zakładników? Rodziny mówią, że gdyby tak

było, ich bliscy byliby już w domu. Według sondażu Izraelskiego Instytutu Demokracji, 60 proc. żydowskich obywateli nie zgadza się na uwolnienie wszystkich palestyńskich więźniów i zaprzestanie walk w Gazie, choć taki ruch popiera ponad 78 proc. izraelskich Arabów. Na razie Izrael zgodził się uwolnić ok. 100 więźniów skazanych za morderstwa. Wśród nich może być Marwan Barguti odsiadujący pięciokrotne dożywocie, jeden z kandydatów do schedy po prezydencie Autonomii Palestyńskiej Mahmudzie Abbasie. Nie byłby to precedens – w 2011 r. wśród uwolnionych ponad tysiąca więźniów za izraelskiego żołnierza Gilada Szalita był m.in. Jahia Sinwar…

Wielu, zwłaszcza starszych Izraelczyków pamiętających poprzednie wojny, uważa, że tego, co stało się 7 października, nie da się porównać z żadną inną, nawet z wojną Jom Kippur. Skala zaskoczenia wojska, rządu i zwykłych Izraelczyków brutalnością 3 tys. ludzi, którzy dokonali ataku, przerodziła się w głęboką zbiorową traumę. Coraz częściej mówi się nawet o „drugim Holokauście".

Dlatego – mimo że wojna trwa już pół roku – Izraelczycy są gotowi ponosić kolejne poświęcenia. Sondaże wskazują, że większość spodziewa się, że może ona potrwać kolejne miesiące. Premier Beniamin Netanjahu wciąż obiecuje „absolutne zwycięstwo", ale w ten ambitny plan nie wierzy ponad połowa Żydów i trzy czwarte izraelskich Arabów. Dla Izraelczyków ważne jest, by 7 października się nie powtórzył. Dlatego dają zielone światło działaniom w Gazie, także w sprawie ataku na Rafah – nawet mimo sprzeciwu Stanów Zjednoczonych. Ulica w zdecydowanej większości domaga się jednak wcześniejszych wyborów i odesłania Netanjahu na polityczną emeryturę. Z pewnością nie nastąpi to przed zakończeniem walk.

Na razie Izraelczycy trwają w trybie „półwojennym". Większość deklaruje, że ich życie wróciło do normalności, ale często to po prostu nowa normalność. W piątkowe wczesne popołudnie na basenie Gordon w północnym Tel Awiwie słychać radosne pluski – to głównie dzieci uczące się pływać. Na pobliskiej plaży surferzy korzystają z dobrego wiatru, okoliczne kawiarnie i restauracje są pełne.

Ten nadmorski spokój to bardziej pozory niż prawdziwy obraz kraju, który pod bronią ma ponad pół miliona ludzi. Przed wejściem na basen wiszą wielkie banery ze zdjęciami i nazwiskami porwanych 7 października i hasłem „Razem zwyciężymy". Nie ma strony internetowej, programu telewizyjnego czy zwykłej rozmowy, która nie zawierałaby jakiegoś odniesienia do wojny. Wielu Izraelczyków nosi też żółte wstążeczki – symbol solidarności z zakładnikami – lub metalowe nieśmiertelniki z wyrytą datą 7 października i napisem #BringThemHome.

– *Od sześciu miesięcy żyjemy tylko tym, bo w Izraelu nie ma nikogo, kto nie znałby chociaż jednej osoby, która ucierpiała 7 października. W tym sensie ten dzień dotyczy nas wszystkich* – mówi Joni, sprzedawca w jednym z jerozolimskich sklepików.

– *Trudno znaleźć kogokolwiek, kto chciałby zakończenia wojny. Dla nas to oczywiste, że jeśli teraz skończymy, to przegramy* – deklaruje chcący zachować anonimowość rezerwista elitarnej jednostki piechoty przygotowujący się właśnie do wojny z Libanem.

Lufa za ramieniem

Jeśli szukać różnic między Izraelem względnego pokoju i Izraelem na wojnie, w oczy rzucają się trzy zasadnicze: brak tłoku w jerozolimskich tramwajach, co drugi zamknięty sklepik na Starym Mieście oraz więcej niż zwykle cywilów z przewieszonym karabinem na plecach. Teraz nawet w szabat nikogo nie dziwi widok religijnego Żyda pchającego wózek z maleńkim dzieckiem, ze sterczącą za ramieniem lufą.

To efekt polityki ministra bezpieczeństwa narodowego Itamara Ben-Gewira. Już w pierwszych dniach po ataku Hamasu wręczył 10 tys. sztuk broni osadnikom, ale także doprowadził do poluzowania zasad pozwoleń na broń – można je teraz otrzymać niemal od ręki, zdalnie. Po 7 października liczba wydawanych dziennie pozwoleń skoczyła ze stu do 3 tys., a w ciągu zaledwie trzech miesięcy wydano ich ponad 260 tys. W całym 2022 r. wydano ich 42 tys., a rok wcześniej 20 tys.

Strach Izraelczyków można zrozumieć. Państwo ich zawiodło, a teraz Hamas wzywa swoich zwolenników do zamachów w czasie ramadanu. Już pierwszego dnia tego świętego miesiąca islamu izraelskim siłom specjalnym udało się udaremnić samobójczy atak 34-latka spod Dżeninu na Zachodnim Brzegu, który miał się wysadzić w Tel Awiwie. Od początku tego roku izraelska armia i Szin Bet (agencja bezpieczeństwa wewnętrznego) miały zapobiec ponad 250 zamachom.

Na jerozolimskiej starówce patrole – wcześniej dwu-, trzyosobowe – poruszają się teraz w ośmioosobowych zespołach. Są widoczne na każdym kroku, zwłaszcza w okolicy wejść na Wzgórze Świątynne (Ben-Gewirowi nie udało się przeforsować ograniczenia liczby muzułmanów, którzy mieliby prawo się tu modlić podczas ramadanu – pomysł utrącił Netanjahu).

Palestyńczycy są w Izraelu pod silną presją, co widać m.in. na punkcie kontrolnym w Kalandiji, niedaleko Jerozolimy. Do 7 października otwarte całą dobę przejście między Izraelem a Zachodnim Brzegiem dziś jest zamykane wczesnym popołudniem, a czasem wcześniej, bez ostrzeżenia. Pół roku temu do autobusów jadących z Ramallah wchodzili oficerowie straży granicznej i legitymowali pasażerów. Teraz wszyscy muszą wysiąść i na piechotę przejść przez punkt kontrolny.

Sytuacja z Kalandiji ma swoje konsekwencje. Wojna pozbawiła 150 tys. Palestyńczyków pracy w Izraelu. W rezultacie niemal stanęły inwestycje i nowe budowy, o ponad 18 proc. spadł eksport izraelskich towarów.

Izrael łapie gospodarczą zadyszkę. Wojna nie jest tania – codziennie kosztuje około miliarda szekli (nieco ponad miliard złotych), co nie uwzględnia zniknięcia z rynku pracy 300 tys. rezerwistów oraz części z przesiedlonych 120 tys. mieszkańców znad granicy z Libanem i Gazą. To ma swoje odzwierciedlenie w PKB – tylko w ostatnim kwartale zeszłego roku spadło ono o 20 proc. w stosunku do poprzedniego.

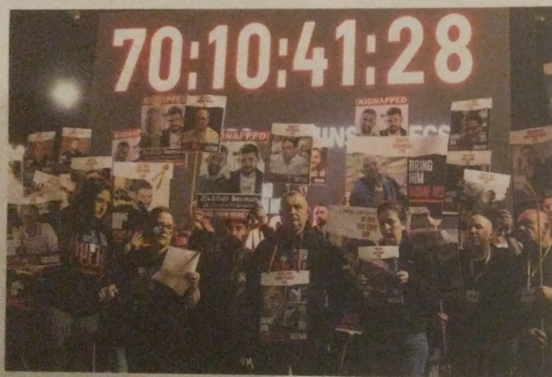
Kolor czerwony

Dobrze widać to na południu Izraela, najbardziej dotkniętym atakiem 7 października. Do hoteli w Ejlacie i Tel Awiwie ewakuowano stąd ponad 20 miejscowości położonych blisko Strefy Gazy. Na koszt państwa mogą w nich mieszkać do 7 lipca. Pod koniec lutego wojsko zgodziło się, by mieszkańcy wrócili ▶

▶ do 18 miejscowości. Pomóc miały zachęty finansowe – w zależności od liczby osób w rodzinie: od 15 do 62 tys. szekli za powrót. Sumy maleją z każdym tygodniem – aż do 12 proc. wyjściowej wartości.

Zachęty do powrotu nie wszędzie działają. Do niegdyś 30-tysięcznego Sderot, położonego zaledwie 1,5 km od Gazy, do tej pory wróciła około połowa dawnych mieszkańców. Szkoły ruszyły niedawno, stacja kolejowa – dopiero 18 marca. Przekładane kilkakrotnie z powodu wojny wybory lokalne, choć w większości kraju odbyły się pod koniec lutego, tu przesunięto na listopad.

Nie zmieniło się tylko jedno – codziennością jest *cewa adom* (kolor czerwony), syrena alarmowa włączana za każdym razem, gdy umieszczone co pięć kilometrów balony-radary wychwycą, że w kierunku miasta odpalono rakietę. Przez ostatnie 20 lat na miasto spadło ich ponad 12 tys.



Rodziny porwanych czekają... Stoper przy placu Zakładników w Tel Awiwie odmierza czas od pamiętnego ataku.

© MAJA HITIJ/GETTY IMAGES

– Gdy słyszę syrenę, mam maksymalnie 15 sekund, żeby dobiec do najbliższego schronu. To za krótko. Jedyne, co zostaje, to położyć się na ziemi i zakryć głowę rękoma – mówi Rami, mieszkaniec Sderot.

Pokazuje schron po drugiej stronie ulicy. W całym mieście są ich dziesiątki. Ale 7 października okazały się niewystarczające, a nawet zawodne. Skonstruowano je tak, że alarm automatycznie otwiera drzwi schronu. Tamtej feralnej soboty nie otworzyły się dla grupy 15 emerytów jadących na wycieczkę nad Morze Martwe. Zginęli wszyscy. W sumie tego dnia w mieście zabito 50 cywilów, w tym 35 osób na posterunku policji, do którego wdarli się uzbrojeni zamachowcy.

Sderot założono na początku lat 50. Trafili tu głównie Żydzi z Iranu, Maroka, Rumunii, potem ze Związku Radzieckiego – dziś mieszkają tu głównie ich potomkowie. Żeby zachęcić do osiedlania się tutaj, zwolniono mieszkańców z płacenia podatków (z wyjątkiem składki zdrowotnej). Choć nie zawsze była to główna motywacja. Tali Lewi wybrała to miejsce już jako dorosła kobieta, tu wychowała dzieci. Przywykła do życia pod ostrzałem. Ale 7 października zawalił się jej cały świat.

– Poczuliśmy się porzuceni przez państwo, wojsko, rząd. Czekaliśmy ponad 48 godzin, a pomoc nie nadchodziła. Po co nam wyszukane technologie, ogrodzenie, broń, skoro tamtego dnia wszystko zawiodło? – zastanawia się Tali. Właśnie postanowiła wrócić z partnerem do miasta. Porządkuje dom, który do 7 października był centrum rodzinnego życia. *– Dzieci już zapowiedziały, że nie będą nas odwiedzać* – mówi.

Zapach kuchni

Do kibucu Mefalsim, położonego kilometr od granicy z Gazą, wrócił co dziesiąty z tysiąca mieszkańców. 7 października kibuc niemal nie ucierpiał, bo ochrona wyłączyła prąd, co unieruchomiło główną bramę wjazdową, uniemożliwiając zamachowcom wdarcie się do środka. Do walki stanęło też kilkudziesięciu żołnierzy, którzy spędzali tu szabat i święto Simchat Tora.

Mimo to kibuc ma własną traumę – na niewielkim wzniesieniu za przylegającą do niego drogą ulokowało się główne dowództwo atakujących. Na Mefalsim wysłali 45 ludzi, a na drodze kilkaset metrów dalej rozstawili barykadę i strzelali do uciekających ludzi z festiwalu Supernowa w pobliskim Reim. *– Przy bramie było osiem ciał, na drodze leżało kilkadziesiąt kolejnych, niektóre wypadały przez otwarte drzwi aut. Musiałem jechać zygzakiem* – opowiada Joram Haimi, który wraz z żoną i 8-letnim wnukiem 7 października ukrywał się w tzw. bezpiecznym pokoju, a wieczorem postanowił uciekać z kibucu. Wnuk do dziś nie chce słyszeć o odwiedzinach dziadków, podobnie jak troje z czworga dzieci Haimich. *– Nie wiem, kiedy znów uda nam się zebrać 40 osób przy stole* – mówi Joram.

Do kibucu Nir Oz, też przy granicy z Gazą, powroty będą niemożliwe jeszcze co najmniej przez dwa lata. To kwestia zniszczeń – z ponad 130 domów tylko pięć nie zostało zaatakowanych. Te, do których weszli lub próbowali wejść zamachowcy, są w całości lub części spalone lub w inny sposób zniszczone. Kibucowa stołówka i kuchnia, wyremontowane we wrześniu 2023 r. kosztem blisko 2 mln szekli, nie nadają się do użytku. W spalonej kuchni zapach śmierci wciąż unosi się w powietrzu, dosłownie. W tutejszej chłodni w pierwszej dobie po ataku izraelscy żołnierze umieścili 30 ciał, które znaleźli na terenie kibucu. Spośród ponad 400 mieszkańców co czwarty został zabity lub wzięty jako zakładnik. Bezpieczne pokoje, które dobudowano w każdym domu, miały ten feler, że wprawdzie chroniły przed rakietami, ale nie przed terrorystami. Zwłaszcza że w wielu nie zamontowano zamków w drzwiach.

Itaj Carfati, który wraz z rodziną przez długie godziny czekał na pomoc, chodzi po spalonym domu. Tu resztki jego saksofonu, tam miska dla psa. Wszystko inne zniszczone, ściany czarne od dymu. Jego trzej synowie, z których najstarszy ma 12 lat, do dziś nie mogą się otrząsnąć z tamtego dnia, gdy dym wdzierał się do pokoju, a ojciec podnosił ich pod wydrążony w ścianie otwór, by zaczerpnęli powietrza. *– To psychiczny rollercoaster. Zdarza się, że znienacka wybuchają płaczem* – mówi Itaj. Na razie nie myśli o powrocie do Nir Oz. *– Czy wdowę po pogrzebie pytasz, kiedy wyjdzie za mąż?* – pyta. Na pewno nie wróci, dopóki nie zostaną uwolnieni wszyscy zakładnicy. Bo tylko tak wyobraża sobie koniec tej wojny.

AGNIESZKA ZAGNER

Rozmowa z Orit Sulitzeanu o przemocy seksualnej podczas ataku z 7 października na www.polityka.pl



© NATO

Wojny zimne i gorące

Z okazji 75-lecia istnienia Sojuszu Północnoatlantyckiego przedstawiamy historię NATO, jego zadania i specyfikę. Od zimnowojennych początków paktu aż po dzisiejszy czas realnej wojny w Ukrainie.

Zwycięstwo bez strzału

Zmienić Niemców z wrogów w sojuszników. Pokonać ZSRR bez starć i ofiar. Przetrwać mimo wewnętrznych sporów. Oto bilans pierwszego półwiecza NATO. Jak to się mogło udać?

ŁUKASZ WÓJCIK

Gdy w kwietniu 1945 r. Amerykanie i Rosjanie, ścigając ostatki Wehrmachtu, spotkali się nad Łabą, trudno było sobie wyobrazić, że wkrótce wybuchnie między nimi zimna wojna. Wystarczyło jednak pięć burzliwych miesięcy między konferencjami mocarstw w Jałcie i Poczdamie, żeby atmosfera popsuła się na dobre. Winne tego załamania były z pewnością cynizm i zaborcze plany Józefa Stalina, ale także twarde stanowisko następcy prezydenta Franklina D. Roosevelta, Harry'ego Trumana. Wzajemna podejrzliwość i radziecka polityka faktów dokonanych w Europie Wschodniej – a szczególnie zamach stanu w Czechosłowacji w lutym 1948 r. – zaczęły już dzielić kontynent.

Punktem zapalnym okazał się Berlin. Gdy Armia Czerwona w czerwcu 1948 r. odcięła starą niemiecką stolicę, Stany Zjednoczone przygotowały ekonomiczny pakiet pomocowy dla zrujnowanej Europy, znany później jako plan Marshalla. Państwa zachodniej Europy nawiązały też współpracę militarną w ramach pierwszych układów o zbiorowym bezpieczeństwie. Od początku Europejczycy byli jednak przekonani, że nie są w stanie obronić się przed radziecką agresją bez Amerykanów.

Traktat, zwany później waszyngtońskim, prawie gotowy czekał na podpisanie dwa lata. Początkowo planowano układ polityczny. Ostatecznie 4 kwietnia 1949 r. powołano Organizację Paktu Północnoatlantyckiego (NATO) jako sojusz w pełni obronny, świadomie odmienny od luźnego układu o bezpieczeństwie, jakim była nieskuteczna przedwojenna Liga Narodów. Jednak w ramach Sojuszu powstała tylko platforma konsultacji politycznych na wysokim szczeblu, bez integracji wojskowych struktur dowódczych czy wspólnej strategii militarnej. Państwa założycielskie – USA, Kanada, Francja, Wielka Brytania, Włochy, kraje Beneluksu, Portugalia, Norwegia i Islandia – w wyniku powojennej demobilizacji miały wówczas pod bronią zaledwie 25 dywizji – wobec Armii Czerwonej, która utrzymywała 150 dywizji. W dodatku Niemcy zachodnie, kluczowe pole ewentualnej konfrontacji z Sowietami, były poza Sojuszem, kompletnie rozbrojone.

Co więcej, od 1948 r. w Europie już prawie nie było Amerykanów – jedna dywizja i kilkadziesiąt samolotów. W USA prezydent Truman również zarządził wielką demobilizację. A zniszczona przez wojnę Europa Zachodnia nie planowała praktycznie żadnych zbrojeń. Całe odstraszanie opierało się na amerykańskiej broni nuklearnej, której ZSRR jeszcze nie posiadał. Tych bomb było jednak niewiele, Amerykanie mieli też małe doświadczenie w ich używaniu.

I tak jak wielokrotnie później potrzeba było kryzysu, żeby ożywić NATO. Ten „założycielski" był podwójny, bo najpierw



Przywódcy państw NATO na konferencji w Paryżu w grudniu 1957 r.

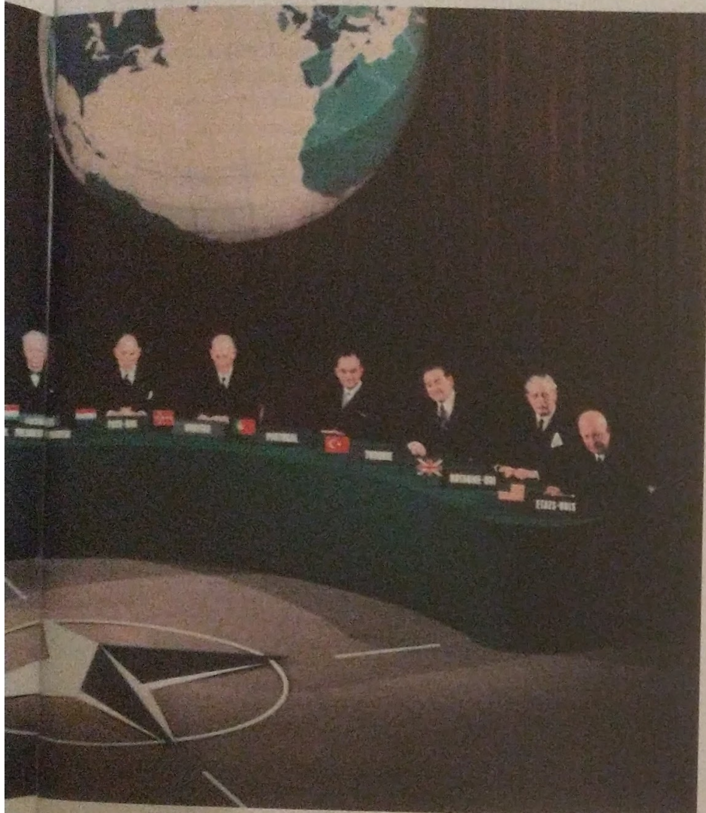
©UPI/BETTMANN/GETTY IMAGES

ZSRR w sierpniu 1949 r. zdetonował swoją pierwszą bombę atomową, a później – też z udziałem Moskwy – wybuchła wojna w Korei (czerwiec 1950 r.). Truman zareagował natychmiast, wznawiając amerykańskie zbrojenia konwencjonalne i powiększając amerykański kontyngent w Europie z jednej do pięciu dywizji (350 tys. żołnierzy).

A to tchnęło życie w NATO – powstało zintegrowane dowództwo z bohaterami drugiej wojny światowej (gen. Dwightem Eisenhowerem na czele i brytyjskim marszałkiem Bernardem Law Montgomerym jako jego zastępcą). Stworzono też pierwsze natowskie plany obrony, ze scenariuszem przerzucenia kolejnych amerykańskich jednostek włącznie. W 1952 r. w porozumieniu lizbońskim państwa europejskie zadeklarowały utworzenie 54 nowych dywizji do obrony Europy Środkowej i kolejnych 42, które miały osłaniać północną i południową flankę. Już rok później liczba żołnierzy w zachodnioeuropejskich państwach NATO podwoiła się.

Tak zakończył się pierwszy, „dziecięcy" okres życia NATO. Niemcy zmienili się z wrogów w sojuszników. Przyjęcie do NATO w 1952 r. Turcji i Grecji stonowało napięcia na południowej flance, które mogli wykorzystać Sowieci. Rodziła się współpraca ekonomiczna (najpierw Wspólnota Węgla i Stali, później traktaty rzymskie).

Najwięcej kontrowersji wywołała sprawa Republiki Federalnej Niemiec. Perspektywa odbudowy niemieckiej armii budziła w Europie wiele oporu. Zdawano sobie jednak sprawę, że bez niemieckiego potencjału ekonomicznego, a później militarnego,



Powyżej: **oryginał traktatu waszyngtońskiego z 1949 r.**

nie da się obronić Europy przed Sowietami. W 1955 r. RFN była już w Sojuszu. W drugiej połowie lat 80. na jej terytorium stacjonowało ok. 900 tys. żołnierzy z innych państw członkowskich.

W 1956 r. atmosfera w Sojuszu popsuła się w związku z kryzysem sueskim, w którym po jednej stronie stanęły Francja i Wielka Brytania, a po drugiej – USA i ZSRR. Jednocześnie rosła militarna siła ZSRR, który natychmiast po akcesji RFN do NATO utworzył własny sojusz wojskowy, znany jako Układ Warszawski.

Od zakończenia wojny w Korei (1953 r.) rosły też napięcia dyplomatyczne między dwoma blokami, choćby z powodu radzieckiej interwencji na Węgrzech w 1956 r. Zbiegła się ona ze zmianą amerykańskiej doktryny wojskowej. Eisenhower, wówczas już prezydent USA, był tak pewny swojego nuklearnego arsenału, że Ameryka znów oparła na nim swoją strategię odstraszania, ograniczając jednocześnie wojska konwencjonalne. Nie podobało się to Europejczykom, bo oznaczało większe uzależnienie ich bezpieczeństwa od Amerykanów.

Efektem tego jądrowego zwrotu było rozciągnięcie nowej amerykańskiej doktryny zmasowanego odwetu (*massive retaliation*) na cały Sojusz w 1957 r. Podstawowym założeniem odstraszającym był pełnoskalowy atak nuklearny na radzieckie ośrodki dowodzenia i największe miasta. W ramach tej doktryny prace nad swoją bronią jądrową rozpoczęli Brytyjczycy i Francuzi. A amerykański parasol nuklearny został rozłożony nad RFN, gdzie zaczęły stacjonować amerykańskie bombowce dalekiego zasięgu i rozpoczęto przygotowania do przyjęcia nowych międzykontynentalnych pocisków balistycznych (ICBMs). Jednocześnie trwało osłabianie wojsk konwencjonalnych NATO: pod koniec lat 50. ich ogólna liczba zmniejszyła się do 24 dywizji i ok. 2,4 tys. samolotów.

Słabość doktryny masowego odwetu uwidoczniła się już na początku lat 60., gdy również ZSRR zaczął się zbroić w ICBMs z ładunkami jądrowymi. Tak rozpoczął się bodajże najgorętszy okres zimnej wojny. Moskwa zaczęła straszyć atakami na Berlin, by w końcu w 1961 r. podzielić miasto murem. W 1962 r. doprowadziła do kryzysu kubańskiego. Paryż i Bonn miały za złe Waszyngtonowi, że nie dzielił się z nimi informacjami o ruchach Sowietów i przebiegu rozmów z radzieckim gensekiem Nikitą Chruszczowem.

W reakcji na krytykę ze strony Europejczyków prezydent John F. Kennedy zaproponował wzmocnienie sił konwencjonalnych na Starym Kontynencie. Kanclerz Konrad Adenauer obawiał się, że konwencjonalna konfrontacja w Europie Środkowej najbardziej uderzy w Niemcy.

Coraz większe wątpliwości miała też Francja. Zaczęło się w 1959 r., gdy wracający do władzy jako prezydent gen. Charles de Gaulle zaczął otwarcie krytykować amerykańską dominację w Sojuszu. W 1966 r. postanowił wycofać Paryż ze struktur dowódczych Sojuszu i wyprosić jego instytucje z francuskiego terytorium. Nie nawoływał jednak do zerwania NATO, raczej szukał alternatywnego rozwiązania, proponując m.in. wzmocniony pakt francusko-niemiecki. Jeśli dodać do tego również francuskie weto dla przyjęcia Wielkiej Brytanii do EWG z powodu zbyt dużej – zdaniem de Gaulle'a – zależności Londynu od Waszyngtonu, atmosfera w Sojuszu mocno zgęstniała.

Moment wycofania się Francji był niefortunny: zgodnie z art. 13 traktatu waszyngtońskiego każde państwo NATO mogło zrezygnować z członkostwa po dwudziestu latach funkcjonowania Sojuszu, czyli po 1969 r. Wielu ekspertów się obawiało, że wyjście Francji ze struktur dowódczych jest więc tylko pierwszym krokiem, który może wywołać reakcję łańcuchową i ostateczny rozkład Sojuszu.

I znów kryzys urodził rozwiązanie. W drugiej połowie lat 60. po długiej dyskusji Sojusz wypracował nową doktrynę elastycznej odpowiedzi. Amerykanie i Europejczycy podtrzymali znaczenie broni nuklearnej, ale jednocześnie zapowiedzieli rozwój nowoczesnych sił konwencjonalnych, które mogłyby reagować na niepełnoskalową agresję drugiej strony. Stosownie do zagrożenia, a nie z mocą wszystkich głowic, aż do zniszczenia świata.

Nie oznacza to, że Sojusz zrezygnował z atomowego straszaka. Pod koniec lat 60. powstała Grupa Planowania Nuklearnego – opracowano sztywne procedury wykorzystania tej broni oparte na arsenale amerykańskim i brytyjskim. Chodziło o przyspieszenie procesu decyzyjnego i jego automatyzację w przypadku radzieckiej agresji. Większy nacisk położono jednak na szybką rekcję konwencjonalną – w pierwszych godzinach agresji i jak najbliżej granic Sojuszu. W efekcie już pod koniec lat 60. NATO w ciągu kilku tygodni było w stanie wystawić 37 dywizji ▶

▶ i prawie 3 tys. samolotów w Europie Środkowej. To mniej niż wówczas Układ Warszawski, ale Sojusz górował jakością sprzętu.

Równie ważna w nowej doktrynie była relokalizacja wojsk. Natowskie bazy pierwszy raz pojawiły się tuż przy granicy niemiecko-niemieckiej. A skorzystali na tym zarówno Niemcy zachodni, bo mogli być pewni, że Sojusz będzie bronił również ich terytorium, jak i Amerykanie, dla których konwencjonalna elastyczność ograniczała niebezpieczeństwo globalnej wojny nuklearnej. W ten sposób nowa doktryna nie tylko pozwalała efektywniej wykorzystywać dostępne środki, ale również przywróciła Sojuszowi spójność polityczną.

Jej efektem, a także przejawem większej pewności siebie Sojuszu, była doktryna Harmela, nazwana tak od jej pomysłodawcy Pierre'a Harmela, ministra spraw zagranicznych Belgii. Chodziło o rozpoczęcie rozmów rozbrojeniowych z Układem Warszawskim. Czyli działanie dwutorowe – napinanie mięśni dopełnione dialogiem. Doktryna Harmela przyniosła szybkie owoce i Moskwa pozytywnie odpowiedziała na propozycje układów.

Sojusz ostatecznie zdecydował się na odprężenie w relacjach z ZSRR – rozpoczęła się era *détente*, zakończona dopiero radziecką interwencją w Afganistanie w 1979 r. Częste rozmowy na najwyższym szczeblu nie były w stanie zakończyć zimnej wojny, ale zapoczątkowały m.in. porozumienie o redukcji broni strategicznej, znane później jako SALT, układ o obronie przeciwrakietowej, a nawet rozmowy o prawach człowieka, które zaowocowały helsińską Konferencją Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie w 1973 r. i dwa lata później Aktem Końcowym KBWE w Helsinkach.

Wątpliwości co do szczerych intencji Sowietów jednak narastały. Europejczycy wyraźnie ograniczyli wydatki na zbrojenia, podczas gdy ZSRR robił coś przeciwnego. To wtedy pierwszy raz nuklearny potencjał Moskwy przekroczył łączny potencjał całego Sojuszu. Podobnie w siłach konwencjonalnych – Armia Czerwona sprzętowo wyraźnie szykowała się do gwałtownej ofensywy na Zachód. W reakcji państwa NATO zaczęły… dyskutować. Nikomu nie paliło się do nowych wydatków na wojsko, a już szczególnie Amerykanom, którzy lizali rany po wojnie w Wietnamie. Ostatecznie to właśnie zakończenie interwencji w Azji pozwoliło Waszyngtonowi przekierować militarną uwagę znów na Europę.

W 1978 r. prezydent USA Jimmy Carter zaproponował sojusznikom z NATO tzw. długoterminowy plan obronny (LTDP), który przewidywał nie tylko inwestycje w sprzęt ciężki i odzyskanie przewagi technologicznej, ale też nowe praktyczne rozwiązania, jak wspólne korzystanie z lotnisk, wspólną logistykę i zaopatrzenie w paliwa, a także ujednolicenie amunicji i wspólne na nią zamówienia.

Niedługo później sytuacja się skomplikowała, bo w Iranie islamska rewolucja obaliła szacha, bliskiego sojusznika Zachodu, zaraz później ZSRR ruszył na Afganistan, zagrażając dostawom ropy z Zatoki Perskiej. A na radzieckim skraju Europy pojawiły się Pioniery, pociski balistyczne średniego zasięgu z głowicami termojądrowymi, znane w natowskiej nomenklaturze jako SS-20. Zaczął się kolejny „sprint" zbrojeń.

Plan Sojuszu był taki: trzeba przekonywać Sowietów do usunięcia Pionierów z Europy Wschodniej, ale jeśli to się nie uda, odpowiedzieć zainstalowaniem adekwatnych pocisków po swojej stronie. I tak też się stało, bo Moskwa nie chciała rozmawiać – w 1983 r. NATO rozpoczęło instalowanie w Europie Środkowej 572 pocisków z nuklearnymi głowicami, w tym 108 słynnych Pershingów II w samych Niemczech zachodnich.

Ponadto europejscy sojusznicy zostali wyposażeni w amerykańską broń jądrową, zgodnie z procedurą podwójnej kontroli (*dual-key*), która pozwalała zarówno państwu goszczącemu tę broń, jak i Amerykanom zablokować jej użycie. Brytyjczycy zachowali kontrolę nad swoją bronią nuklearną, choć została ona uwzględniona w natowskich planach, a Francuzi pozostali pod tym względem zupełnie autonomiczni.

Tak zaczęły się lata 80., w których Sojusz ostatecznie zdobył przewagę nad Układem Warszawskim. Kluczową rolę odegrał tu prezydent Ronald Reagan, który zwiększył wydatki na zbrojenia, zmodernizował broń strategiczną i zapoczątkował program Gwiezdnych Wojen (Strategic Defence Initiative). Równie ważna była determinacja europejskich rządów. Plany rozmieszczenia amerykańskich Pershingów na Starym Kontynencie wywołały w kilku krajach, szczególnie w Niemczech, duże niezadowolenie społeczne i protesty. Władze jednak się nie ugięły, co wyraźnie przesunęło bilans nuklearny na korzyść NATO.

Przewaga Sojuszu rosła również w siłach konwencjonalnych. Reagan wzmocnił amerykańskie wojska w Europie z 5 do 10 dywizji i z 8 do 20 skrzydeł lotnictwa bojowego. Europejczycy natomiast sfinansowali logistykę i pobyt dodatkowych Amerykanów. Sami również się zbroili. Szczególnie wzmocniono obronę w dotychczas niedoinwestowanych północnych landach RFN – tam płaski teren aż się prosił o radziecką inwazję. Rozbudowano również natowskie instalacje w Turcji i Norwegii.

W połowie lat 80. w Europie Środkowej NATO mogło wystawić 45 dywizji i 3,6 tys samolotów bojowych. Dodatkowo w 1982 r. do Sojuszu przystąpiła stosunkowo silna armia hiszpańska. Na papierze Układ Warszawski dysponował niemal dwukrotnie większą siłą – 90 dywizji i 4,2 tys. samolotów. Jednak przewaga technologiczna Zachodu i strategia wysuniętej obrony sprawiły, że ostatecznie to Moskwa pierwsza mrugnęła.

Po przejęciu władzy na Kremlu w 1985 r. Michaił Gorbaczow zaczął szukać porozumienia z Zachodem. Rozpoczęły się negocjacje rozbrojeniowe. W 1987 r. zaowocowało to podpisaniem przełomowego traktatu o likwidacji pocisków krótkiego i średniego zasięgu (INF). Moskwa zezwoliła też – albo przynajmniej nie reagowała – na liberalizację polityczną w kolejnych państwach Bloku Wschodniego.

Szczególnie w Polsce proces ten, który skończył się Okrągłym Stołem i powołaniem rządu Tadeusza Mazowieckiego, w zasadzie unieważnił plany agresji Układu Warszawskiego na NATO – nie dałoby się jej przeprowadzić naokoło Polski. Potem nastąpiła już reakcja łańcuchowa: niezależne rządy w kolejnych państwach obozu komunistycznego, upadek muru berlińskiego i w końcu rozwiązanie ZSRR w grudniu 1991 r.

Przez te pięć dekad funkcjonowania Sojuszu krytycy, którzy wieszczyli rychły jego koniec, zdawali się pomijać fakt, że państwa o różnych interesach narodowych mogą się spierać o przyszłość NATO, ale nie o jego istnienie. Ich błąd był tym większy, że naturalną dyskusję między zachodnimi demokracjami brali za objaw zmęczenia Sojuszem. Z kolei „jedność" Układu Warszawskiego uważali za dowód jego siły.

Dla przykładu, wbrew dość powszechnej opinii nawet w najgłębszym kryzysie na linii Francja–NATO de Gaulle nigdy nie zagroził wycofaniem swojego kraju z Sojuszu. Francja zresztą już po 1966 r. okazała się jednym z najaktywniejszych członków NATO, jeśli chodzi np. o liczbę żołnierzy wysyłanych na misje. Wydaje się, że taka właśnie elastyczność Sojuszu była najważniejszym źródłem jego ostatecznego zwycięstwa w zimnej wojnie. Zresztą ta zasada równie dobrze tłumaczy triumf demokratycznego Zachodu nad systemem komunistycznym również w wymiarach politycznym, społecznym i ekonomicznym.

ŁUKASZ WÓJCIK

Obrona centymetrów

Wszyscy za jednego, ale na jakich warunkach? Co naprawdę gwarantuje słynny art. 5 traktatu?

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

Według legendarnej definicji Lorda Ismaya, pierwszego sekretarza generalnego, NATO powstało po to, by „Rosjan trzymać z daleka, Amerykanów przy sobie, a Niemców pod kontrolą". Dwa z tych wymogów są na nowo aktualne: dzisiejsze NATO domaga się natomiast znacznie większej roli Niemiec. Redefinicja zadań przyspieszyła po tym, jak do Europy, czyli głównego obszaru chronionego przez traktat, wróciła wojna za sprawą rosyjskiej agresji w Ukrainie. NATO najpierw zareagowało ospale, później zdecydowanie i bardziej ambitnie, dokonując największej od zakończenia zimnej wojny reformy sił, struktur i doktryn. Na poziomie politycznym determinację tę określa hasło obrony każdego centymetra terytorium. Aby było to wykonalne, zmieniają się siły zbrojne państw członkowskich. Bo Sojusz żadnej armii nie ma, organizuje jedynie te siły, które dostarczą członkowie.

Słychać nowy język. Komunikowanie Rosji intencji z pozycji siły to powrót do zimnowojennych stosunków dwóch bloków militarnych, tyle że w innych realiach technologicznych, geograficznych i strukturalnych. Te zaś, bardziej niż w czasach zimnej wojny, przemawiają na korzyść NATO, zwłaszcza że parytet sił po stronie Rosji zaburzają straty z wojny w Ukrainie. Na wszelki wypadek NATO sposobi się, by odstraszyć, a w razie czego pokonać rosyjską armię, nawet po jej hipotetycznej odbudowie, co wymusza zmiany, których Sojusz nie widział od trzech dekad.

Na odnowienie zimnowojennego układu wskazuje nowy podział Europy na trzy obszary, zarządzane przez dowództwa regionalne podległe jednemu sztabowi europejskiemu. Od południa do rejonu centralnego, czyli od Morza Śródziemnego do Czarnego i do linii Karpat, rozciąga się obszar odpowiedzialności Neapolu, gdzie rezyduje dowództwo sojuszniczych sił południowoeuropejskich i floty śródziemnomorskiej USA. Sztab NATO przekształcił się w Joint Force Command (JFC), czyli Dowództwo Sił Połączonych, któremu na szczeblu operacyjnym podlegają wszystkie siły lądowe, morskie i powietrzne.

Taką samą rolę pełni dowództwo centralne w holenderskim Brunssum. Odpowiada ono za wielki obszar od Karpat przez Polskę po państwa bałtyckie, czyli za obronę przesmyku suwalskiego, bramy brzeskiej i granic obwodu królewieckiego. Kadrowo jest największe i z polskiego punktu widzenia najważniejsze. Brunssum właśnie teraz, na wiosnę, dowodzi ćwiczeniem Brilliant Jump, czyli alarmem sił szybkiego reagowania, z przerzutem na wschodnią flankę.

Na północ od Bałtyku rozciąga się obszar podlegający obecnie sojuszniczej dyskusji, wywołanej przystąpieniem ▶



© NATO

▶ do NATO Szwecji i Finlandii oraz powołaniem przed kilku laty nowego JFC w Norfolk w stanie Wirginia. Państwa skandynawskie i nordyckie mogłyby podlegać Norfolkowi, ale to oznaczałoby podział odpowiedzialności na Bałtyku, niekorzystny z punktu widzenia Brunssum i operacji na północy wschodniej flanki. Spór trwa.

Zanim zdecydują politycy, opinię wyrażą najważniejsi w NATO wojskowi. Pierwszym doradcą Rady Północnoatlantyckiej jest szef komitetu wojskowego, generał lub admirał (obecnie to Holender, adm. Rob Bauer), powoływany na trzyletnią kadencję za zgodą wszystkich sojuszników. Sam komitet tworzą wszyscy szefowie sztabów generalnych (szefowie obrony) krajów członkowskich. Jego zaplecze to złożony z najlepszych mundurowych specjalistów ośrodek planistyczny i analityczny, dostarczający Kwaterze Głównej na bieżąco opinii w najważniejszych sprawach, nie tylko wojskowych.

Drugi, tak samo ważny głos należy do głównodowodzącego sił sojuszniczych w Europie, czyli SACEUR (Supreme Allied Commander Europe), zawsze amerykańskiego generała (obecnie to gen. Christopher Cavoli) lub admirała stojącego na czele europejskich sił USA. Odpowiada on za operacje, czyli jest dowódcą „od wojny", mającym w podległości całą strukturę dowodzenia i szczególne kompetencje. Nawet bez uruchamiania art. 5 o kolektywnej obronie SACEUR może aktywować podległe siły, by nie dać się zaskoczyć atakiem i ubezpieczyć zagrożone rejony. Dokładnie tak postąpił w lutym 2022 r., wiedząc, co się szykuje między Rosją a Ukrainą. Pod dowództwem SACEUR znalazło się 140 samolotów, 135 okrętów i 45 tys. żołnierzy w bardzo wysokiej gotowości, którzy wspierali postawione w stan gotowości siły narodowe, ok. 75 tys. żołnierzy wojsk lądowych.

Trzecim, w teorii równorzędnym z SACEUR, dowódcą w NATO jest szef ACT (Allied Command Transformation), dowództwa do spraw transformacji, zajmującego się szkoleniem, doktryną i techniką. Rezyduje w Norfolk, ale od powrotu do wojskowych struktur Sojuszu w 2008 r. wyznacza go Francja (obecnie to gen. Philippe Lavigne). Pod ACT podlegają instytucje szkoleniowe, akademickie i eksperckie, w tym biura, takie jak to do spraw kontrwywiadu, znane z nocnego rajdu z włamaniem wykonanego na polecenie Antoniego Macierewicza. Polaków w ACT lepiej pamięta się z pobytu jako zastępcy dowódcy gen. Mieczysława Bieńka. Jedynego polskiego oficera, który dotarł na takie stanowisko w dowództwie NATO. Dodajmy, że dyrektorem międzynarodowego sztabu przy komitecie wojskowym jest obecnie gen. broni Janusz Adamczak.

Najważniejsza struktura – dowodzenia – dziś składa się z dowództwa naczelnego SHAPE (Supreme Headquarters Allied Powers Europe), trzech dowództw sił połączonych (JFC), czterech sojuszniczych dowództw rodzajów wojsk (lądowego, sił powietrznych, morskiego stałego i uderzeniowego), centrum wczesnego ostrzegania oraz dziesięciu dowództw korpusów wojsk lądowych. Aż siedem z nich przynajmniej z nazwy ma zdolność do szybkiej reakcji i przerzutu. Stała dyslokacja i rola tych instytucji stanowi głównie dziedzictwo historii i licznych reform, podziału wpływów w Sojuszu, niemniej coraz bardziej wynika z nowego kształtu i zmienionych zadań, w tym zagrożeń ze wschodu.

Budowa nowocześnie wyposażonych i potężnych sił zbrojnych to długofalowy proces, który na poważnie zaczął się dopiero niedawno.

Najlepszym przykładem jest dowództwo wielonarodowego korpusu północ-wschód w Szczecinie, powołane – jako symbol upadku żelaznej kurtyny – przez Niemcy, Danię i Polskę przy pierwszym poszerzeniu NATO. Obecnie to sztab kluczowy dla operacji obronnych i ćwiczeń na najbardziej narażonym obszarze: państw bałtyckich, przesmyku suwalskiego i Polski. Gdyby trzymać się wojskowych reguł, dowództwo korpusu nigdy nie powinno być tak odległe od rejonu działań, bo to jednak struktura taktyczna. Jednak realia dziś są zupełnie inne niż w starym NATO.

Od czasu zimnej wojny geografia pogranicza zmieniła się diametralnie i znacznie skomplikowała. Zamiast względnie krótkiej granicy między RFN a NRD, bufora państw neutralnych i Bałkanów, do obrony pozostaje niemal ciągła linia od Morza Białego do Morza Czarnego, z obszarem aktywnej wojny w Ukrainie. A sił, jakie SACEUR ma do dyspozycji na tej granicy, jest nieporównanie mniej niż osiem korpusów pancernych i zmechanizowanych, stacjonujących niegdyś tylko w Niemczech zachodnich. Po zajęciu przez Rosję Krymu i próbie oderwania Donbasu w 2014 r. NATO powołało na wschodniej flance wielonarodowe batalionowe grupy bojowe (eFP). Po ostatecznym zatwierdzeniu ich składu na szczycie w Warszawie w 2016 r. grupy te trafiły do Estonii, na Łotwę, Litwę i do Polski, a później do pozostałych pogranicznych krajów od Karpat do Morza Czarnego. Cztery pierwsze grupy batalionowe w Polsce i państwach bałtyckich, po ponad tysiąc żołnierzy każda, trafiły pod komendę Szczecina. Wkrótce przydzielono jej dowództwo natowskiej dywizji sformowane w Elblągu, a potem jeszcze dwie – na Łotwie i w Estonii. Nie oznacza to jednak, że „NATO wysłało dywizje na wschód", raczej utworzyło szkielet, w którym mięśnie muszą zapewnić kraje-gospodarze i inni sojusznicy. Dlatego np. polska kompania czołgów pełni rotacyjny dyżur na Łotwie, pododdział zmotoryzowany stacjonuje w Rumunii, a amerykański batalion przebywa na Mazurach.

Analogiczny do północno-wschodniego flankowy korpus południowo-wschodni, podlegający JFC w Neapolu, powstał w rumuńskim Sybinie. Jego siły ciągle są w budowie, na razie składają się z jednej wielonarodowej dywizji i brygady. W tej skomplikowanej układance cel polityczny – by na wschodniej flance rozmieszczeni byli żołnierze z jak największej liczby zachodnich państw członkowskich – jest ważniejszy od wojskowego. Każdy, kto służył w wielonarodowym oddziale, wie, jakie to wyzwanie.

Zamiarem NATO jest, by u granic Rosji stały wystarczające siły do odparcia (wraz z wojskami krajów-gospodarzy) pierwszego ataku oraz by główne wojska sojusznicze były w gotowości do przerzutu. To rozwiązanie kompromisowe między budową stałych baz, czego część sojuszników do niedawna nie chciała, a potrzebą obrony każdego centymetra sojuszniczych granic. Dlatego też główny wysiłek ćwiczeń skupia się na przerzucie sił z zachodu na wschód, co tej wiosny możemy obserwować w cyklu Steadfast Defender, największych manewrów NATO od końca zimnej wojny.

Jednak i to podejście ostatnio się zmienia. W ramach powiększania wysuniętych batalionów do wielkości brygad (kilku tysięcy żołnierzy) Niemcy chcą na Litwie



Sojusz żadnej armii nie ma, organizuje jedynie te siły, które dostarczą członkowie.

rozmieścić w całości własny związek taktyczny, i to na stałe, a nie w rotacji. Ogłoszone w Madrycie i Wilnie plany obronne przewidują, że w gotowości do natychmiastowego działania – choć niekoniecznie w pobliżu przewidywanych rejonów operacji – ma być 300 tys. sojuszniczych wojsk, a pół miliona będzie się przygotowywać do ich wsparcia. Podobnie jak budowa 300-tysięcznej armii w Polsce to poziom ambicji, którego nie da się spełnić od razu, bez dodatkowych inwestycji w sprzęt i ludzi.

NATO nie boi się już mówić o licznych wojskach i ćwiczyć największymi formacjami w wielu miejscach jednocześnie ani deklarować użycia miażdżącej siły w reakcji na atak, wciąż zachowując postawę obronną, zdefiniowaną w traktacie północnoatlantyckim i przyjętą jako polityczne credo. NATO nie szuka wojny, ale jest na nią przygotowane – do znudzenia powtarza sekretarz generalny Jens Stoltenberg, który przez ostatnią dekadę wymyślił Sojusz na nowo, stając się nie tylko rzecznikiem, ale i współtwórcą tych epokowych zmian.

Sekretarz generalny nie jest jednak żadnym szefem NATO, mimo że bywa tak nazywany. Funkcja ta nawet nie jest wymieniona w lapidarnym traktacie z 1949 r. Jedyny traktatowy organ Sojuszu to Rada Północnoatlantycka, mająca umożliwić każdej ze stron reprezentację. Ta ogólna formuła tworzy ramę konsultacji politycznej Zachodu i ustanawia czynną non stop „radę bezpieczeństwa" transatlantyckiego. Liczy ona po przyjęciu Finlandii i Szwecji aż 32 dyskutantów z teoretycznie równym, choć nie zawsze zgodnym głosem.

Na co dzień kraje członkowskie reprezentują stali przedstawiciele w randze ambasadorów przebywający w Brukseli i będący w stanie – to też wymóg traktatu – zbierać się szybko, nawet w nocy, w każdym czasie. W praktyce rutynowo obradują raz w tygodniu. Ambasadorowie muszą być w stałej łączności ze swoimi stolicami, bo decyzje w radzie zapadają tylko za zgodą wszystkich.

Szczególne znaczenie mają dwa tryby decyzyjne, w związku z zastosowaniem art. 4 i 5. Czwarty to konsultacje kryzysowe, o które wnioskować może kraj NATO, „ilekroć zagrożone będą integralność terytorialna, niezależność polityczna lub bezpieczeństwo którejkolwiek ze stron". Mechanizm ten z jednej strony stanowi sygnał ostrzegawczy dla przeciwników, z drugiej wymusza na sojusznikach zajęcie się danym tematem nawet wtedy, gdy nie wszyscy są chętni.

Z reguły nie jest potrzebny w sytuacjach, które NATO już uznało za zagrożenie, ale na wszelki wypadek został użyty przez kraje wschodniej flanki rano 25 lutego 2022 r., gdy Rada Północnoatlantycka zebrała się po wybuchu nowej pełnoskalowej wojny w Europie. Jednomyślnie uzgodniono, by uruchomić plany kryzysowe, po której SACEUR wysłał do dowództw zawczasu przygotowane rozkazy. Machina NATO zadziałała, bo była przygotowana na kryzys.

Dużo trudniejsze może być wdrożenie zbiorowej obrony, o której mówi art. 5. Użyty został do tej pory tylko raz, 12 września 2001 r., dzień po ataku terrorystycznym na Stany Zjednoczone. Zawiera klauzulę „wszyscy za jednego", stwierdza, że zbrojna napaść na jedną lub więcej stron będzie uznana za napaść przeciw nim wszystkim, ale wbrew powszechnemu przekonaniu nie wymusza automatycznej zbrojnej odpowiedzi. Zostawia sojusznikom swobodę decyzji co do tego, w jaki sposób pomogą napadniętemu. To nie tyle litera układu, ile jego duch i co ważniejsze, powszechnie przyjęta polityczna interpretacja – nie pozostawiają wątpliwości, że NATO jest sojuszem powołanym do obrony terytorium krajów członkowskich, posiada do tego narzędzia i demonstruje wolę, by to robić.

Siły i środki zależą jednak od tego, jak bardzo państwa członkowskie biorą sobie do serca zapisy art. 3, często pomijanego na rzecz tych uznawanych za ważniejsze. A to on zobowiązuje strony, by utrzymywały i rozwijały swoją indywidualną i zbiorową zdolność do odparcia zbrojnej napaści. By inwestowały w siły zbrojne i współpracowały przy ich integracji. Pomaga w tym mechanizm planowania obronnego, który bierze pod uwagę narodowe możliwości i potrzeby, a następnie układa je w matrycę wspólnych zasobów – eskadr lotnictwa, batalionów i brygad pancernych czy zmechanizowanych, flotylli okrętów czy baterii przeciwlotniczych. Proces ten wyznacza sojusznikom konkretne obowiązki do spełnienia w określonym czasie, choć mechanizmu egzekwującego ich wykonanie brak, bo wszystko opiera się na zobowiązaniu składanym przez zmieniające się rządy.

To samo dotyczy poziomu wydatków obronnych, określonego 10 lat temu na minimum 2 proc. PKB każdego kraju członkowskiego. Świadomość nakładów na wojsko i bezpieczeństwo cywilne rośnie w miarę zagrożenia i dziś wydaje się powszechna w państwach NATO. Jednak budowa nowocześnie wyposażonych i potężnych sił zbrojnych to długofalowy proces, który na poważnie zaczął się dopiero niedawno.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI



*TEREN BYŁEJ NIEMIECKIEJ REPUBLIKI DEMOKRATYCZNEJ PRZYŁĄCZONO DO NATO W ROKU 1990

W 1999 r. Polska, Czechy i Węgry zostały przyjęte do NATO. Kto pomagał? Kto przeszkadzał?

Rewolucja małych kroków

BARTOSZ DZIEWANOWSKI-STEFAŃCZYK

Nadzieję na zerwanie z porządkiem jałtańskim przyniosło m.in. wystąpienie George'a Busha w Hamtramck w stanie Michigan z kwietnia 1989 r. Prezydent USA wyłożył w nim ideę Starego Kontynentu, „wolnego i zjednoczonego", z warunkiem przywrócenia wolności Europie Środkowej.

Krzysztof Skubiszewski, minister spraw zagranicznych w pierwszym niekomunistycznym rządzie Polski, w sejmowym exposé z 1990 r. zapowiadał, że „gwarancji naszej niepodległości będziemy poszukiwać w szerszym układzie bezpieczeństwa europejskiego i w strukturach współpracy wielostronnej i integrującej". W tym samym roku polskie służby specjalne w porozumieniu z CIA wywiozły z Iraku sześciu oficerów służb amerykańskich. W czerwcu Rada Północnoatlantycka w szkockim Turnberry zaprosiła państwa rozpadającego się Układu Warszawskiego do współpracy, a w lipcu Bush zaproponował ustanowienie regularnych kontaktów Polski z NATO.

Nie było tylko wiadomo, jaka będzie przyszłość NATO, które powstało przecież w odpowiedzi na zagrożenie radzieckie, a ono teoretycznie właśnie zanikało. Obawiano się jednak powstania szarej strefy (nie)bezpieczeństwa, o którą trwałyby destabilizujące spory między Rosją a Zachodem. Skubiszewski jeszcze w pierwszej połowie 1991 r. – w czasie grzebania Układu Warszawskiego i Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej – mówił, że ze względu na równowagę w regionie Rzeczpospolita nie jest zainteresowana wejściem do Sojuszu. Ambasador w USA Kazimierz Dziewanowski, przygotowujący wizytę premiera Jana Krzysztofa Bieleckiego w Waszyngtonie, zapisał w swoim dzienniku pod datą 23 sierpnia 1991 r., że „proste przystąpienie do NATO natychmiast jest nadal chyba jeszcze mało realistyczne". Ważne było też budowanie wizerunku państwa wiarygodnego, co umożliwiało przeprowadzanie reform politycznych i gospodarczych, w tym zakończony sukcesem proces negocjacji oddłużeniowych Polski na Zachodzie.

Trójkąt, Sojusz, Grupa

Nową sytuację wytworzył radziecki atak na wieżę telewizyjną w Wilnie, pucz Giennadija Janajewa i upadek Związku Radzieckiego w 1991 r. W reakcji na te wypadki powstał Trójkąt Weimarski, utworzony przez Francję, Niemcy i Polskę. Szefowie dyplomacji USA i RFN James Baker i Hans-Dietrich Genscher w imieniu NATO zaproponowali pogłębienie współpracy z państwami Europy Środkowo-Wschodniej. W odpowiedzi niedługo wcześniej utworzona Grupa Wyszehradzka oficjalnie zgłosiła aspiracje do udziału w Sojuszu. Platformą współpracy została Północnoatlantycka Rada Współpracy (NACC). Ogłoszono wtedy listę warunków przystąpienia do NATO, w tym przestrzeganie praworządności, rezygnację z roszczeń terytorialnych, poszanowanie praw człowieka oraz gotowość do uczestnictwa w systemie obrony zbiorowej.

Sekretarz generalny NATO Manfred Wörner uznał w Warszawie w marcu 1992 r., że wejście Polski do Sojuszu pozostaje tylko kwestią czasu. Skubiszewski w kolejnym exposé, z maja 1992 r., stwierdził, że „członkostwo jest celem perspektywicznym". Były też jednak inne polskie głosy. Poseł Tadeusz Iwiński z Sojuszu Lewicy Demokratycznej wskazywał, że nie wiadomo, czy NATO będzie za 20 lat istnieć i czy w ogóle będzie potrzebne. A prezydent Lech Wałęsa, odwiedzając RFN w marcu 1991 r., zaskoczył wszystkich, ze swoim ministrem spraw zagranicznych

włącznie, propozycją stworzenia enigmatycznych EWG-bis i NATO-bis.Podczas tzw. konferencji 2+4 latem 1990 r. udało się przekonać ZSRR do zjednoczenia Niemiec i włączenia ich w całości do NATO. W Rosji nadal wskazuje się, że prezydent Bush obiecał wtedy prezydentowi Michaiłowi Gorbaczowowi, że NATO nie będzie rozszerzało się dalej na wschód, a w dawnej strefie radzieckich wpływów nie będą stacjonować wojska Sojuszu. Dotyczyło to jednak wyłącznie byłej NRD.

Sprzeczne interesy

Na Zachodzie, również w USA, było wielu zwolenników tezy „Russia first", wedle której najpierw należy zabezpieczyć demokrację w Moskwie. Pojawiała się też m.in. wątpliwość, dlaczego 200 mln Amerykanów ma chronić 300 mln Europejczyków przed 150 mln Rosjan. Jednak narastający kryzys – również gospodarczy – w Rosji mógł być szansą. Po rozpadzie ZSRR również Rosja sprzeciwiała się rozszerzeniu. Od początku natomiast rozszerzenie popierały Niemcy, bo wówczas Berlin byłby oddalony od granicy faktycznej strefy rosyjskiej nie o 80, a o 800 km. Problemy robiła zaś Francja.

Nic dziwnego więc, że pierwszym natowskim politykiem, który (w marcu 1993 r.) oficjalnie opowiedział się za przyjęciem nowych członków do Sojuszu, był minister obrony RFN – Volker Rühe. Jednak trzeba było do tego też przekonać nowo wybranego prezydenta USA Billa Clintona. Okazją było otwarcie Muzeum Holokaustu w Waszyngtonie w kwietniu 1993 r., gdy liderzy Polski, Czech i Węgier wystąpili z apelem o włączenie nowych demokracji do Sojuszu. W lipcu tego roku senator Richard Lugar jako pierwszy polityk amerykański publicznie zadeklarował swoje poparcie dla rozszerzenia. Ważnym głosem za rozszerzeniem był raport analityków think tanku RAND z jesieni 1993 r.

Utrudnienia wynikały z dynamiki wydarzeń w Polsce. Wizerunek psuła tzw. wojna na górze, czyli spór prezydenta Wałęsy z rządem. Dramatyczne skutki mogła przynieść tzw. noc teczek z czerwca 1992 r., kiedy minister spraw wewnętrznych Antoni Macierewicz bezpodstawnie oskarżył Wałęsę, Skubiszewskiego, marszałka Sejmu Wiesława Chrzanowskiego oraz szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego Jerzego Milewskiego, że byli agentami służb PRL.

Zagrożenie wiązało się także z natowskim wymaganiem cywilnej kontroli nad armią. Pozostawała też niezałatwiona sprawa płk. Ryszarda Kuklińskiego, przebywającego w USA z wyrokiem sądu PRL.

Próbę przekonania Rosji podjął Lech Wałęsa podczas spotkania z prezydentem Borysem Jelcynem w sierpniu 1993 r. w Helenowie. Może dzięki sile polskich argumentów, a może dzięki temu, że Wałęsa ciągle nalewał Jelcynowi wódkę, rosyjski prezydent zgodził się na wejście Polski do NATO. Jednak niedługo potem Jelcyn – zmuszony przez swoje otoczenie – wysłał list do przywódców zachodnich, w którym protestował przeciwko rozszerzeniu i proponował zawarcie układu między Rosją a NATO z gwarancjami bezpieczeństwa dla państw naszego regionu.

Niebawem w Moskwie doszło do krwawo stłumionego kryzysu konstytucyjnego. To skłoniło USA i Niemcy do wyjścia w styczniu 1994 r. z propozycją Partnerstwa dla Pokoju, mającego zbliżać struktury wojskowe państw zrzeszonych w ramach NACC. Początkowo nie stanowiło ono etapu integracji z NATO i z tego powodu zostało bardzo ostro skrytykowane przez państwa środkowoeuropejskie. Próbując uniknąć blamażu, strona amerykańska przeprowadziła ofensywę dyplomatyczną. Clinton poleciał do Pragi, gdzie spotkał się z prezydentami Polski i Czech. W Warszawie pokazali się: amerykańska ambasador przy ONZ Madeleine Albright, przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów gen. John Shalikashvili oraz analityk z Departamentu Stanu Charles Gati. Argumentem mającym przełamać lody był fakt, że wszyscy urodzili się w regionie – w Pradze, Warszawie i Budapeszcie.

Rozszerzenie było rewolucją, ale sam proces składał się z małych kroków. Od 1994 r. administracja USA była nastawiona coraz bardziej pozytywnie, niemniej część wysoko postawionych urzędników, polityków, przedstawicieli Pentagonu, ekspertów i pozostających w opozycji Republikanów zdecydowanie się temu przeciwstawiała. Polskie działania objęły szkolenia, wizyty, wspólne manewry wojskowe, żmudne dostosowywanie polskiej armii. Dyskusji o rozszerzeniu sprzyjała amerykańska kampania prezydencka. W połowie 1996 r. kandydat Republikanów Bob Dole złożył deklarację przyjęcia Polski, Czech, Węgier i Słowenii już w 1998 r. Administracja Clintona nie chciała się licytować, by nie utrudnić kampanii prezydenckiej… Jelcynowi. Niemniej w październiku 1996 r., krótko przed wyborami, Clinton na spotkaniu z Polonią w Detroit powiedział, że w kolejnym roku pierwsze kraje zostaną zaproszone do negocjacji akcesyjnych.

W marcu 1997 r. prezydenci USA i Rosji spotkali się w Helsinkach. Celem było ustalenie treści dokumentu regulującego kontakty NATO z Rosją. Jelcyn kolejny raz starał się zahamować rozszerzanie. Ostatecznie udało się podpisać akt ustanawiający mechanizm stałej współpracy NATO z Rosją i zapowiadający, że w nowych państwach członkowskich nie zostanie rozmieszczona broń atomowa ani nie trafią tam większe siły konwencjonalne Sojuszu.

Rozwiało to wiele obaw w łonie samego NATO i pozwoliło na szczycie w Madrycie w lipcu 1997 r. zaprosić kilka państw do rozmów akcesyjnych. Przepadła wówczas – ze względu na stan demokracji – kandydatura Słowacji. To wtedy Aleksander Kwaśniewski usłyszał od sekretarza generalnego NATO Javiera Solany: „Hombre, jesteście w NATO!". W rzeczywistości nie było to takie proste. Poza samymi negocjacjami akcesyjnymi trzeba było przeprowadzić proces ratyfikacyjny w państwach członkowskich, którego najtrudniejszym etapem było głosowanie w amerykańskim Senacie.

Kulisy dyplomacji

Ambasador RP w Waszyngtonie Jerzy Koźmiński na różne sposoby próbował wpływać na senatorów (rozmowa o kulisach tych zabiegów POLITYKA 11). Kapitalne znaczenie miał nacisk wyborców pochodzenia polskiego. Polscy dyplomaci przekonywali członków administracji amerykańskiej – w tym z Departamentu Stanu i Pentagonu, kongresmenów i senatorów, ekspertów i dziennikarzy.

Ambasada RP starała się wyciszać problemy polsko-żydowskie. Znaczenie miały działania Zbigniewa Brzezińskiego i Jana Nowaka-Jeziorańskiego. Ostatecznie przyjęcie Polski, Czech i Węgier poparło 80 ze 100 senatorów. Państwa te zostały oficjalnie przyjęte do NATO 12 marca 1999 r., ceremonia odbyła się w bibliotece Harry'ego Trumana w Independence w stanie Missouri.

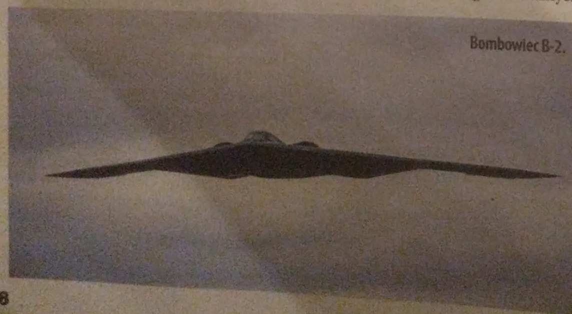
Utorowało to drogę do dalszego rozszerzenia z 2004 r., gdy do NATO wstąpiły Bułgaria, Estonia, Łotwa, Litwa, Rumunia, Słowacja i Słowenia, a w kolejnych latach weszły jeszcze Albania, Chorwacja, Czarnogóra i Macedonia Północna. Na Zachodzie wciąż jednak się wydawało, że Rosja nie stanowi większego zagrożenia. Aż do lutego 2022 r. Zaraz po rozpoczęciu pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę chęć dołączenia do Sojuszu zgłosiły – i już zostały przyjęte – Finlandia i Szwecja. Z perspektywy czasu nie wydaje się przesadzone stwierdzenie Bronisława Geremka, że rozszerzenie NATO było najważniejszym wydarzeniem w Polsce od czasu przyjęcia przez nią chrześcijaństwa. ■

Tarcze i miecze

Sojusz nie szuka wojny z Rosją, ale jest do niej przygotowany. Czym dysponuje?

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

W czym NATO góruje nad Rosją? W skrócie: we wszystkim. Już sama przewaga liczebna NATO – głównie stałych, zawodowych sił zbrojnych – nad Rosją wynosi trzy do jednego. Przy czym wojnę w natowskim stylu bardziej niż ilość definiują zakładana od początku przewaga informacyjna – wiedza o pozycjach, sile i ruchach przeciwnika – oraz przewaga ognia, gwarantująca powstrzymanie i obezwładnienie wroga z powietrza i z dystansu, by nawet nie zdołał zagrozić siłom sojuszniczym. Starcie w okopach to dla piechoty ostateczność, choć żołnierzom NATO nieobce są szarże na bagnety, ostatnio w wykonaniu Francuzów w Sarajewie w 1995 r. Do każdego z tych sposobów walki NATO ma specyficzne narzędzia, którymi Rosja nie dysponuje wcale albo nie w takiej liczbie lub jakości jak Zachód.


Bombowiec B-2.

1. Trudno wykrywalne samoloty

NATO posiada liczniejsze niż Rosja i bardziej nowoczesne lotnictwo bojowe. Zasoby te sięgają ponad czterech tysięcy maszyn myśliwskich, uderzeniowych oraz wielozadaniowych, czyli kilkukrotnie przewyższają możliwości rosyjskie. Same europejskie kraje NATO mają więcej lotnictwa taktycznego niż Rosja. Największą przewagę dają samoloty stealth, zbudowane tak, by utrudnić ich wykrycie radarom i samolotom wroga. F-22, duża maszyna myśliwska nowej generacji, daje nieporównanie mniejsze tzw. odbicie niż F-15, jej starszy odpowiednik, podobnie całkiem spory F-35 ma je wielokrotnie mniejsze od F-16. Nawet strategiczny bombowiec B-2 może być na radarze uznany za ptaka.

Maszyny stealth nie są niewidzialne, ale mogą zostać wykryte dopiero z niewielkiej odległości. W razie wojny z Rosją Amerykanie do niszczenia szczególnie ważnych celów będą wykorzystywać bombowce B-2 Spirit. Jest ich ledwie 19 i nie wykonają więcej niż kilka lotów na dobę. Zmieni się to po zbudowaniu floty nowych bombowców B-21 Raider. Liczniejsze są myśliwce F-22, zapewniające osłonę misjom bombowym i taktycznym ugrupowaniom uderzeniowym lotnictwa. Zadanie skrytego bombardowania w bliższym dystansie spocznie na F-35, których do końca dekady ma być w Europie około pół tysiąca. Amerykanie zamówili ich niemal pięć razy więcej.


Myśliwiec F-35.

F-35 ma bezkarnie zbliżać się do linii frontu i niewykryty bombardować obiekty obrony przeciwlotniczej. To nie tylko teoria – Izrael pokazał, jak bezradne są rosyjskie systemy wobec jego maszyn nad Syrią. Misje SEAD i DEAD – obezwładniania i niszczenia obrony powietrznej przeciwnika – z powodzeniem wykonują też F-16. W niemieckim Spangdahlem stacjonuje wyspecjalizowana w tym amerykańska eskadra „Dzikich Łasic". Podobne zadania ćwiczą też inne siły powietrzne NATO.

2. Pływające lotniska

USA dysponują jedenastką superlotniskowców, pływających baz dla zgrupowań uderzeniowych lotnictwa. Skierowanie wszystkich lotniskowców do obrony

NATO jest niewykonalne, jednak zdarzało się, że na wodach wokół Europy ćwiczyły dwa jednocześnie. Poza USA dwa duże okręty tego typu ma Wielka Brytania, jeden Francja. Włochy mają dwa, a Hiszpania jeden, te są nieco mniejsze. I bez USA robi się z tego armada. Na amerykańskich lotniskowcach mieści się pół setki samolotów bojowych i kilkadziesiąt innych, w sumie więcej niż niejeden kraj ma w całych swoich siłach powietrznych. Europejskie lotniskowce przenoszą mniejsze zgrupowania lotnicze. Wszystkie jednak zdolne są do współdziałania.

Z pozoru lotniskowiec to łatwy cel dla rakiet i bombowców, ale nigdy nie wyrusza w morze samotnie. Poza własnym lotnictwem jego osłonę stanowi kilka rakietowych fregat i niszczycieli, zdolnych do powstrzymania przeciwnika 100 km


Lotniskowiec klasy Nimitz.

przed celem. Poniżej lustra wody zawsze obecny jest przynajmniej jeden okręt podwodny. Sceptycy mówią, że największe, trzystumetrowe kolosy są za duże na Bałtyk, ale lotnicze zgrupowanie uderzeniowe z pomocą samolotów tankowców (lub ich bezzałogowych wersji) jest w stanie operować w promieniu ponad tysiąca kilometrów, a więc nad Polską z lotniskowca pływającego po Morzu Północnym czy Adriatyku.

Na coraz bardziej natowski Bałtyk z powodzeniem wchodzą też mniejsze okręty, na których da się zmieścić nawet 20 myśliwców F-35, przystosowanych do krótkiego startu i pionowego lądowania. Taka trudno wykrywalna powietrzna asysta przeciera szlak brygady piechoty morskiej, *marines* amerykańskich, brytyjskich, francuskich, włoskich czy hiszpańskich, która dociera na miejsce akcji własnym okrętem ze śmigłowcami. Nie przez przypadek NATO ćwiczyło takie lądowania w Estonii, w najmniejszym i najsłabszym militarnie kraju wschodniej flanki.

3. Strategiczne grubasy

Odrzutowce typu C-5A czy C-17 to mistrzowie przenoszenia ciężarów w swojej klasie. Każdy z ponad setki C-5A może


Załadunek transportowca C-17.

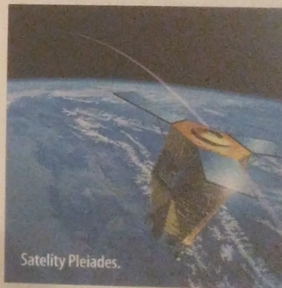
zabrać 82 tony ładunku, a nowocześniejszy C-17 (ponad 200 w służbie) 75 ton. Poza amerykańskimi C-17 inne państwa NATO dysponują też takimi samymi maszynami oraz transportowcami produkcji europejskiej i amerykańskiej. To A400M Atlas, szeroko rozpowszechnione C-130 Hercules i mniejsze C-295M CASA, C-27 Spartan oraz od niedawna brazylijskie KC-390. Mogą lądować na szutrze, trawie czy na plaży, niemniej te największe najlepiej czują się w hubach transportowych, takich jak Ramstein, Rzeszów, Wrocław, Powidz czy w przyszłości CPK. Na przewóz najcięższych ładunków NATO ma umowy z liniami cywilnymi, wykorzystującymi potężne maszyny An-124 Rusłan.

Latające tankowce mają za zadanie przedłużyć zasięg bombowców, samolotów taktycznych, transportowców i innych tankowców. Popularna w Europie koncepcja wielozadaniowego samolotu transportowo-tankującego łączy dwa zadania w jednym.

Najcenniejsze z tych powietrznych grubasów mają talerzowate lub pudełkowate anteny na górze, wystające narośle czujników, płaszczyzny radarów zakłócające obłe kadłuby. To samoloty powietrznego zwiadu, dozoru przestrzeni powietrznej, latające stanowiska dowodzenia. Dzięki nim NATO widzi dalej, bardziej precyzyjnie i jest w stanie zarządzać wielkimi operacjami powietrzno-lądowymi.

4. Kosmiczne oczy

Bez 32 satelitów GPS o wiele trudniej byłoby gdziekolwiek i w cokolwiek trafić. Najważniejsza jest jednak zawieszona na wysokiej geosynchronicznej orbicie konstelacja wczesnego ostrzegania, która wykrywa starty rakiet, dostarcza koordynaty wyrzutni oraz wylicza trajektorię lotu. Satelity są tak dokładne, że dostrzegą nie tylko starty międzykontynentalnych pocisków balistycznych, ale także rakiety jemeńskich rebeliantów Huti. Większość wojskowych satelitów na Zachodzie należy do USA, ale bardzo precyzyjne zobrazowanie optyczne na potrzeby państw NATO dostarcza też francuska sieć Pleiades i włoska SkyMed. Orbitę w szybkim tempie kolonizują firmy prywatne. Po udostępnieniu sieci Starlink Elona Muska Ukraina zachowała ciągłość dowodzenia i odporność na rosyjskie zakłócenia łączności.


Satelity Pleiades.

5. Nuklearne miecze zagłady

Wojskowi mówią, że celów militarnych dla broni jądrowej nie ma, są wyłącznie polityczne. Politycy – że wojna z użyciem broni nuklearnej nie ma prawa się zdarzyć. Dopóki jednak ta broń istnieje – a nic nie wskazuje na jej zmierzch – strategie obrony i odstraszania muszą ją uwzględniać, a jej posiadacze muszą utrzymywać ją w stanie wysokiej gotowości i nowoczesności. Pochłania to do 10 proc. budżetów obronnych mocarstw jądrowych.

USA mają ponad 1,5 tys. głowic na trzech nośnikach: strategicznych między- ▶


Taktyczna bomba atomowa B61.

▶ kontynentalnych pociskach rakietowych (ICBM, obecnie modernizowanych), pociskach wystrzeliwanych z okrętów podwodnych (również o nuklearnym napędzie) i lotniczych pociskach manewrujących zrzucanych przez bombowce oraz bombach jądrowych. To broń zarezerwowana dla odległego scenariusza globalnej zagłady. Arsenałem bliższym realnemu zastosowaniu są taktyczne bomby jądrowe B61, przechowywane w składach w Europie i będące rękojmią odstraszania NATO, choć pozostające pod kontrolą USA.

Chodzi o to, by Rosja miała świadomość, że poza bronią nuklearną Wielkiej Brytanii i Francji kraje sojusznicze będą mogły za zgodą Ameryki adekwatnie odpowiedzieć na atak jądrowy, gdyby nastąpił. Takich bomb jest ok. 180, ale ich użycie wymaga uruchomienia samolotów taktycznych (F-16, F-35, Tornado) i piętrowego cyklu decyzyjnego, co zmniejsza stopień zaskoczenia i sprowadza *nuclear sharing* (natowski program udostępnienia głowic sprzymierzeńcom nieposiadającym własnej broni jądrowej) do użycia w odpowiedzi, ale nie ataku. Choć ani NATO jako sojusz, ani trzy państwa członkowskie posiadające broń atomową (USA, Francja, Wielka Brytania) nie zadeklarowały, że nie użyją jej jako pierwsze, to jednak rozbieżne poglądy sojuszników w praktyce wykluczają taką ewentualność.

6. Czołgi w powietrzu

Czołgi państw NATO łatwo odróżnić od rosyjskich. Są większe, wyższe, masywniejsze i cięższe. Amerykańskie Abramsy, niemieckie Leopardy (najbardziej rozpowszechnione), brytyjskie Challengery i francuskie Leclerki zostały zbudowane z myślą o tym, by dać jak najlepszą ochronę załogom. Podczas zimnej wojny Związek Radziecki miał nad NATO liczebną przewagę w sprzęcie i ludziach, którą kraje zachodnie starały się zniwelować zaawansowaną technologią, a gdyby to nie pomogło – użyciem broni jądrowej.

Grube pancerze zachodnich czołgów w połączeniu z nowocześniejszą elektroniką, celniejszymi armatami i lepszą amunicją miały zapewnić wygraną w walce nierównej statystycznie. Pomóc miała też taktyka wojny powietrzno-lądowej, czyli użycia jednostek pancernych razem ze śmigłowcami bojowymi i samolotami wsparcia bezpośredniego. Dlatego powstały czołgi latające – śmigłowce ude-


Czołgi Leopard 2.

rzeniowe AH-64 i samoloty wsparcia A-10, dziś wycofywane.

Kolejne generacje czołgów w NATO mają jeszcze lepszą elektronikę i jeszcze mocniejsze pancerze, ale to śmigłowce przeszły głębszą ewolucję. Są dziś nie tylko nosicielami rakiet przeciwpancernych, ale także latającymi punktami obserwacyjnymi i węzłami sieci informacyjnej. Powolne i łatwe do wykrycia A-10 są zastępowane w roli samolotów wsparcia przez trudno wykrywalne F-35, będące jednocześnie maszynami rozpoznawczymi i uderzeniowymi.

7. Rakiety przeciw rakietom

Rozwój broni przeciwlotniczych polega głównie na zwiększaniu odległości wykrycia i precyzji naprowadzania rakiet, bo gdy znajdą one cel, nie zostawiają szans namierzonym samolotom, śmigłowcom czy dronom. Prawdziwą rewolucję wymusiło rozpowszechnienie bardzo groźnych pocisków balistycznych, jak Iskander, czy pocisków manewrujących, latających szybko i nisko, tuż przy ziemi. Komplikacją jest to, że wymagają zupełnie innego podejścia i innych technologii. Głowice balistyczne spadają na cel z góry i najlepiej trafić je bezpośrednio, czymś superszybkim o wysokiej energii. Pociski Cruise i uzbrojone drony najlepiej potraktować chmurą twardych odłamków z antyrakiety lub pocisku artyleryjskiego.

Amerykanie bezbłędnie trafiają pociskiem w pocisk od ponad dwóch dekad dzięki lądowym systemom Patriot i większym, okrętowym pociskom SM-3 (zainstalowanym też w antyrakietowych bazach Sojuszu w Rumunii i Polsce). To obrona kosztowna i niezbyt w NATO rozpowszechniona, ale niezwykle skuteczna. Patrioty wokół Kijowa prawie nie dają szans rosyjskim Iskanderom, a wysłane w pobliże frontu dosięgają rosyjskich samolotów z ponad 100 km. Europejczycy próbują doszlusować do antyrakietowej elity (najbliżej są Francuzi z Asterami), ale są też świetni w systemach krótkiego zasięgu, czego przykładami niemiecki Iris-T czy brytyjski Sky Sabre (jego pociski CAMM będą w polskim systemie Narew).

Za najniższe piętro obrony odpowiadają wciąż unowocześniane przeciwlotnicze działka z programowaną amunicją, która wybucha na milisekundy przed dronem i razi go tysiącami odłamków. Na śmigłowce, samoloty i pociski Cruise najlepsze są MANPADS-y, odpalane z ramienia niewielkie rakiety. Legendarny amerykański Stinger doczekał się trzech wersji rozwojowych, ale lepszy i tak jest polski Piorun, zyskujący bojową sławę w Ukrainie. W obronie powietrznej najważniejsza jest integracja jej poszczególnych pięter, by cel potraktować bronią możliwie skuteczną i ekonomiczną



To najbardziej usieciowione systemy walki w NATO, umożliwiające błyskawiczną wymianę informacji i komend. Rola człowieka sprowadza się tu coraz częściej do dozoru, a nie wciskania czerwonych guzików.

8. Długodystansowi snajperzy

Armie NATO dysponują arsenałem precyzyjnej broni dalekiego zasięgu, która trafia z dokładnością do kilku metrów z kilkuset kilometrów. Kijowowi została udostępniona tylko część rakiet i pocisków o najmniejszym zasięgu i możliwościach, a i tak ukraińska armia zadała rosyjskim wojskom, bazom i punktom dowodzenia dotkliwe straty.

Ataki pociskami Tomahawk zaczynały każdą kampanię zbrojną USA. „Tomek" doczekał się już pięciu generacji, potrafi przelecieć 1,6 tys. km, dla zmylenia obrońców kluczyć tuż nad ziemią i uderzać także w ruchome cele. Sam jest duży, więc wymaga odpalenia z okrętu. Jego mniejsi kuzyni, pociski manewrujące JASSM i LRASM, przenoszone są przez bombowce hurtowo, po 20 sztuk, a w detalu po dwa przez samoloty wielozadaniowe. Z frontów Ukrainy płyną doniesienia o punktowych trafieniach Storm Shadow i Scalp EG, bliźniaczymi europejskimi pociskami manewrującymi z Wielkiej Brytanii i Francji, które da się podwiesić pod dowolny samolot.

Jeszcze potężniejsze są niemieckie Taurusy, na razie skrzętnie chronione przed przekazaniem. Za perforacje mostów na Dnieprze, wysadzanie magazynów czy ostrzał samolotów na lotniskach częściej odpowiedzialne były rakiety ziemia-ziemia niż lotnicze. Pociski GMLRS z HIMARS-ów, a ostatnio także duże rakiety ATACMS z głowicami kasetowymi można porównać do broni snajperskiej, trafiają z 85 czy 160 km w koło o średnicy 10 m. Za precyzję odpowiada układ sterowania zasilany danymi z satelitów GPS o wojskowej dokładności (o ile działa bez zakłóceń). Najbardziej dalekosiężną z rakiet lądowych jest obecnie ATACMS o zasięgu 300 km, ale Amerykanie już wprowadzają pociski PrSM i SM-6 strzelające odpowiednio na 500 i 700 km. Gdy lada chwila wejdą do użytku hipersoniczne rakiety Dark Eagle, zasięg broni precyzyjnej NATO przekroczy 2,7 tys. km.


Oddział specjalny polskiej Żandarmerii Wojskowej.

9. Specjaliści od wszystkiego

Żołnierze o kocich ruchach tworzą najmniej liczny i najbardziej legendarny rodzaj wojsk. O tym, że na potrzeby specjalsów budowane są rodzaje broni, świadczy operacja w pakistańskim Abbottabadzie, w której do przerzutu grupy zadaniowej mającej zabić Osamę bin Ladena użyto wyciszonych śmigłowców Black Hawk. W działaniach sił specjalnych ważniejsze od sprzętu są wyszkolenie, taktyka, dowodzenie i łączność oraz pielęgnowany od dekad etos.

Brytyjski SAS, amerykański Navy Seals, polski Grom – dla tych jednostek mają nie istnieć misje nie do wykonania. Ich specyfiką jest działanie za liniami wroga. Wykonują takie operacje w małych zespołach, najchętniej nocą, przypływając pod wodą lub desantując się z dużych wysokości. Szczególną rolę w działaniach połączonych odgrywają pokrewni specjalsom JTAC-y, żołnierze odpowiedzialni za precyzyjne naprowadzanie na cel ataków lotniczych tuż przy lub za liniami wroga.


Wyrzutnie rakietowe HIMARS.

10. Globalna straż pożarna

A jeśli kryzys wybucha nagle i rozwija się w takim tempie, że tradycyjne wojska nie zdążą? Odwód najwyższej gotowości to spadochroniarze. W europejskich dużych armiach to z reguły brygady liczące po kilka tysięcy żołnierzy, ale w USA korpus – dwie dywizje, czyli 30 tys. spadochroniarzy.

Do dwóch C-17 mieści się cały batalion (500–750 żołnierzy), który ładuje się na pokład w Fort Bragg, a wysiada w dowolnym punkcie świata po kilku czy kilkunastu godzinach lotu. Takie ćwiczenia robią wrażenie, bo nagle niebo pokrywa się pieczarkami spadochronów, które po chwili znikają, a na lądowisku zaczyna się ruch. Spadochroniarze nie mają łatwo, muszą walczyć i przeżyć z tym, co ze sobą wezmą. Nie tylko na plecach, współczesne systemy desantu pozwalają zrzucać na platformach pojazdy, przenośne wyrzutnie rakiet i lekkie działa. W ten sposób piechota aeromobilna potrafi przeciwstawić się cięższym i przeważającym siłom, by np. zająć lotnisko, stając się szpicą wyprzedzającą siły wsparcia. Wyszkoleni do tego żołnierze wraz z załogami ich latających transporterów to jedno z kluczowych narzędzi obrony i odstraszania NATO.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

Polskie potyczki

Z zaplecza na pierwszą linię. Jak zmieniła się nasza armia po ćwierć wieku członkostwa w NATO?

JĘDRZEJ WINIECKI

Dołączyliśmy do NATO z pozycji petenta. Z niezgrabną, źle utrzymaną muzealną armią, którą szkolono i uzbrojono według sowieckich wzorów. W 1999 r. uzupełniono ją jeszcze w większości w trybie poboru, dziś nadal obowiązującego, choć zawieszonego – ostatni raz z tego rozdzielnika wcielano w 2008 r. Od początku członkostwa chodziło o zerwanie z przekleństwem zapóźnionych peryferii. Jedną z dróg było uczestnictwo w natowskich misjach, z pierwszą w Kosowie, z 800 żołnierzami z 18. bielskiego batalionu desantowo-szturmowego.

Po wejściu do NATO wojsko polskie brało udział w manewrach i misjach w kilkunastu państwach. Z niebojowymi wyjątkami, jak patrolowanie przestrzeni powietrznej Islandii po wybuchu jednego z wulkanów. Przez takie ekspedycje przewinęło się ponad 75 tys. osób. Areną działań były niebezpieczne państwa odległe – Afganistan, Irak i Republika Środkowej Afryki; patrolowano obszary morskie – Morze Czarne, Śródziemne, Północne, Norweskie, otwarty Atlantyk i oczywiście Bałtyk. Ze znaczną intensywnością Polacy pojawiali się głównie w stabilizacyjnej roli na Bałkanach (Kosowo, Bośnia i Hercegowina, Macedonia Północna, Grecja) i w państwach bałtyckich, by cyklicznie wspierać lokalne siły powietrzne, u Bałtów bardzo ograniczone.

Przywództwo polityczne starało się udowodnić sojuszniczą przydatność Polski, stąd pójście z Ameryką na jej duże wojny. Zwłaszcza Irak zmusił rząd w Warszawie do wyboru strony ówczesnych podziałów strategicznych. Jeden obóz – z Wielką Brytanią, Hiszpanią i Włochami oraz z tzw. nową Europą, od niedawna w NATO i wchodzącą właśnie do Unii Europejskiej – wspierał Amerykę. Drugi, z Niemcami, Francją i Rosją, był interwencji nad Eufratem i Tygrysem przeciwny. To wtedy francuski prezydent Jacques Chirac głosy m.in. Polski, Czech i Węgier za wyjazdem skwitował zapamiętanym mu zdaniem, że nowe państwa członkowskie „straciły okazję, by siedzieć cicho".

Afganistan i Irak boleśnie obnażyły polskie słabości. Podczas kolejnych zmian załamywano ręce nad możliwościami sprzętu i talentami dowódców. Pod wpływem tego przykrego impulsu rozpoczęła się jednak reforma wojska. Pod koniec obecności w Afganistanie mieliśmy jako tako wyposażoną pustynną armię: zweryfikowano możliwości transporterów opancerzonych Rosomak, ostrzelały się wojska specjalne, zetknięto się też na poważniejszą skalę z dronami bojowymi. Irak okazał się gospodarczą mrzonką, nie ziściły się zapowiadane – pewnie na wyrost – kontrakty dla polskich firm z branż budowlanej i naftowej. I z tej misji wróciła armia nieco lepsza, choć mająca poczucie udziału w wojnie niepotrzebnej.

Po powrocie rozważano plusy uczestnictwa w kampaniach zbrojnych z prawdziwego zdarzenia, co prawda dalekich i z hybrydowym przeciwnikiem, ale walczącym zupełnie na serio. Żołnierze musieli strzelać i zabijać, sami ginęli i odnosili rany. Dowódcy działali pod presją i w ramach skomplikowanej maszynerii logistyczno-koordynacyjnej, w sumie porównywalnego doświadczenia wojennego polskie wojsko nie zyskałoby nigdzie indziej. Misje sprawiły, że politycy zdali sobie sprawę z istnienia armii, także cywilni obywatele poznawali jej potrzeby i wyzwania, w tym moralny wymiar zaangażowania. Tu na pierwszy plan wybił się ostrzał afgańskiej wsi Nangar Khel w sierpniu 2007 r. i tzw. więzienia CIA pod Szczytnem, gdzie Amerykanie przetrzymywali oskarżonych o działalność terrorystyczną.

Irak i Afganistan przyniosły kilkadziesiąt ofiar śmiertelnych. Setki żołnierzy zostały rannych, niestety Rzeczpospolita kiepsko zaopiekowała się weteranami, w tym cierpiącymi na zespół stresu pourazowego. Jednak zwłaszcza w Iraku – pisała w 2008 r. POLITYKA – Polska politycznie zyskała nadspodziewanie dużo, nic praktycznie nie tracąc. Polacy wyjechali bez odium ciemiężycieli, jakie ciążyło na Amerykanach i Brytyjczykach. I przede wszystkim właśnie wtedy „dojrzały stosunki z Ameryką", a dotychczasowy „naiwny serwilizm ustąpił miejsca życzliwemu realizmowi", czego przykładem była negocjacyjna epopeja w sprawie



Żołnierze Gromu i Navy Seals w Umm Kasr w Iraku, marzec 2003 r.

tarczy antyrakietowej. Ministrem spraw zagranicznych był wówczas – tak jak i dziś – Radosław Sikorski, który „uwolniony od złudzeń co do stosunku Ameryki do Polski, zaczął z Waszyngtonem negocjować, a nie tylko kiwać głową".

Z amerykańskiego punktu widzenia atrakcyjność Polski brała się m.in. z położenia, ryglującego – jak powiedzieliby stratedzy – sporą część pomostu bałtycko-czarnomorskiego, po którym rosyjskie oddziały musiałyby przejść w drodze na zachód Europy. Nad terytorium Rzeczpospolitej biegną też trajektorie pocisków, którymi Iran mógłby porazić wschodnie wybrzeże Stanów Zjednoczonych. I faktycznie, pod koniec 2023 r. zaczęła działać baza amerykańskiej marynarki wojennej w podsłupskim Redzikowie, element tarczy antyrakietowej USA. W lipcu zostanie przekazana pod natowskie dowództwo. Po 24 lutego 2022 r. geografia sprawiła, że kluczowe znaczenie zyskało lotnisko w Rzeszowie, dotychczas cywilny port regionalny i lotnisko dla wojska drugorzędne. Teraz jest tzw. hubem obstawionym przeciwlotniczymi wyrzutniami Patriot centrum logistyki, obsługującym walczącą Ukrainę.

Wiosną 2024 r. w Polsce przebywa ponad 10 tys. żołnierzy amerykańskich. Na świecie USA utrzymują liczniejsze kontyngenty jedynie w węzłowych punktach

globalnej gosp
Amerykanów w
rei Południow
strzegąc intere
Wschodniej) i
bazie w Europi
co w Polsce zn
rze, w sercu na
Bliskiego Wsch
zentanci wojsk
jest piechota i

Amerykanie
woczesnym
z nim są siłą zb
rosyjskim dyw
tami zależało,
zgodnie z rach
– obojętnie, cz
Moskwa), czy
protesty) – po
nego ataku, b
w praktyce R
z reakcją Stan
obywatelom
pobytu w Pols
dzo skrupulat
zranienia lub ś
jących za gran
zamierzonej n
oburzenia i a
dyskusję, czy A
– dołącza do k



© DESMOND BOYLAN/REUTERS/FORUM

globalnej gospodarki i polityki. Więcej Amerykanów w mundurach służy w Korei Południowej i w Japonii (od dekad strzegąc interesów Waszyngtonu w Azji Wschodniej) i w Niemczech (tradycyjnej bazie w Europie). Podobna liczba wojska co w Polsce znajduje się jeszcze w Katarze, w sercu naftowego i niespokojnego Bliskiego Wschodu. Nad Wisłę trafili reprezentanci wojsk lotniczych, pancernych, jest piechota i są logistycy.

Amerykanie w Polsce dysponują nowoczesnym uzbrojeniem, ale nawet z nim są siłą zbyt wątłą, by postawić tamę rosyjskim dywizjom. Polskim rządom latami zależało, by ich nad Wisłę ściągnąć, zgodnie z rachubą, że właśnie ta obecność – obojętnie, czy stała (na tę ostro kwękała Moskwa), czy rotacyjna (też były rosyjskie protesty) – podwyższy cenę hipotetycznego ataku, bo każdy napastnik – czyli w praktyce Rosja – musiałby się liczyć z reakcją Stanów Zjednoczonych, gdyby obywatelom USA coś się stało podczas pobytu w Polsce. Amerykańska prasa bardzo skrupulatnie odnotowuje przypadki zranienia lub śmierci żołnierzy przebywających za granicą i tak byłoby z ofiarami zamierzonej napaści. Ta wywołałaby falę oburzenia i automatycznie uruchomiła dyskusję, czy Ameryka – i w jakiej formie – dołącza do konfliktu.

Konsekwencją warszawskiego szczytu NATO z lata 2016 r., zwołanego już po pierwszej napaści Rosji na Ukrainę i przechwyceniu Krymu, była obietnica wzmocnienia wschodniej flanki Sojuszu i przysłanie rok później pancernej brygadowej grupy bojowej, do dziś rozmieszczonej w garnizonach głównie Pomorza i Śląska. Na warszawskim szczycie zdecydowano także o utworzeniu natowskich batalionowych grup bojowych, rozlokowanych w pasie od Estonii po Polskę. Nie zatrzymałyby rosyjskiego natarcia, ale z racji międzysojuszniczego charakteru pełniłyby rolę „potykaczy", uderzenie na nie oznaczałoby straty nie tylko wśród miejscowych żołnierzy, ale także pośród obywateli innych państw członkowskich. Polski „potykacz" tego typu liczy ok. 2 tys. żołnierzy, w większości amerykańskich, pojawiających się na zasadzie rotacyjnej obecności. Ma siedzibę w Bemowie Piskim, w sąsiedztwie poligonu orzyskiego, na przedpłożu przesmyka suwalskiego, będącego wąskim gardłem dwóch większych dróg i jednej linii kolejowej prowadzącym do państw bałtyckich i pośrednio – przez Zatokę Fińską – do Finlandii, nowej sojuszniczki.

Od 2019 r. w Mirosławcu na Pomorzu Zachodnim stacjonuje jednostka z dronami rozpoznawczymi MQ-9 Reaper, o 20-metrowej rozpiętości skrzydeł i zasięgu blisko 6 tys. km. Rok później dołączyło wysunięte dowództwo V korpusu US Army, który w 2023 r. uzyskał status pierwszego stałego garnizonu amerykańskiego. Całe zgrupowanie – z polskim generałem jako zastępcą dowódcy – ma siedzibę główną w Fort Knox w stanie Kentucky i liczy do 30 tys. żołnierzy. W Poznaniu amerykański komponent mieści się w kompleksie Camp Kościuszko. Stacjonujący tam żołnierze zajmują się kwatermistrzostwem i wsparciem logistycznym innych jednostek, które działają w Polsce.

Na lotnisku w nieodległym Powidzu dopiero co zorganizowano magazyn sprzętu oraz naprawy uzbrojenia, który stał się największą wspólną inwestycją NATO i rządu amerykańskiego w ciągu ostatniego trzydziestolecia. Miejsca jest dość dla kilku tysięcy czołgów, innych pojazdów pancernych, artylerii itd. Baza – wzorowana na istniejących w Europie Zachodniej – powstała po to, by przybywające ze Stanów jednostki nie musiały wozić sprzętu i korzystały z tego, co zgromadzono w Powidzu. Dzięki temu ich czas reakcji ma się skrócić z półtora miesiąca do kilku dni.

Sojusznicy w Polsce to nie tylko Amerykanie, choć ich akurat jest najwięcej. Żołnierze innych państw – w okresach poza manewrami w sumie ok. 2 tys. – służą w kilku wielonarodowych jednostkach. Ważnym punktem jest Bydgoszcz, gdzie ulokowano m.in. batalion łączności, ośrodki szkolenia policji wojskowych oraz centrum zajmujące się przygotowaniem przerzutu tzw. szpicy, czyli natowskich sił szybkiego reagowania. W Krakowie zlokalizowano eksperckie centrum kontrwywiadu NATO, jedną z dwudziestu kilku instytucji tego typu działających w Europie. W Szczecinie mieści się dowództwo wielonarodowego korpusu Północny Wschód, które na początku ewentualnej napaści na wschodnią flankę będzie zawiadywać elementami wojsk lądowych w Polsce i trzech państwach bałtyckich. Są jeszcze dowództwa jednostek wielonarodowych – dywizji w Elblągu i brygady litewsko-polsko-ukraińskiej LITPOLUKRBRIG w Lublinie.

W ich przypadku najwyżej punktowanym słowem jest interoperacyjność. Co sprowadza się do respektowania natowskich procedur i obsługi nowoczesnego, coraz częściej amerykańskiego uzbrojenia trafiającego do polskiego wojska. Wszystko po to, by bez zbędnej zwłoki przystąpić do działań zbrojnych, gdy zajdzie taka potrzeba. ■



Zimna wojna znalazła odbicie w popkulturze. James Bond (na fot. Sean Connery i Daniela Bianchi w filmie „Pozdrowienia z Rosji”, 1963 r.), agent 007 Jej Królewskiej Mości, pracował dla NATO.

Agenda agenta

Prawdziwi szpiedzy już dawno skończyli z elegancją. Wojna wywiadów pochłania kolejne ofiary. Co dziś wiemy o natowskich porażkach i sukcesach na tym froncie?

PIOTR ŁUKASIEWICZ

Najsprytniejszą operację wywiadowczą przeciw NATO przeprowadzili w ostatniej dekadzie Afgańczycy z bazaru w Kabulu. Afgańską służbę żołnierze z Zachodu umilali sobie oglądaniem filmów (najczęściej dla dorosłych) i słuchaniem – działo się to jeszcze przed upowszechnieniem smartfonów i serwisów streamingowych – muzyki z komputera. Oczywiście służbowego, wykorzystywanego do planowania operacji przeciwko talibom, Al-Kaidzie i Państwu Islamskiemu. Tylko jak wgrać muzykę na dysk służbowego laptopa, który nie jest podłączony do sieci? Najlepiej tzw. stickiem, pamięcią wkładaną do gniazda USB. Można je było kupić za bezcen na bazarku przy bazie sił międzynarodowych. Żołnierze przechadzali się wśród kramów, pozwalali się fotografować przy kupowaniu afgańskich czapek, a wokół nich toczyła się finezyjna gra wywiadowcza.

Nic prostszego dla wrogiego wywiadu (pewnie rosyjskiego), niż przekupić miejscowego cwaniaka, by żołnierzowi sprzedał „ten konkretny” stick, zainfekowany oprogramowaniem szpiegowskim. Po umieszczeniu w komputerze „psuł się” w wyznaczonym momencie, więc oburzony żołnierz wracał do handlarza. Ten wymieniał stick na sprawny, odbierając „popsuty”, wypełniony tajemnicami. Na nic natowskie cyberzapory, stalowe drzwi i atmosfera tajemnicy. Wystarczyło użycie starożytnych narzędzi szpiegowskich – ludzkiej głupoty i chciwości. I odrobina seksu na ekranie.

Rosjanie zabijają

Szpiedzy skończyli już jednak z elegancją. Teraz, w tle wojny Rosji z Ukrainą, toczy się zgoła inna konfrontacja, tym razem rosyjsko-natowska, wróciły też znacznie mniej subtelne metody. Także takie, z którymi NATO dawno się nie stykało. Musi się ich na nowo uczyć, na razie przede wszystkim podpatrując doświadczenia walczącej Ukrainy.

Pierwszą rundę Amerykanie wygrali bez strat. Latem 2021 r. agencje wywiadowcze Stanów Zjednoczonych zorientowały się, że Rosja przygotowuje się do czegoś, co będzie albo wielkim blefem, albo dużą wojną. Szef CIA William J. Burns i dyrektorka wywiadu narodowego Avril Haines poufnie informowali swoich europejskich partnerów o zamiarach Kremla i rozpoczęli kampanię w zachodnich mediach. Upubliczniono plany przygotowań wojennych, w tym szykowanie mobilnych krematoriów i banków krwi. Dane były tak precyzyjne, że Rosjanie stracili przewagę zaskoczenia. Brak zabezpieczenia kontrwywiadowczego inwazji sprawił, że Ukraińcy utrudnili pierwsze postępy wojsk rosyjskich i to właśnie dane wywiadów – amerykańskiego, natowskiego i ukraińskiego – przesądziły o utknięciu Rosji w wojnie. Miała być krótka i błyskotliwa. Okazała się krwawa i nie do wygrania. Chyba że prezydent Władimir Putin zechciałby wrócić do potęgi i chwały czasów Związku Radzieckiego, grożącego blokowi NATO bronią nuklearną.

Takie groźby dobiegały z Kremla i zyskiwały na sile w 2022 r. wraz z grzęźnięciem ofensywy. Zdaje się, że Putin szykował się wtedy do odpalenia taktycznego ładunku nuklearnego nad Ukrainą. Amerykanie i na to mieli odpowiedź. Joe Biden utworzył tzw. brygadę tygrysa (Tiger Team), opracowującą scenariusze reakcji na sięgnięcie przez Rosjan po broń atomową lub chemiczną. Wiosną 2023 r. szef CIA spotkał się ze swoim rosyjskim

odpowiednikiem Siergiejem Naryszkinem i nakreślił mu możliwą odpowiedź na wypuszczenie nuklearnego dżina, zakładającą prawdopodobnie wejście Amerykanów do wojny konwencjonalnej. Stąd wnioski, że CIA mogła mieć dostęp do komunikacji dowódców sił jądrowych Rosji lub umieściła swojego człowieka w wojskach strategicznych.

Tymczasem wywiad rosyjski wydawał się sparaliżowany. Przeszacował możliwości sił własnych i nie docenił Ukraińców. Sytuację pogorszyła zbiorowa odpowiedź państw NATO, które wyrzuciły ponad 400 rosyjskich dyplomatów – większość z nich pod przykryciem, np. attaché kulturalnego lub prasowego, na pewno pełniła także służbę oficerów wywiadu. Ten krok uniemożliwił Rosjanom bezpieczną działalność wywiadowczą, zadowolił europejską i amerykańską opinię publiczną, ale miał też skutek niepożądany. Sieci szpiegowskie i rezydentury w ambasadach przestały istnieć, więc rosyjski wywiad zwrócił się do podmiotów znajdujących się poniżej natowskiego radaru kontrwywiadowczego – międzynarodowych gangów oraz rosyjskiej lub białoruskiej emigracji. A także zapatrzonych w Rosję europejskich dziennikarzy, aktywistów i działaczy. Sięgnięto po serbskich, bułgarskich i hiszpańskich zbirów działających na rzecz Kremla w półświatkach Europy, często bez świadomości, komu służą. Agentura stała się wielobarwna, mniej dostrzegalna i trudniejsza do zwalczenia.

Po 2022 r. skala i częstotliwość zabójstw w świecie wywiadów przekroczyły standardy zimnowojenne. Rosjanie i Ukraińcy namiętnie ścigają obcych agentów i zdrajców, jak Maksima Kuzminowa, rosyjskiego pilota, który przeleciał helikopterem przez linię frontu. Ukraińcy pokazali go w telewizji jako kolejny sukces swojej sprawy, nagrodzili finansowo i pod zmienioną tożsamością ukryli w Hiszpanii. Zginął w lutym na parkingu w Villajoyosa. Zamachu dokonali pewnie miejscowi gangsterzy powiązani z operującą w Hiszpanii mafią handlującą narkotykami sprowadzanymi z Azji Środkowej.

Rosjanie starali się zabić też prezydenta Wołodymyra Zełenskiego oraz szefa ukraińskiego wywiadu wojskowego gen. Kyryła Budanowa, a kiedy nie zdołali dopaść jego samego, spróbowali otruć żonę, również funkcjonariuszkę ukraińskiego wywiadu. Ukraińcy nie pozostawali dłużni. Wydłuża się lista Rosjan zabitych także na terytorium Rosji: kremlowscy propagandyści Daria Dugina i Władlen Tatarski oraz kolaboranci na terenach okupowanych, oficerowie frontowi na urlopach, najemnicy w państwach afrykańskich.

NATO nie brudzi rąk

Państwa NATO nie posuwają się do podobnie brutalnych metod. Zadowalają się aresztowaniami siatek szpiegowskich (w Polsce, Czechach, we Francji i Wielkiej Brytanii) oraz zwalczaniem dezinformacji i rosyjskiej krucjaty ideologicznej. Szefowie zachodnich służb starają się też przekonywać demokratycznie wybrane władze i informować społeczeństwo o grożącej Europie wojnie na większą skalę. Czasem rozbijają lokalne grupy przestępcze lub te o zabarwieniu terrorystycznym działające wyraźnie z rosyjskiej inspiracji. Niemiecki kontrwywiad BND informował o zatrzymaniach wśród członków organizacji Reichsbürger skupiającej dziwacznych arystokratów, byłych urzędników i oficerów wojska, asystentów posłów i biznesmenów. Słowem: malowniczej bandy prorosyjskich aktywistów, jakby wyjętych z powieści Fredericka Forsytha, którzy rysowali plany zbrojnego przejęcia władzy w jednej z najsolidniejszych demokracji europejskich.



Gen. Kyryl Budanow, szef ukraińskiego wywiadu, ściśle współpracuje z NATO.

Zachód i państwa NATO prowadzą skuteczniejsze działania niż sponsorowanie zamachów na Rosjan. Te może i są satysfakcjonujące moralnie, ale nie zmieniają znacząco bilansu konfrontacji. Co innego wojskowe – i bardzo nieoficjalne – wsparcie dla Ukrainy polegające na przekazywaniu danych zbieranych z sieci, z powietrza, morza, lądu. Samoloty dalekiego rozpoznania AWACS krążą stale nad Polską, Rumunią i państwami bałtyckimi po to, by ostrzegać przed rosyjskimi atakami rakietowymi.

Niewiele wiadomo o bazach Zachodu w Ukrainie, zbudowanych i wyposażonych jeszcze przed wojną przez CIA i inne wywiady. Nie wiadomo, czy są tam oficerowie zachodni. To w takich miejscach ukraińscy operatorzy wyznaczają cele dla pocisków manewrujących zachodniej produkcji, dla dronów morskich atakujących okręty rosyjskiej Floty Czarnomorskiej albo do śledzenia skupisk rosyjskich żołnierzy, które mogą zostać porażone ukraińską artylerią rakietową.

Ukraińcy zdobyli zaufanie amerykańskich i europejskich partnerów tym, że zdołali spenetrować rosyjską łączność wywiadowczą. Jeszcze przed wojną wywiady GUR i SBU przekazywały informacje, które pozwoliły m.in. przypisać Rosjanom zestrzelenie samolotu malezyjskich linii lotniczych nad Donbasem w 2014 r. Ukraińcy z oddziału sił specjalnych, którego dowódcą był Budanow, zdobywali rosyjskie drony na Krymie i przekazywali je do badania Amerykanom. Ukraińcy podsłuchiwali kanały rosyjskiej łączności wojskowej i cywilnej, robiąc właściwy użytek z Pegasusa i podobnych programów inwigilacyjnych. Odnajdywali gadatliwych wysokich oficerów rosyjskich, którzy po zlokalizowaniu ginęli w pobliżu linii frontu.

Jak złowić rybkę

Zdobycze Ukraińców pozwoliły przenikać do rosyjskich szeregów. Dziennik „The New York Times" pisze, że Amerykanie i Ukraińcy prowadzili operację o kryptonimie „Złota rybka", umieszczali w Rosji tzw. nielegałów, oficerów wywiadu udających zwykłych obywateli. Niewielu wywiadowcom z Zachodu może się udać sztuka przeniknięcia pod takim kamuflażem. Co innego bliscy kulturowo Ukraińcy, umiejący uwiarygodnić się w oczach Rosjan.

A dlaczego „Złota rybka"? Odpowiedź przynosi żart wywiadowczy. Dwóch Estończyków złowiło magiczne stworzenie, które po rosyjsku zaczęło namawiać ich do wypuszczenia w zamian za spełnienie dowolnego życzenia. Jeden z Estończyków natychmiast rozkwasił złotej rybce głowę kamieniem. Słusznie uznał, że nikomu, kto mówi po rosyjsku, zaufać nie można.

Dla państw NATO Rosja w coraz większym stopniu staje się wrogiem, a im bliżej jej granic, tym mocniej manifestowana jest chęć ograniczania możliwości Kremla. Przebieg obecnego starcia wywiadów NATO i Ukrainy z rosyjskimi zwiastuje charakter przyszłego konfliktu, tym razem Zachodu z Rosją. Oby skończyło się tylko na wojnie szpiegów. ■



Amerykańscy żołnierze pokazują sprzęt mieszkańcom Torunia (ćwiczenia „Dragoon Shock”, 2016 r.).

Gdy ich kiedyś zabraknie...

A jeśli wybory prezydenckie w USA wygra Donald Trump? Czy można sobie wyobrazić atlantyckie przymierze bez Ameryki?

TOMASZ ZALEWSKI Z WASZYNGTONU

Można zrozumieć szok, jaki w Europie wywołały zapowiedzi byłego prezydenta podważające istotę NATO. Popłoch wzbudzają też zapowiedzi jego dawnych doradców. Mówią, że jeśli Donald Trump powróci do Białego Domu, spróbuje wyprowadzić Stany Zjednoczone z Sojuszu. W czasie ewentualnej drugiej kadencji nie będzie miał w swym otoczeniu współpracowników z tradycyjnego republikańskiego głównego nurtu. Dostanie za to wsparcie ideologicznie bliskich mu lojalistów z ruchu MAGA. Natosceptycyzm Trumpa nie przesądza jeszcze, że Ameryka pod jego kierownictwem opuści Sojusz czy go nawet osłabi. W kraju, który nie jest dyktaturą, liczy się jeszcze opinia społeczeństwa i poglądy elit kształtujących politykę zagraniczną. Czy one też uznają, że Ameryka może się bez NATO obejść?

Niechęć do wikłania się w europejskie spory leży w amerykańskim DNA. Trumpiści występują pod sztandarem America First. Tak w latach 30. XX w. nazwał się ruch sprzeciwu wobec angażowania się w europejskie konflikty i udziału w wojnie – pod wodzą Charlesa Lindbergha oraz innych sympatyków Trzeciej Rzeszy. Amerykański izolacjonizm ma długą historię, sięga początków państwa i ostrzeżeń George'a Washingtona, by młody kraj nie wchodził w międzynarodowe przymierza, bo te grożą wojnami i krępują swobodę działania. Uczestnictwo w pierwszej wojnie światowej okazało się epizodem przejściowego zaangażowania, zaraz później Senat nie ratyfikował traktatu wersalskiego i zablokował wejście kraju do Ligi Narodów.

Okres wsobności zakończył japoński atak na Pearl Harbor, wymuszający udział w drugiej wojnie światowej. Izolacja nie mogła być sposobem na supermocarstwowy Związek Radziecki – lęk przed nim stał się motorem utworzenia NATO. Obie amerykańskie partie zjednoczyło wówczas przekonanie, że konieczne jest utrzymywanie – w ramach NATO – oddziałów na Starym Kontynencie. NATO było też trzonem szerszego systemu zbiorowego bezpieczeństwa, na który składały się też inne, bardziej efemeryczne traktaty militarne z przywódczym udziałem Ameryki: bliskowschodnie CENTO, SEATO z Azji Południowo-Wschodniej czy ANZUS z Oceanii. Z NATO na czele – i z cywilną ONZ na dokładkę – stworzyły szkielet Pax Americana, globalnego ładu gwarantującego pokój i stabilność.

W okresie zimnej wojny NATO nie prowadziło operacji zbrojnych, podjęło się takich misji, występując dopiero w swej nowej roli stabilizatora systemu przy wygaszaniu konfliktów etnicznych na Bałkanach w latach 90. Po ataku Al-Kaidy na USA 11 września 2001 r. przymierze zaangażowało się poza swoim tradycyjnym europejskim teatrem. Wtedy sojusznicy przyłączyli

się do inwazji na goszczący islamskich terrorystów Afganistan, pomagali też w Iraku. Jednak świat odbierał te interwencje przede wszystkim jako operacje amerykańskie, których sensowność – zwłaszcza na odcinku irackim – budziła wątpliwości i mocno dzieliła zachodnią wspólnotę. Równolegle mocarstwa zachodnioeuropejskie lekceważyły obawy Europy Środkowo-Wschodniej wskazującej na Rosję. Prezydent Barack Obama nawet po aneksji Krymu odmówił dostarczenia Kijowowi tzw. śmiercionośnej broni. Obudzono się dopiero po inwazji na Ukrainę w lutym 2022 r.

Mimo tych okoliczności w Ameryce rozgłos zyskał pogląd Trumpa, że Europa za darmo korzysta z amerykańskiej ochrony przed Rosją, bo ciężar obrony – i pomocy dla Ukrainy – w większości ponoszą USA. Trump był pierwszym prezydentem wypominającym Europejczykom oszczędzanie na zbrojeniach. Zwolennikom przedstawił to jako dowód naiwności i słabości poprzednich prezydentów pozwalających na wyzyskiwanie Ameryki. Jednak fakt, że Europa nie rozwijała swoich zdolności obronnych i kupowała amerykańską broń, był przywódcom w Waszyngtonie na rękę. Nie przypadkiem sprzeciwiali się budowie europejskiej armii. Zależność od Ameryki bowiem oznaczała, że Europejczycy wiele dla niej zrobią, także szkodząc własnym interesom, np. wprowadzając ograniczenia w swoim handlu z Chinami.

Teoretycznych uzasadnień dla sloganów Trumpa dostarcza jego intelektualne zaplecze, m.in. think tank Center for Renewing America. Jego szef Sumantra Maitra uważa, że rozszerzenie NATO po zimnej wojnie, ówcześnie motywowane chęcią rozbudowy strefy stabilizacji i bezpieczeństwa, było przykładem groźnego zwycięstwa ideologii nad polityką. Nie leżało w interesie USA. Korzyść odnieśli natomiast Europejczycy borykający się z konfliktami etnicznymi we wschodniej części kontynentu. Na pewno poszerzenia nie uzasadniało – i nie uzasadnia do dziś – zagrożenie ze strony Rosji, która jest cieniem dawnej potęgi, mocarstwem schyłkowym. Nie ma się co jej bać, pisał Maitra już w czasie inwazji na Ukrainę. Jego zdaniem największym zagrożeniem dla Ameryki są Chiny. Trzeba więc przerzucić wojska z Europy do Azji. Jeżeli NATO tego jeszcze nie robi, to tylko dlatego, że jego biurokracja sztucznie przedłuża istnienie tego molocha. Maitra liczy, że długo to nie potrwa. Wolałby miniprzymierza z lokalnymi mocarstwami. Takie traktaty wyeliminują potrzebę dużego sojuszu w rodzaju NATO i rząd amerykański mógłby się z niego zupełnie wycofać.

Eksperci z tradycyjnego establishmentu amerykańskiej polityki zagranicznej z łatwością obalają podobne tezy. Za przekłamaniami kryje się w nich obojętność dla losu Europy Wschodniej i całego kontynentu. – *Ameryka potrzebuje NATO* – mówi Daniel Fried, były ambasador w Warszawie, związany dziś z Atlantic Council, czołowym waszyngtońskim think tankiem. – *Sojusz zapewniał Europie pokój przez 75 lat. Pozostaje fundamentem transatlantyckiej prosperity i zdolności Zachodu do zachowania bezpieczeństwa, także w Azji.* Fried uważa, że – wobec agresywnej postawy Putina – bez NATO wojna rozlałaby się już poza Ukrainę, niwecząc dokonania Ameryki z drugiej wojny światowej i zimnej wojny.

– *NATO jest kluczowe dla bezpieczeństwa Ameryki. W XX w. mieliśmy nadzieję, że Europa zostawi nas w spokoju. Tymczasem doczekaliśmy się dwóch wojen światowych i stało się jasne, że my też powinniśmy walczyć. Później stworzyliśmy NATO i jak dotąd uniknęliśmy trzeciej wojny. Ameryka ma zbyt wiele interesów w Europie, by ją zignorować* – twierdzi Michael O'Hanlon, ekspert z sympatyzującego z Partią Demokratyczną think tanku Brookings Institution.

W ten pogląd wpisuje się przekonanie, że europejska gospodarka nie da rady przejść na tryb wojenny w ciągu kilku lat, które miałyby pozostać do rosyjskiej agresji. Odwrót sił USA ze wschodniej flanki NATO albo z całego kontynentu zostawi ją na pastwę Putina, a wojna oznaczałaby zniszczenie Europy i utratę najważniejszego rynku dla gospodarki amerykańskiej. Pogląd, że to Chiny są pierwszym wyzwaniem strategicznym, przeważa w głównym nurcie polityki, ale dodaje się, że chodzi o zagrożenie w dalszej perspektywie, choć już teraz blisko współpracują z Rosją. – *Wojna w Ukrainie nie jest zastępczą wojną USA z Rosją, to zastępcza wojna z Chinami* – zapewnia Lincoln A. Mitchell, politolog z Uniwersytetu Columbia. Mitchell uważa, że gospodarkę amerykańską stać na wyprodukowanie broni i sprzętu w ilości wystarczającej, by wspomagać sojuszników z obu krańców Eurazji.

Większość Amerykanów wciąż dobrze ocenia NATO, popiera członkostwo USA w Sojuszu i wynikające z niego zobowiązania. Poparcie wzrosło nieco po rosyjskiej napaści na Ukrainę, choć w miarę wojny słabnie pozytywny stosunek do pomocy słanej Kijowowi. Według tegorocznego sondażu YouGov 60 proc. respondentów zgadza się, że Ameryka powinna bronić zaatakowanych sprzymierzeńców z NATO. Tylko 13 proc. uważa, że nie powinna iść sprzymierzeńcom w sukurs. A 26 proc. nie jest pewnych swojego stanowiska. Bardzo dobrą lub umiarkowanie pozytywną opinię o Sojuszu transatlantyckim wyraża 53 proc. Amerykanów, a negatywną jedynie 22 proc. Podobny obraz nastrojów daje sondaż Gallupa – 47 proc. jest za utrzymaniem zobowiązań, a 16 proc. opowiada się za ich zmniejszeniem. Tylko 12 proc. wołałoby, żeby Ameryka z Sojuszu wystąpiła.

Dotychczas w kwestiach natowskich panował ponadpartyjny konsens, ale rysujące się zróżnicowanie opinii zwiastuje co najmniej niestabilność kursu przyszłych rządów i Kongresu. A zmienne demograficzne sprawiają, że trend wydaje się spadkowy i w rezultacie coraz mniej Amerykanów będzie Sojusz popierać. – *Wymiera pokolenie, które pamięta drugą wojnę światową i rozumie skutki ewentualnego wycofania się Ameryki z Europy* – mówi Timothy Naftali, historyk z Uniwersytetu Columbia. – *Dla młodszej generacji, uformowanej na traumie zamachów z 11 września, Europa nie jest tak ważna jak dla ich rodziców i dziadków* – dodaje Max Bergman, ekspert ds. europejskich w waszyngtońskim Centrum Studiów Strategicznych i Międzynarodowych (CSIS). To zjawisko personifikują głośne kariery dwóch republikańskich senatorów, przeciwnych dalszej pomocy dla Ukrainy i wrogo nastawionych do NATO: J.D. Vance'a i Josha Hawleya. Obaj to politycy koło czterdziestki, a więc z pokolenia milenialsów.

Amerykański natosceptycyzm na pewno nie sprowadza się jedynie do Trumpa. Dość łatwo przekonał fanów, że NATO jest be. Co nie było trudne: dla przeciętnych obywateli sprawy międzynarodowe nie są czymś, czym zaprzątają sobie głowę, w tych kwestiach Amerykanie okazują się szczególnie podatni na manipulacje demagogów. Jeżeli więc Trump wygra wybory, przyszłość Sojuszu będzie śmiertelnie zagrożona. Ale nawet jeśli ich nie wygra, to nie znaczy to, że będziemy mieć problem z głowy. – *Neoizolacjonizm po dziesięcioleciach przerwy wrócił na całego do amerykańskiej polityki i ewentualna porażka Trumpa w tegorocznych wyborach prezydenckich nie położy mu kresu* – mówi Daniel Fried. – *Stworzyłaby jednak w Partii Republikańskiej szansę powrotu na scenę reaganowskiej prawicy.* Czyli takiej, która głęboko wierzy w sens przymierza z Europą. ■

Zupa życia

ANDRZEJ HOŁDYS

Badacze są podzieleni. Jedni uważają, że kolebką życia były głębiny oceaniczne. Drudzy – że kałuże, płytkie zbiorniki powierzchniowe. Za to wszyscy zgodnie deklarują, że zbliżają się do rozwiązania.

ILUSTRACJA MIROSŁAW GRYŃ

Czy istnienie życia jest szczęśliwym trafem, czy też nieuniknioną konsekwencją działania praw natury? W drugim przypadku martwa materia musiała zmienić się w żywą, o ile tylko spełnione zostały konkretne warunki. Jeśli tak, to jakie? Czy było ich niewiele, a droga od reakcji chemicznych do procesów biologicznych została pokonana szybko? Czy też przeciwnie – życie na Ziemi jest produktem długiej serii mało prawdopodobnych zdarzeń? Odpowiedzi na te pytania szukają od dawna uczeni wielu specjalności – biolodzy, chemicy, geolodzy, ale także astronomowie i planetolodzy. Jeśli bowiem martwą materię dzieli od żywej parę małych kroków, wówczas ta druga zapewne występuje powszechnie we Wszechświecie.

A jak to wyglądało na Ziemi? Niektórzy uważają, że wszystko zaczęło się poza nią, a komórki biologiczne z prawdziwego zdarzenia – z całą ich skomplikowaną maszynerią biochemiczną umożliwiającą pozyskiwanie energii, przemianę materii i replikację – zostały dostarczone przez meteoryty. Według innej koncepcji kosmiczny import to nie gotowy produkt, lecz podstawowe materiały organiczne potrzebne do jego zmontowania na miejscu.

Jedno i drugie nie jest wykluczone, ale zdaniem wielu innych badaczy ziemskie życie to zasadniczo rodzimy wyrób, być może z bardzo niewielkim wkładem kosmicznym. Dominują tu dwie hipotezy, które wzajemnie się wykluczają. Pierwsza mówi, że życie wystartowało u wylotu gorących źródeł bijących na dnie głębin oceanicznych, a pierwszy krok polegał na uruchomieniu procesów przemiany materii i energii. Druga wskazuje na płytkie, ciepłe i nasłonecznione zbiorniki wodne – „zupę pierwotną", jak to w 1924 r., a więc dokładnie sto lat temu, określił biochemik rosyjski Aleksandr Oparin. Według najnowszej wersji tej koncepcji w owej „zupie" pojawiły się w pewnym momencie cząsteczki RNA, powielające się i zarazem katalizujące (przyspieszające) kluczowe dla życia procesy chemiczne. To one miały się stać prekursorami pierwszych organizmów.

Małomówny LUCA

Kto ma rację? W meteorytach – takich jak chondryt węglisty Murchison, który spadł w Australii w 1969 r. – zidentyfikowano niektóre podstawowe chemiczne cegiełki życia, np. aminokwasy i zasady azotowe, ale samego życia nie znaleziono. Badania geologiczne prowadzone na najstarszych kawałkach lądów owszem, dostarczają dowodów, a przynajmniej poszlak wskazujących, że życie na Ziemi ma bardzo stary rodowód, ale wyniki tych analiz nie są pewne.

Sensację wzbudził dwa lata temu Dominic Papineau, geolog z University College London, który ogłosił, że w skałach z kanadyjskiej prowincji Quebec, liczących aż 4,29 mld lat, znalazł ślady aktywności chemicznej jednokomórkowców żyjących na dnie oceanów. Owe organizmy – według niego – pozyskiwały energię życiową, utleniając żelazo, a następnie wykorzystywały ją do wyłuskania węgla z dwutlenku węgla. Dzięki temu mogły dokonywać syntezy potrzebnych im związków organicznych. „Były organizmami samożywnymi, które przystosowywały się do życia w ciemnościach, a z braku światła słonecznego przestawiły się na żelazo jako dostawcę energii. Podobne bakterie żyją na Ziemi również dziś. Wygląda na to, że jest to bardzo stara strategia życiowa. Mogła pojawić się na Ziemi zaledwie 300 mln lat po jej narodzinach, a może wcześniej" – mówił Papineau.

Badania te jednak, choć ważne i ekscytujące (wspierające hipotezę głębinową), są też bardzo kontrowersyjne. Nie ma pewności, czy Papineau znalazł faktycznie ślad życia, czy też jakąś geochemiczną strukturę. W ciągu czterech miliardów lat wiele się mogło stać z kawałkiem skały.

Niepewna jest też genetyka. Raczej nie dostarczy nam bezpośredniej odpowiedzi na pytanie o początki życia. W najlepszym razie może wskazać pewne tropy. Porównywanie sekwencji genów współczesnych organizmów pozwala zrekonstruować „drzewo życia" i cofnąć się do czasów pierwszych żywych organizmów wyposażonych w geny. Biolodzy próbują ustalić, jak mógł wyglądać ten ostatni wspólny przodek wszystkich mieszkańców globu – nazwano go LUCA (od ang. *last universal common ancestor*).

Z niektórych analiz (ale nie wszystkich) wynika, że ów organizm zamieszkiwał źródła hydrotermalne na dnie oceanów, a energię życiową pozyskiwał z wodoru, utleniając go za pomocą dwutlenku węgla. Z tego ostatniego związku pobierał też węgiel włączony do związków organicznych. Grupa badaczy oszacowała parę lat temu, że LUCA mógł się pojawić na Ziemi zaledwie 150–200 mln lat po jej powstaniu. To wniosek zbieżny z twierdzeniami Papineau, z tą różnicą, że jego mikroorganizm na dostawcę energii wybrał żelazo, a nie wodór. Kłopot w tym, że niezależnie od tego, jak wyglądał LUCA i skąd czerpał energię życiową, reprezentował już żywą materię – miał białka i geny. Należał zatem do świata biologii. Dlatego niewiele nam powie o czasach jeszcze wcześniejszych, gdy martwa materia dopiero budziła się do życia.

Jak zatem ustalić, co zaszło podczas biologicznego Big Bangu? Pozostaje metoda dość staroświecka, ale czasami niezastąpiona: eksperyment laboratoryjny rekonstruujący przebieg zdarzeń. Zapewne niejaką przesadą jest porównanie współczesnych tropicieli początków życia na Ziemi do dawnych alchemików poszukujących kamienia filozoficznego umożliwiającego transmutację, czyli przemianę zwykłego metalu w szlachetny. Jednak skojarzenie samo się narzuca. Tu także chodzi o transmutację, tylko innego rodzaju – przemianę martwej materii w żywą, dokonaną dzięki odpowiedniemu dobraniu warunków eksperymentu oraz składników mikstury.

W żargonie naukowym te próby określane są chemią prebiotyczną, a sama idea powstania żywych organizmów z martwej materii – abiogenezą. Za jej początek można uznać koncepcje wspomnianego już Oparina oraz współczesnego mu brytyjskiego badacza Johna Haldane'a, oraz oczywiście pamiętny eksperyment Stanleya Millera i Harolda Ureya z 1952 r., który miał tę teorię zweryfikować doświadczalnie, czyli wykazać, że z kilku podstawowych składników nieorganicznych – wodoru, metanu, amoniaku i wody – można zsyntetyzować związki organiczne. Jedyne, czego potrzeba, to wyładowania elektryczne.

Doświadczenie przeprowadzone na Uniwersytecie Chicagowskim zakończyło się powodzeniem – Miller i Urey otrzymali większość aminokwasów obecnych w ziemskich organizmach. I choć malkontenci kręcili nosem, narzekając, że z kolby nie wyskoczył od razu żywy organizm, dwaj uczeni znaleźli wielu naśladowców, a chemia prebiotyczna rozwinęła skrzydła i dziś para się nią liczne grono badaczy. Eksperymenty trwają. Jedne mają udowodnić, że życie narodziło się w głębinach oceanicznych, drugie – że w „zupie pierwotnej". Wiele ciekawych doniesień pojawiło się w kilku ostatnich tygodniach. Ich autorami są zwolennicy obu scenariuszy. Jedni i drudzy deklarują, że wcześniej lub później zagadka zostanie rozwiązana.

Głębinowa oaza

Zacznijmy od eksperymentu opisanego w styczniu tego roku w „Nature Communications", a przeprowadzonego przez Jona Tellinga, Grahama Purvisa i innych badaczy z Newcastle University. W laboratorium stworzyli oni warunki podobne do tych, jakie panują u wylotu kominów hydrotermalnych.

Kilka zdań o tych zdumiewających budowlach. Przypominają wąskie, cylindryczne wieże wyrastające z dna oceanicznego na wysokość od kilkunastu do kilkudziesięciu metrów. Pierwsze odkryto w latach 70. XX w. Dziś znana jest lokalizacja ok. 500 takich miejsc. Wszystkie znajdują się w strefach intensywnego wulkanizmu podwodnego. Woda, która wydostaje się z kominów, ma wysoką temperaturę i zawiera wiele związków chemicznych. Wzbogaciła się w nie, nurkując wcześniej pod dno i ogrzewając się od gorących skał. Kiedy wypływa, styka się z zimną wodą oceaniczną i wtedy wszystkie te substancje wytrącają się z niej, stopniowo budując komin.

Już sam fakt istnienia takich budowli zaskoczył badaczy, ale jeszcze bardziej zdumiewające było to, że okazały się oazami głębinowego życia. Kominy przyciągają dziesiątki gatunków zwierząt, z których część osiedliła się na stałe, a podstawę tego osobliwego ekosystemu stanowią bakterie czerpiące energię życiową z utleniania związków nieorganicznych dostarczanych przez komin.

Za sprawą tych odkryć wielu badaczy doszło do wniosku, że właśnie w takich głębinowych oazach mogło powstać życie na Ziemi. Zresztą nie tylko na niej, także na innych wodnych globach Układu Słonecznego, takich jak Europa czy Enceladus, gdzie oceany ukryte są pod grubą skorupą lodu. Szybko do debaty włączyli się eksperci od chemii prebiotycznej. Günter Wächtershäuser ▶

▶ rozpisał krok po kroku, jak takie narodziny mogły wyglądać. William Martin i Michael Russell dowodzili, że życie wychynęło z mikroskopijnych pustych przestrzeni w skałach tworzących kominy hydrotermalne. Teoretyzowali, że wewnętrzne powierzchnie tych przestrzeni międzyskalnych były pokryte siarczkami metali, które przyspieszały reakcje chemiczne prowadzące do powstania związków organicznych i uruchomienia chemicznego protometabolizmu. Wypływająca z kominów woda o temperaturze kilkudziesięciu stopni dostarczała energię chemiczną w formie wodoru oraz kluczowe pierwiastki. W pewnym momencie wolne przestrzenie międzyskalne zyskały otoczki lipidowe i tak z niebytu wyłoniła się pierwsza protokomórka biologiczna. Katalizatorami tych procesów były minerały siarczkowe, a nie RNA. Synteza kwasów nukleinowych nastąpiła później. Życie zaczęło się od metabolizmu – podsumowali Martin i Russell.

Nie pozostało nic innego, jak przetestować tę teorię w laboratorium. Kilka lat temu Nick Lane, biochemik z University College London, w serii doświadczeń wykazał, że w kominach hydrotermalnych mogą spontanicznie powstawać aminokwasy oraz prymitywne błony komórkowe. Inni badacze otrzymali podczas takich eksperymentów rozmaite związki organiczne odgrywające ważną rolę w niektórych procesach metabolicznych. Telling i Purvis z zespołem wykonali symulację polegającą na odtworzeniu w laboratorium dokładnie takich warunków ciśnienia, temperatury (ok. 90 st. C) i przepływu wody, jakie panują w wielu kominach hydrotermalnych, a następnie dodaniu do roztworu wodoru, jonów wodorowęglanowych oraz magnetytu jako katalizatora reakcji.

Efekt przeszedł ich najśmielsze oczekiwania, bo wśród wielu powstałych związków organicznych były również kwasy tłuszczowe, które na powierzchni magnetytu uformowały sferyczne błony oddzielające wnętrza takich minibaloników od świata zewnętrznego. „Przypominały one ściany komórkowe i zachowywały się podobnie do nich” – relacjonował Telling. Uformowanie się takich membran ochronnych to jeden z podstawowych warunków zaistnienia komórki protokomórki.

Wciąż jednak wiele pozostaje do przetestowania, a przełomem – jak podkreślają zwolennicy hipotezy głębinowej – byłoby uzyskanie cząsteczki RNA w warunkach symulujących komin hydrotermalny. To potwierdziłoby, że metabolizm był pierwszy, a dopiero potem pojawiły się geny.

Pionierskie RNA

Tyle że zdaniem zwolenników drugiej najpopularniejszej teorii abiogenezy było na odwrót – ziemskie życie zaczęło się właśnie od RNA. I doszło do tego nie w mrokach oceanów, lecz w świetle słońca. Według tej koncepcji miliardy lat temu na Ziemi istniał samowystarczalny „świat RNA”. Cząsteczki kwasu rybonukleinowego nie tylko magazynowały informację genetyczną, lecz również same ją sobie powielały, pełniąc funkcję enzymów.

Wyobraźmy sobie płytki, nasłoneczniony akwen pełen nitek RNA zajmujących się głównie jednym – składaniem samych siebie z podstawowych elementów na podstawie lepiej lub gorzej skopiowanej instrukcji. Z czasem rozszerzyły zakres swoich możliwości, być może przechodząc po drodze przemiany ewolucyjne. W końcu zaczęły syntetyzować pierwsze białka, które okazały się lepszymi katalizatorami reakcji chemicznych. Finalnie na scenie pojawił się DNA jako ostateczny rezerwuar informacji genetycznej.

Jednak i w tej teorii nie brakuje zagadek czekających na wyjaśnienie. Podstawowymi ogniwami budującymi polimerowe łańcuszki RNA są nukleotydy. One z kolei składają się z zasady azotowej (do wyboru są cztery), cukru zwanego rybozą oraz fosforanowej domieszki. Jak powstały te nukleotydowe klocki? Część badaczy sądzi, że zostały dostarczone w gotowej postaci przez meteoryty. Inni są zdania, że kosmiczne pochodzenie miały tylko niektóre ich elementy, np. zasady azotowe (w meteorycie Murchison znaleziono jedną z nich – uracyl) oraz ryboza, także odnajdywana w meteorytach. Są jednak tacy badacze, całkiem liczni, według których „pierwotna zupa” miała w całości rdzenne pochodzenie. Próbują tego dowieść, przygotowując kolejne eksperymenty.

Przede wszystkim chciano w laboratoryjnych kociołkach – symulujących warunki geologiczne, geochemiczne i atmosferyczne panujące na młodej Ziemi – uzyskać nukleotydy. Przez ponad 20 lat nic z tego nie wychodziło. Łączenie cukru, zasady azotowej i wkładki fosforanowej przynosiło znikome lub zerowe efekty. Dopiero angielski chemik John Sutherland w serii eksperymentów przeprowadzonych w ciągu minionej dekady wykazał, że jeśli nie da się pokonać przeszkody wprost, to trzeba ją obejść. W laboratorium otrzymał dwa z czterech nukleotydów budujących RNA, poddając działaniu promieniowania ultrafioletowego cyjanowodór i jego pochodne.

W 2019 r. dwaj inni badacze Thomas Carell i Sidney Becker poinformowali o „upichceniu w jednym naczyniu”, jak sami to określili, wszystkich czterech zasad azotowych RNA. Dokonali tego na drodze reakcji chemicznych i przemian fizycznych zachodzących, co okazało się kluczowe, pod wpływem rytmicznej zmiany warunków środowiska z wilgotnych na suche. Wynik eksperymentu pośrednio potwierdzał, że „świat RNA” mógł się narodzić w płytkich i cyklicznie wysychających zbiornikach wodnych. Takie warunki sprzyjały bowiem łączeniu się nukleotydów w polimerowe łańcuchy.

A gdy już ten świat się narodził, prawdopodobnie szybko zaczął ewoluować, jak to w marcu zgrabnie wykazali badacze z Salk Institute. Stworzony przez nich w laboratorium enzym RNA kopiował z nieosiągalną wcześniej dokładnością inne łańcuszki RNA, ale zarazem inicjował powstawanie nowych wariantów tych cząsteczek. Jeden z nich z czasem zaczął dominować nad pozostałymi, ponieważ szybciej od nich się replikował. Ta ewolucja odbywała się w świecie chemii, owszem, prebiotycznej, ale wciąż chemii. „To jeszcze nie życie, ale zrobiliśmy krok na drodze do jego stworzenia w laboratorium na podstawie RNA” – oznajmił Gerald Joyce, główny autor badań, na stronie prasowej instytutu.

Kreatywne tornado

Ile jeszcze takich kroków trzeba będzie wykonać? Na pewno wiele. Nadal bardzo długa jest droga od cząsteczki RNA, nawet doskonalącej się ewolucyjnie w sztuce replikacji, do prawdziwej komórki biologicznej, otoczonej błoną komórkową, przeprowadzającej setki procesów metabolicznych i powiększającej swoje rozmiary. Wcześniej czy później trzeba będzie pokazać, jak dokładnie zaczął się ten metabolizm zasilany energią słoneczną (ta musiała być jakoś zamieniana w energię chemiczną).

Jednak równie długa może się okazać droga, którą zmierzają zwolennicy narodzin życia w kominach hydrotermalnych. Muszą dowieść, że metabolizująca martwa materia potrafi w jakiś sposób wytworzyć najpierw nukleotydy, a z nich RNA. Życie to przepływ nie tylko energii, ale też informacji.

Kto ma rację? Obie grupy deklarują rychłe rozwiązanie zagadki. Obie łączy też wiara w abiogenezę, która ma swoich przeciwników. Sławny astronom Fred Hoyle szansę samoistnego powstania życia na Ziemi porównał kiedyś do możliwości zbudowania jumbo jeta przez tornado. Może jednak był niedowiarkiem.

ANDRZEJ HOŁDYS

Czas na wypas

© BEW

Obraz Iwana Szyszkina „Dęby".

Jak by wyglądała Polska, gdyby nie pojawili się tu ludzie, i co warto z tego przywrócić – opowiada **Szymon Czyżewski**, badacz bioróżnorodności z Uniwersytetu w Aarhus.

JĘDRZEJ WINIECKI: **– Co pan bada?**

SZYMON CZYŻEWSKI: – W powszechnym wyobrażeniu za środowisko warte szczególnej ochrony uchodzi gąszcz leśnych ostępów. Tymczasem ponad 70 proc. roślin uważanych u nas za typowo leśne najlepiej czuje się na terenach półotwartych. Także różnorodność chrząszczy czy ptaków jest największa raczej na skraju lasu i na łąkach. Owszem, w mrocznej kniei też buzuje życie, ale gatunków jest tam zdecydowanie mniej. Zrozumienie tego paradoksu staje się tym pilniejsze, im bardziej pogłębia się załamanie różnorodności biologicznej. Bez połapania się w tych zależnościach nie damy rady skutecznie chronić jej resztek. To właśnie badam.

Bardzośmy nabroili?

Wierzymy w mit nieskażonego cywilizacją szlachetnego dzikusa. Ale człowiek pierwotny wcale nie żył w zgodzie z naturą. Bardzo wcześnie wywołaliśmy spadki liczebności dzikich zwierząt, zwłaszcza największych roślinożerców. Podobnie było na innych kontynentach, do których docierał człowiek rozumny. Wymieranie nastąpiło 45–30 tys. lat temu w Europie, 20 tys. lat temu w Ameryce i 50 tys. lat temu w Australii. Wielkie zwierzęta przetrwały jedynie w Afryce i częściowo w Azji. Skoro ciosy i kości mamutów były wykorzystywane do budowy sporych schronień, to polowania musiały być prowadzone na dużą skalę.

Jak zatem wyglądała prawdziwa dzicz?

By ją zobaczyć, cofnijmy się do interglacjału eemskiego, okresu sprzed 132–115 tys. lat. Utrzymywał się wtedy klimat podobny do dzisiejszego. *Homo sapiens* jeszcze nie nadszedł, byli jedynie neandertalczycy, ale w niewielkiej liczbie, więc na ekosystem wpływali tylko w niewielkim stopniu. Pejzaż wydaje się zaskakujący. Patrząc z lotu ptaka, widzielibyśmy mozaikę. Prawie 20 proc. strefy klimatu umiarkowanego, także ówczesnej Polski, było całkowicie bezdrzewne – albo porośnięte sporadycznie. Podobny obszar zajmowały gęste lasy. Natomiast pozostałe 60 proc. to też lasy, ale przypominające park angielski. Nazywam je lasopastwiskami. Ich krajobraz był bliski wielkopolskiemu Rogalinowi, gdzie kilkusetletnie dęby rozrzucone są po dolinie Warty.

Między drzewami przycupnęło sporo krzewów. Martwego drewna było tyle, ile w obecnych lasach starych i uznawanych za układy naturalne. Od niego – i od zamierających stojących drzew – uzależnionych było mnóstwo owadów, które jednocześnie potrzebowały siedlisk widnych, z dostępem słońca.

Wiele z nich, np. kozioróg dębosz czy nadobnica alpejska, nadal nie toleruje lasów ciemnych, o bujnym podszyciu.

Wiąże się z tym kolejne zaskoczenie. Chrząszcze, określane jako wskaźniki pierwotności lasów, są w obecnej Europie z reguły bardzo rzadkie, często wręcz na skraju wymarcia. Za to np. w Mongolii mają się świetnie właśnie w lasach, których półotwarty charakter kształtowany jest przez pożary. Większość roślin rodzimych dla Polski nie daje sobie rady w zacienieniu i równocześnie jest znakomicie przystosowana do bycia zgryzanym, czyli do życia w sąsiedztwie licznych zwierząt. Rośliny, które nie mogą być zanadto zgryzane, na eemskim lasopastwisku też znajdowały swoje miejsce – kryły się w gęstwinie kolczastych krzewów lub za kordonem leżących kłód. Tam też drapieżniki czyhały na roślinożerców.

Ilu ich było?

Tylu co dziś na Serengeti i w Masai Mara – na tanzańskiej i kenijskiej sawannie. Tam migruje okresowo ponad milion gnu, a w Polsce interglacjału eemskiego pasły się miliony żubrów, koni, turów, słoni i dwa gatunki nosorożców. Naturalne zagęszczenie roślinożerców w Polsce oscylowałoby np. wokół 20 żubrów albo 60 jeleni na kilometr kwadratowy (teraz na taką powierzchnię kraju przypada jeden jeleń i trzy sarny). Przy takich zagęszczeniach na terenie Polski roślinożercy ▶

▶ zjadaliby od 20 do 40 proc. rocznego przyrostu biomasy.

Dziś to bujny, niekontrolowany rozrost roślinności stał się symbolem dziczy.

Ten obraz jest nieco wykoślawiony. Wziął się stąd, że dzikiej przyrodzie uważniej przyglądamy się dopiero od niedawna. Głównym punktem odniesienia dla naukowców były badania osadów pyłkowych z holocenu, okresu klimatu umiarkowanego po ostatnim zlodowaceniu. Drzewa produkują jednak nieporównywalnie więcej pyłku niż rośliny zielne, więc zakładaliśmy dominację drzew. Dysponujemy też współczesnymi obserwacjami miejsc zostawionych odłogiem, pól czy łąk. Nawet laik wie, że po jakimś czasie zarastają lasem. I tak się faktycznie dzieje w świecie pozbawionym roślinożerców.

Sprawa polska ma jednak związek ze słoniami! Brakuje ich nam?

I ich, i innych zwierząt hamujących zarastanie. Słoń leśny mierzył nawet 4,5 m w kłębie i bez trudu powalał spore drzewa. Jedynym ssakiem, który to potrafi dziś w Europie – poza człowiekiem – jest bóbr.

Skąd tak wiele wiemy o przeszłości?

Z danych kopalnych oraz analizy osadów pyłkowych i pokryw skrzydeł chrząszczy, które przetrwały tysiące lat w beztlenowych warunkach torfowisk. Torf odkłada się latami, można określić czas powstania poszczególnych warstw. Podobnie z chrząszczami – w interglacjale eemskim widać bardzo wiele tych, które do życia potrzebują odchodów wielkich ssaków. Później ich udział spadał.

Bo zaczęło się wymieranie?

I trwa nadal. Wciąż jesteśmy w tej samej wielkiej zmianie. Gatunki, które nas otaczają, pochodzą z zupełnie innego świata. Ich wiek liczony jest w milionach lat. Bociany czy gawrony przez większość swojej ewolucyjnej historii spędziły na obecnych terenach Polski więcej czasu w towarzystwie słoni, nosorożców i hien niż z nami. Ich przeszłość da się zrekonstruować z genomu żyjących dziś osobników.

Bardzo ciekawe dane przynoszą badania kulików, ptaków mających spektakularnie długie dzioby i potrzebujących niskiej roślinności, w której żerują i zakładają gniazda. Po ostatnim maksimum glacjalnym obszary w Europie i w Azji świetnie dopasowane klimatycznie do potrzeb kulików bardzo się rozszerzyły, a mimo to ich liczebność i tak drastycznie spadła. Co zbiega się z trwającym w tym samym czasie wytępieniem wielkich roślinożerców. Tam, gdzie się już nie pasły, znikały siedliska dogodne dla kulików. Uruchomiony wtedy spadek liczebności bardzo wielu gatunków jeszcze się nie zatrzymał.

W przypadku gnieżdżącego się pod Omskiem kulika cienkodziobego spadł pewnie do zera. Ostatni raz tego ptaka widziano 20 lat temu.

Na Syberii doszło do zmian gigantycznych. To, co dawniej było tzw. stepem mamucim, ogromną łąką wypasaną przez wielkie stada tamtejszych koni, nosorożców włochatych i mamutów właśnie, zamieniło się z czasem w tundrę, czyli ekosystem zdominowany przez krzaczkowate zbiorowiska wierzb i brzóz. Obszar ten zaczął działać na nowych zasadach. W zimie roślinność sprzyja gromadzeniu się nawiewanego śniegu, który jest niezłym izolatorem. Dodatkową izolację tworzą też brzozowo-wierzbowe zarośla. Nawet w okresach silnych mrozów przy gruncie jest więc względnie ciepło. Możliwe, że zmarzlina roztapiałaby się nawet bez udziału zmiany klimatu.

Cienkodziobemu się nie udało, ale reszta gatunków kulików przetrwała. Jakim cudem?

Namiastki dawnych siedlisk odtworzył człowiek. Bioróżnorodność w Europie uratowali m.in. łowcy-zbieracze, którzy wypalaniem kształtowali miejsca polowań i zbioru owoców. Od neolitu podobną rolę pełniło ekstensywne rolnictwo, zwłaszcza działalność pasterska. Szansę dostały wtedy np. kuropatwy i dzikie pszczoły zamieszkujące murawy. Właśnie one, murawy, oraz łąki są łącznikiem z okresem interglacjału eemskiego, a może i czasami jeszcze dawniejszymi.

Dzięki wielowiekowemu wypasowi zwierząt gospodarskich skład gatunkowy muraw prawdopodobnie jest podobny do eemskiego, a różnorodność – absolutnie szalona. Nawet w naszej części Europy już na kilkudziesięciu centymetrach kwadratowych – to raptem powierzchnia pod naszymi butami – można znaleźć do czterdziestu gatunków roślin. To poziom znany z lasów tropikalnych, czyli najbogatszych ekosystemów. Właśnie na murawy, a także na łąki i świetliste dąbrowy można patrzeć jak na najstarsze siedliska, które przetrwały przede wszystkim dzięki pasterstwu. W polskim krajobrazie rolniczym ta ciągłość została zatracona dopiero w latach 90. XX w. wraz ze zmianami w rolnictwie. Nieco wcześniej zarzucono wypas w lasach.

Przez Unię?

A skąd. W Hiszpanii, w Wielkiej Brytanii i w Alpach ten model pasterstwa jest nadal stosowany. Jeszcze niedawno wyglądała tak cała Europa. Proszę sobie przypomnieć pejzaże flamandzkie, lasy z obrazów Iwana Szyszkina, morza traw Józefa Chełmońskiego czy suche murawy z „Dziewanny" Jana Stanisławskiego.

Kwietne łąki, meandrujące strumyki i krowy pod rozłożystymi drzewami. Sielsko.

Jakże to inny standard dzikiej przyrody niż ten, do którego jesteśmy przyzwyczajeni. U Szyszkina nie wiadomo, gdzie się zaczyna łąka, gdzie las. W Europie sprzed człowieka w tych samych miejscach dudki, kraski czy dropie, według współczesnych wyobrażeń ptaki terenów otwartych, latały z głuszcami czy jarząbkami, obecnie uznawanymi za gatunki typowo leśne. Dane kopalne wskazują, że występowały w tych samych miejscach i w tym samym czasie. I podobnie było raptem sto lat temu – choćby w Puszczy Solskiej pod Biłgorajem. W wypasanych lasach występowały głuszce, a kilometr od nich na polu tokowały dropie. Do epoki rewolucji przemysłowej także wielkie, rozłożyste drzewa wpisywano w model wiejskiej gospodarki. Pod dębami wypasano np. świnie, praktykę tę podtrzymuje się w Hiszpanii. Na widoki z Szyszkina można jeszcze trafić na Bałkanach i Kaukazie. W Polsce ich pozostałości trwają m.in. na Kurpiach i Podlasiu.

Warto je zachowywać?

Tak, by powstrzymać wymieranie gatunków roślin, owadów i ptaków, hamować postępujący kryzys bioróżnorodności. Lasopastwiska – i układy do nich podobne – doskonale magazynują węgiel. Stare systemy murawowo-łąkowe mogą go gromadzić tyle, co stare lasy. Przy czym mam na myśli lasy prawdziwe, a nie te przypominające plantacje. Dodatkowo rozłożyste drzewa wśród łąk – co potwierdzają badania – akumulują więcej węgla niż drzewa proste i strzeliste, wskazywane często jako reprezentacyjny wzór naturalnego pokroju drzew. Wreszcie lasopastwisko czy łąka ze starymi drzewami to ekosystem bardzo odporny na pożary. Korony zazwyczaj się nie stykają i jeśli dochodzi do pożaru, to ogień utrzymuje się przy ziemi. Jego temperatury są względnie niskie, co sprawia, że spala się jedynie cienka warstwa runa, płomienie nie docierają do podziemnego repozytorium węgla. Programy sadzenia drzew – tak popularne nie tylko w Polsce, ale także w Afryce, np. w rejonie Sahelu albo Morza Śródziemnego – bywają wręcz niszczycielskie dla bioróżnorodności oraz zwiększają ryzyko katastrofalnych pożarów. Dobra wiadomość jest taka, że siedliska lasopastwiskowe dość łatwo przywrócić.

W Europie prowadzone są tzw. projekty rewildingowe. Przywracanie natury to nowe hobby brytyjskich

arystokratów. 85 proc. Polaków popiera pomysł obecnej koalicji na wyłączenie 20 proc. lasów z gospodarki rębnej. Byłoby co udziczyć na eemską modłę. Co robimy?

Trzeba by zacząć od miejsc, gdzie jeszcze utrzymały się reliktowe populacje gatunków, które kiedyś były uzależnione od półotwartych siedlisk – roślin, jak podejrzony, czy motyli, np. szlaczkonia szafrańca czy niepylaka mnemozyny, albo ptaków – kraski lub dubeltów. Aby uratować to, co jeszcze przetrwało, nie można rozpocząć działań na pierwszym lepszym polu czy lesie, bo różnorodność nie będzie miała jak tam dotrzeć, wiele gatunków ma bardzo ograniczone zdolności dyspersji.

Na tak wybranych obszarach niezbędne jest przywrócenie dużych roślinożerców: żubrów, koni i turów. Pasą się, nie są wybredne i pożerają prawie wszystko, tym samym utrzymują w ryzach rośliny najbardziej rozpowszechnione, robią miejsce tym rzadszym, a to sprzyja zachowaniu różnorodności. Pewnie szybko wejdą w konflikt z rolnikami. Widzimy to po żubrach, które fotogenicznymi stadami tkwią na polach przy Puszczy Knyszyńskiej czy Białowieskiej, ozimina jest po prostu smaczniejsza od pędów jeżyn i gałęzi po lasach. Konieczne byłoby więc grodzenie pól i terenów zamieszkanych przez ludzi. Takie zabezpieczenia stosowane są w RPA, gdzie ogrodzono większość parków narodowych.

Żubry się znajdą. Skąd wziąć tury?

Nie do końca wymarły, ich geny wciąż trwają w formach udomowionych, które świetnie sobie radzą na wolności, co wiemy z przebiegu projektów rewildingowych. Jeśli chcemy, by wypuszczane bydło pełniło funkcję dzikich turów, to możemy wykorzystać zwierzęta hodowane w ramach holenderskiego projektu Tauros. Wyglądają jak ich turzy przodkowie ze średniowiecza. Tauros zakłada, że w pewnym momencie dalsze losy tak uzyskanego tura podlegać będą jedynie selekcji naturalnej.

Kogo jeszcze wsiedlamy?

Dla funkcjonowania przyrody najważniejsi są roślinożercy, ale przed przybyciem człowieka na terenie Polski występowało jeszcze wiele innych gatunków. Hieny cętkowane i lamparty były obecne w formie lokalnych podgatunków. Radziły sobie z zimą, tak jak lampart amurski na Syberii, na pograniczu Rosji i Chin. Hieny występowały u nas nawet w okresie zlodowaceń. W odwodzie pozostaje kułan, dziki osioł, obecnie naturalnie występujący w Azji. Badania genetyczne wskazują, że europejskie kułany były podgatunkiem tego azjatyckiego, który już został wprowadzony w delcie Dunaju i na Węgrzech. Mamy zamiennik dla europejskiego bawoła wodnego w postaci bawoła domowego. Cyjon, psowaty, który też przetrwał w Azji, w Europie wyginął w tym samym czasie, co wielkie koty, prawdopodobnie z powodu braku pożywienia, kiedy wytępiliśmy roślinożerców.

Leśnicy przejmują rolę leśnych słoni?

Naturalnym resetem sztucznych nasadzeń, choćby tak powszechnych monokultur sosnowych, byłby pożar, ale lepiej drzewa po prostu wycinać. Potrzebujemy drewna i nie chcemy, by cenny, zmagazynowany węgiel uciekł do atmosfery. Takie lasy można przerzedzić, zostawiając drzewa najstarsze i między nie wypuszczając zwierzęta. Użytkowanie wypasowe pomoże rozwiązać kluczowe dylematy związane z ochroną ekosystemów leśnych. Trzeba chronić stare lasy i stare drzewa, a także zabezpieczać interesy gatunków związanych z martwym drewnem i te organizmy, które potrzebują siedlisk widnych. Można to osiągnąć, stosując wypas, wspierany przez mądrą gospodarkę leśną.

Pamiętajmy, że drzewa są przyzwyczajone do bycia zjadanymi. W lasach z dużą liczbą zwierząt roślinożernych nawet kilkudziesięcioletnie graby czy dęby wyglądają jak bonsai. Dzięki temu przystosowaniu świetnie funkcjonują w żywopłotach. Od wieków w Europie użytkuje się tzw. lasy odroślowe, niestety obecnie mało popularne w Polsce. Odcina się tylko gałęzie, np. na opał, a drzewa żyją dalej.

Przywrócenie wypasu to nie tylko powrót do pięknej tradycji. Mamy szansę wrócić do odległej przeszłości. Do interakcji międzygatunkowych, które na dużą skalę zachodziły w Europie setki, a nawet tysiące lat temu.

ROZMAWIAŁ JĘDRZEJ WINIECKI



© PAULINA CZYŻEWSKA

Szymon Czyżewski – fascynat przyrody, zwłaszcza prostoskrzydłych, pasikoników i koników polnych. Pracę magisterską o zmianach w zbiorowiskach alpejskich pastwisk obronił na Uniwersytecie Zuryskim. Pod okiem prof. Jensa-Christiana Svenninga pisze doktorat na Uniwersytecie w Aarhus.

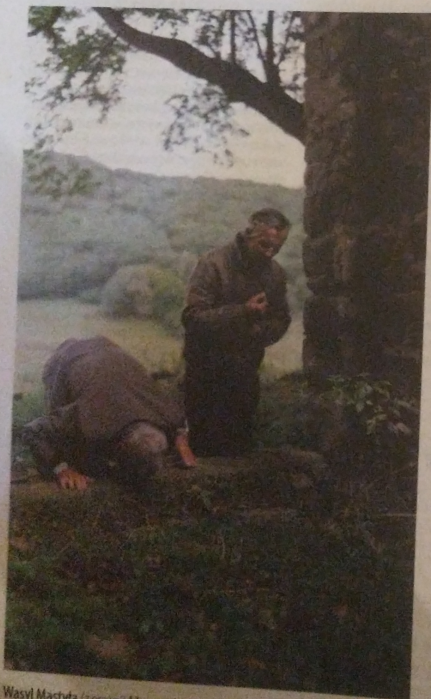
Ukrainiec pod specjalnym nadzorem

Ukraińcy wysiedleni w czasie akcji „Wisła” chcieli wrócić na swoją ziemię. Ci, którym władze PRL na to pozwoliły, musieli pokonać biurokratyczny tor przeszkód i znosić szykany.

KRZYSZTOF POTACZAŁA

Ukraińcy wywiezieni przymusowo w 1947 r. na tzw. Ziemie Odzyskane upominali się o prawo do powrotu na Podkarpacie i pisali w tej sprawie listy do władz centralnych. Niektórzy, nie czekając na pozwolenie, próbowali wracać na własną rękę. Wojsko i milicja szybko ich lokalizowały. Za złamanie zakazu podróżowania na obszary objęte niedawno operacją wysiedleńczą groziły surowe kary, włącznie z aresztowaniem. Jeśli kończyło się na przetransportowaniu z powrotem na Pomorze lub Warmię, „uciekinier” mógł mówić o szczęściu.

19 czerwca 1951 r. rząd w tajnym piśmie upomniał urzędników wojewódzkich, powiatowych i gminnych, że źle pilnują zakazu wyjazdów Ukraińców w rodzinne strony. Co prawda w kwietniu 1952 r. Biuro Polityczne KC PZPR przyjęło uchwałę zezwalającą na ponowne osiedlanie się wygnańców („z wyjątkiem elementów wyraźnie szkodliwych”) w Bieszczadach czy Beskidzie Niskim, ale z zastrzeżeniem: „Zezwolenia na wyjazdy powrotne ograniczyć do wyjątkowych wypadków i rygorystycznie przestrzegać podporządkowania się przepisom prawnym w wypadkach samowolnego opuszczania gospodarki na Ziemiach Zachodnich”.



Wasyl Mastyła (z prawej) klęczy z kolegą w ruinach cerkwi w Krywem nad Sanem, gdzie mieszkał do 1947 r. Wrócił, ale do pobliskiego Chmiela, bo na budowę domu w rodzinnej wsi nie dostał pozwolenia od władz.

Jeszcze w czerwcu 1955 r. sekretariat KC PZPR przesłał list do komitetów wojewódzkich i powiatowych partii: „Spowodować likwidację samowolnych powrotów ludności ukraińskiej do poprzednich miejsc zamieszkania (...). Komitety (...) województw lubelskiego i rzeszowskiego winny dopilnować, by prezydia rad narodowych w stosunku do osób, które powróciły po 30 czerwca 1952 r., powracają nadal i uporczywie domagają się zwrotu swych poprzednich gospodarstw, zajętych obecnie przez osadników, PGR-y, spółdzielnie produkcyjne (...) – ponownie je wysiedliły”. Rząd uchylił jednak furtkę. Legalizował powroty po 30 czerwca 1952 r. na poprzednie gospodarstwa, pod warunkiem że te nie zostały nikomu przydzielone.

W dokumencie MSW z maja 1956 r. czytamy, że gdy osiedlano Ukraińców na Ziemiach Odzyskanych, lepsze gospodarstwa były już rozdysponowane, w efekcie: „Sytuacja (...) jest dość trudna, np. w woj. olsztyńskim na 10 462 gospodarstw ukraińskich – ponad 3000 wymaga kapitalnego remontu, a 850 w ogóle nie nadaje się do użytku i wymaga natychmiastowej zamiany (...). Dotychczas nie zwiększono puli przydziału materiałów budowlanych i kredytów bezzwrotnych dla zainteresowanych województw. Te i inne trudności (...) są jedną z głównych przyczyn powracania wysiedlonych na poprzednie miejsce zamieszkania. Najwięcej powraca z woj. olsztyńskiego, gdzie sytuacja jest bodaj najcięższa. Np. w wielu miejscowościach powiatów: Morąg, Górowo Iławieckie, Reszel często kilka rodzin ukraińskich mieszka w jednym niezbyt dużym budynku. Dość często spotyka się, że rodzina chłopska 6–10-osobowa mieszka w jednym pokoju”.

Powroty Ukraińców na Podkarpacie wywołały niepokój polskich osadników. Zdarzały się kłótnie, a nawet bijatyki. Wracający



Hulskie, podobnie jak dziesiątki innych wsi podczas akcji „Wisła", opustoszało. Dwie rodziny autochtonów wróciły tu w 1957 r.

© KRZYSZTOF SYSKO, KRZYSZTOF POTACZAŁA

na ojcowiznę Ukraińcy często nie mogli znaleźć zatrudnienia, a warunki materialne i mieszkaniowe mieli częstokroć gorsze niż wtedy, gdy musieli opuścić domy (w czasie operacji „Wisła" i już po jej zakończeniu wiele chałup zniszczono bądź częściowo rozebrano). Mimo to pragnienie gospodarowania – jeśli nie na dawnym własnym gruncie, to chociaż w pobliżu – było tak duże, że postanowili za wszelką cenę przetrwać.

W cytowanym już dokumencie MSW padły słowa o konieczności naprawienia krzywdy wyrządzonej Ukraińcom przez władze PRL (chodziło o pomoc finansową i rzeczową), lecz także zdania, że trzeba zniechęcać przesiedlonych na Ziemie Odzyskane do wyjazdów w Bieszczady, Beskid Niski czy na Pogórze Przemyskie. 10 lat po likwidacji UPA Ukraińcom wciąż nie ufano, wielu podejrzewano o chęć ponownego organizowania nielegalnych formacji zbrojnych przeciwko Polsce.

W zasobach Instytutu Pamięci Narodowej zachowało się spisane przemówienie ministra oświaty Witolda Jarosińskiego, przedstawiciela rządu i KC PZPR, wygłoszone 16 czerwca 1956 r. na I zjeździe Ukraińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego (UTSK). Oto fragment: „nasz rząd i partia apelują do ludności ukraińskiej, aby nie powracała na dawne tereny, gdyż przeważnie nie ma tam warunków do osiedlenia się. Stan faktyczny jest taki, że na podstawie naszych ustaw osadnicy zarówno na terenach wschodnich, jak i odzyskanych stali się pełnoprawnymi właścicielami użytkowanych gospodarstw (...). Państwo pójdzie z (...) pomocą tym (...), którzy nie mają odpowiednich warunków do prowadzenia gospodarki na Ziemiach Odzyskanych. Będzie udzielało bezzwrotnych funduszy na budowę domków mieszkalnych, remonty zagród, zakup inwentarza".

W kwietniu 1957 r. sekretariat KC PZPR przyjął uchwałę w sprawie ukraińskiej mniejszości narodowej w PRL. Dokument miał uregulować trudną kwestię powrotów Ukraińców i rodzin mieszanych ukraińsko-polskich na południowy wschód. Zapisano w nim m.in. możliwość ponownego osiedlenia się na opuszczonych przymusowo w 1947 r. gospodarstwach (włącznie z pomocą państwa), ale pod warunkiem że pozostały one wolne, a chętni otrzymali pozwolenie wojewódzkiej rady narodowej. Ten sam warunek dotyczył ziemi i zgody na przewóz majątku koleją. Operację planowano zakończyć do 1960 r. Jednocześnie uchwała zobowiązywała premiera do wydania zarządzenia zakazującego samowolnych powrotów – z informacją, że takie osoby nie otrzymają pomocy finansowej i materialnej. Zabroniono również dewastowania i rozbierania zabudowań poukraińskich.

Sejm PRL podjął jeszcze w 1958 r. uchwałę dotyczącą Ukraińców zamieszkałych na Ziemiach Zachodnich – pozwolił im wracać w rodzinne strony, jednakże z zastrzeżeniem, że muszą kupić gospodarstwo za własne pieniądze. Państwo nie chciało już dokładać z budżetu do ukraińskiej mniejszości. Nieliczni z pomocą krewnych z zagranicy nabyli domy gotowe do zamieszkania bądź też wyremontowali zniszczone. Większość nie miała na to szans.

W tym samym czasie niewielu Polaków garnęło się do osadnictwa na zrujnowanych rubieżach. 10 lat po akcji „Wisła" tylko w powiecie leskim pozostawało niezamieszkanych 38 wsi, niewiele lepiej było w powiecie sanockim. Polskie rodziny, choć kuszone rozdawnictwem ziemi i tanimi kredytami, obawiały się trudnych warunków gospodarowania w górskim terenie. Zniechęcały też plotki, jakoby w okolicznych lasach ukrywały się niedobitki banderowców. Polacy bali się wyimaginowanych ▶

▶ upowców, lęk podsycały plotki o bunkrach pozostawionych przez nich w lasach. Wprawdzie wojsko i milicja większość z nich zlokalizowały i zniszczyły z końcem lat 40., ale część kryjówek odnajdywano przypadkiem jeszcze w latach 60., a nawet 70. Jak wielki był strach Polaków przed zakonspirowanymi ukraińskimi „bandanami", świadczy przypadek kierowcy z Łodzi. W 1977 r. wiózł w wysokie Bieszczady transport towaru. Gdy minął Baligród i zobaczył pasma górskie porośnięte lasem, zatrzymał auto i chciał wracać do domu. Dopiero zabrana wcześniej z Rzeszowa pasażerka przekonała go, że od 30 lat nie ma tu banderowców.

W wydaniu „Nowin Rzeszowskich" z 27 września 1956 r. dziennikarz napisał: „Do końca bieżącego roku będzie można osiedlić w woj. rzeszowskim około tysiąca rodzin ukraińskich, z czego blisko połowę w pow. gorlickim. Szereg podań Ukraińców o pozwolenie na powrót nie można było uwzględnić, ponieważ ich dawne gospodarstwa zajmują już osadnicy i nie podlegają one zwrotowi. Zasiedlanie ziem południowych ma przebieg planowy i zorganizowany, a zatem wyklucza się (...) zajmowanie ziemi samowolnie według upodobań, jak również dzikie budownictwo zagród (...). Nie odtwarza się absolutnie wsi starych, tylko urządza nowe osady rolnicze (...), liczą od 10 do 15 ha i mają charakter wyraźnie hodowlany".

Najwięcej byłych mieszkańców Bieszczad i Beskidu Niskiego wracało na rodzinne ziemie w drugiej połowie lat 50. i na początku 60. Na Pomorzu lub Warmii, gdzie spędzili 10 lat i więcej, pakowali dobytek, wynajmowali wagony i jechali na południe – z dręczącą myślą, że mogą być szykanowani przez polskich osadników i kontrolowani przez Służbę Bezpieczeństwa. – *Pragnienie bycia u siebie było silniejsze niż ewentualne przyszłe problemy* – opowiadał przed laty w rozmowie z autorem Wasyl Mastyła, rodem z Krywego nad Sanem, który osiadł w pobliskim Chmielu. – *Nigdy później nie żałowałem swojej decyzji, ale wraz z rodziną doznałem wielu upokorzeń. Wyzywano nas od bandytów, truto nasze psy, wybijano nocą szyby w oknach. Sąsiadowi próbowano podpalić chałupę. Sprawców nigdy nie schwytano.*

Katarzyna Konwicka co prawda nie wróciła do rodzinnej Zatwarnicy, ale udało się jej zamieszkać w nieodległym Hulskiem. Po latach wspominała, że jeszcze nie zdążyli z mężem rozpakować walizek i kufrów, gdy na podwórzu pojawili się mężczyźni w prochowcach. – *Myślałam, że to urzędnicy z gminy w Lutowiskach, ale okazało się, że funkcjonariusze SB. Zasypali nas pytaniami: po co przyjechaliśmy, co zamierzamy robić, jakich mamy ukraińskich znajomych, czy utrzymujemy kontakty z rodziną na Zachodzie. Potem „odwiedzali" nas wielokrotnie, a męża ciągali na przesłuchania do komendy w Ustrzykach Dolnych.*

W 1957 r. tamtejsza SB założyła sprawę agenturalnego sprawdzenia Ukraińców osiadłych w Stuposianach, Dwerniku, Hulskiem i Chmielu. Do pomocy zaangażowano pracowników nadleśnictw i pegeerów. Ukraińcy budowali drogi, ścinali drzewa, uprawiali rolę, zawsze pod czujnym okiem służb. Kiedy w sklepie robili zakupy, ekspedienci zapamiętywali, co im sprzedawali. Chleb i kiełbasa nie wzbudzały podejrzeń, jednak w sklepach spożywczo-przemysłowych można było też kupić kilofy, łopaty i siekiery, mogące – zdaniem esbeków – posłużyć do odkopywania ukrytej w lasach broni, a także do napaści na Polaków. To, że chłopi potrzebowali narzędzi w gospodarstwie, było kwestią drugorzędną.

Największą uwagę bezpieki przykuwała wieś Chmiel. Jak czytamy w aktach placówki SB w Ustrzykach Dolnych, zachowanych w rzeszowskim oddziale IPN: „wieś jest zasadniczo podzielona na dwa ośrodki: polski i ukraiński. Zgrupowani tutaj Ukraińcy są w przewadze dawnymi mieszkańcami okolic. Trzymają się oni oddzielnie, tworząc osobne społeczeństwo, kontakty z ludnością polską ograniczają jedynie do koniecznych spraw urzędowych lub gospodarczych". W jednym z donosów tajny współpracownik o pseudonimie „Budowlany" wymienił 14 nazwisk Ukraińców, których należy mieć pod szczególną kontrolą, ponieważ „pozwalają sobie na niewybredne uwagi wobec Polaków, jakoby ci byli tutaj niechcianymi i zawadzali autochtonom".

TW o codzienności w Chmielu: „Grupa osób narodowości ukraińskiej przy każdej nadarzającej się okazji wrogo występuje przeciwko ludności polskiej (...). Ze względu na to, że nacjonaliści ukraińscy dążą do tego, by na tutejszy teren ściągnąć jak największą ilość Ukraińców z Ziem Zachodnich (...), stwarzają antagonizmy między ludnością polską, którą nie dopuszcza się do osadnictwa w tym rejonie (...). W związku z tym, że w myśl zarządzenia Prezesa Rady Ministrów z maja 1952 roku osoby objęte akcją »W« na swe dawne gospodarstwa mogą powrócić tylko za zgodą właściwych prezydiów PRN (Powiatowych Rad Narodowych), Ukraińcy urządzają się w ten sposób, że najpierw przyjeżdża jedna osoba, która otrzymuje pracę w leśnictwie, zamieszkuje w budynku leśnym, lecz z czasem remontuje lub buduje nowy dom i ubiega się o ściągnięcie pozostałej rodziny".

– *Chcieliśmy tylko czuć się jak w domu, a na każdym kroku dawano nam do zrozumienia, że jesteśmy niepożądani* – opowiadała autorowi Anna W. (prosiła o niepodawanie nazwiska). – *Jeśli od wieków mieszkali tu nasi przodkowie, to czy my nie mieliśmy prawa kochać tej ziemi i na niej żyć? Kto się urodził i wychował w górach, na nizinach nigdy nie będzie szczęśliwy.*

Konflikty odnotowywano często. Z notatki porucznika Jana Telegi z SB w Ustrzykach Dolnych: „S. kłócąc się porą letnią 1963 r. z ob. Ch. (...) powiedział do niej tak: Po coś przyjechała na naszą ziemię i w ogóle czego się tu osiedlacie na naszej ojcowiźnie, idźcie na inną ziemię. S. mówił to w języku ukraińskim".

Albo: „Porą jesienną 1963 r. obywatel L.P. pasł owce na pastwisku, które rozeszły się i między innymi miały zajść na pastwisko S.M. Kiedy zauważył to S., przyleciał z siekierką do wspomnianego i począł go różnorodnie wyzywać i powiedział: uciekaj natychmiast z mojego pastwiska, to jest nasza ziemia ukraińska".

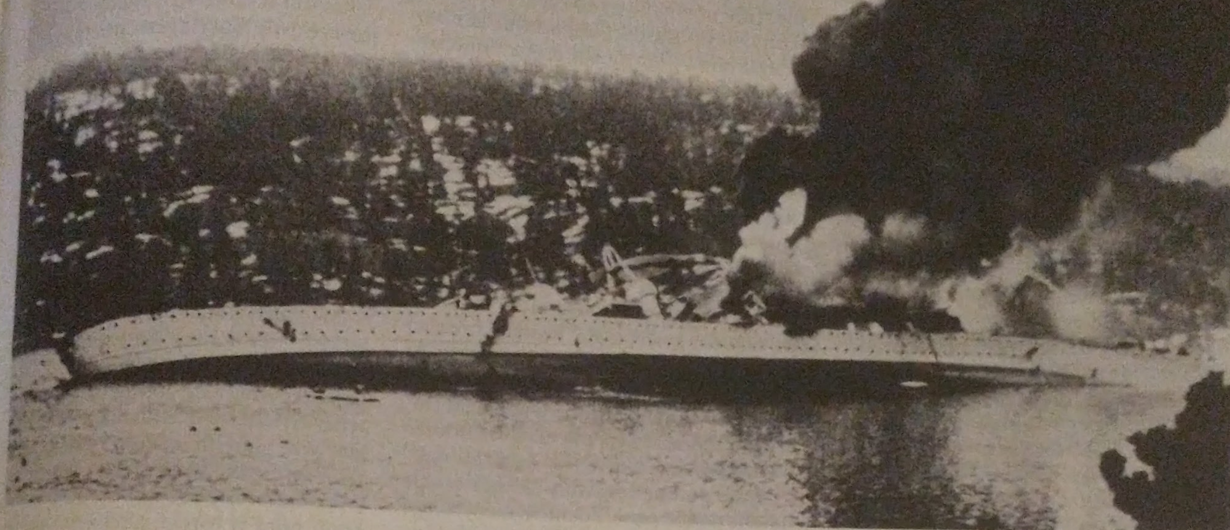
Podobnych przypadków było więcej. Służba Bezpieczeństwa każdy pieczołowicie odnotowywała i niemal zawsze przyznawała rację Polakowi. Ale bezpiece zależało też na tym, by sami Ukraińcy żyli w niezgodzie. Napuszczano jednych na drugich, wykorzystując prawdziwe bądź spreparowane materiały kompromitujące – najczęściej dotyczące członkostwa w UPA bądź w oddziałach pomocniczych ukraińskiego podziemia w latach 40. W ten sposób chciano podzielić i tak niewielką społeczność autochtonów i spowodować, by prędzej czy później chociaż część z nich opuściła Bieszczady.

Czasami jednak sami Ukraińcy kręcili na siebie bat, przechwalając się publicznie, że wiedzą, gdzie jest ukryta broń czy pieniądze po UPA. Kontakt obywatelski „Śmiały" informował: „B.T. i B.B. porą wiosenną 65 r. prowadzili rozmowę na temat zachowanej broni w miejscowości Jawoczew [Jaworzec] pow. Lesko. Obydwaj twierdzili, że zachowali 20 pistoletów, które (...) znajdują się w dobrym stanie".

Operacyjną obserwację ukraińskich osadników w Bieszczadach SB prowadziła oficjalnie do 1967 r. Ale i później wygnańcy z akcji „Wisła", którzy zdecydowali się wrócić, byli nękani: kontrolowano ich korespondencję, podejrzewano o działalność antypolską, ograniczano możliwość zakupu towarów, szykanowano na różne sposoby. Spokoju nie miały też ich dzieci, jeszcze w latach 70. i później nazywane przez polskich rówieśników potomkami banderowców.

KRZYSZTOF POTACZAŁA

Okręt dwudniowy



Niemiecki okręt „Blücher” ostrzelany przez Norwegów idzie na dno, 9 kwietnia 1940 r.

Zatopienie krążownika „Blücher” w pierwszych godzinach inwazji na Norwegię było spektakularną, choć nieco zapomnianą, porażką Kriegsmarine.

ŁUKASZ WÓJCIK

W kategorii „najbardziej pechowy okręt Hitlera” „Blücher” ma konkurencję. Bez wątpienia był najbardziej elegancki. Jego długi kadłub i wyraźny, atlantycki dziób – zaprojektowany tak, aby zmniejszyć opór wody – sprawiały wrażenie szybkości i wdzięku. A stosunek rozmiarów kadłuba do całej nadbudowy zdawał się tak dobrany, że nadawał ciężkiemu krążownikowi lekkości godnej klipera. Poza tym jednak zapowiadał się na rasowego mordercę.

Stępkę położono w stoczni kilońskiej w sierpniu 1936 r., łamiąc przy tym traktat wersalski. Ograniczał on liczbę i tonaż niemieckich okrętów, a także ich zdolności. Niemcy nie mogli więc mieć pancerników ani ciężkich krążowników (owe najcięższe kategorie). A tonaż zwykłych krążowników nie mógł przekroczyć 6 tys. ton (potem podwyższono ten limit do 10 tys.). Ale po przejęciu władzy przez Adolfa Hitlera i formalnym odrzuceniu traktatu przez Niemcy marynarka wojenna – Kriegsmarine – zamówiła większe okręty, w tym sześć krążowników klasy nazwanej później Admiral Hipper. Jednym z nich był „Blücher” (ponad 18 tys. ton).

We wrześniu 1939 r. rozpoczął testy morskie na Bałtyku. Zima 1939–40, jedna z najcięższych, nie dała mu zbyt wielu okazji, aby się sprawdzić na zmrożonym morzu. Do początku kwietnia 1940 r. okręt był na morzu zaledwie 20 dni. To nie przeszkodziło niemieckiemu dowództwu już 7 kwietnia uznać go za „gotowego do prostych zadań”. Dwa dni później wziął udział w swojej pierwszej i ostatniej operacji wojennej.

Był dumą Kriegsmarine – piszą o nim Geirr Haarr i Tor Jørgen Melien w książce „The Sinking of the Blücher”. Miał ponad 200 m długości, 21 szerokości, a jego trzy potężne turbiny o łącznej mocy 132 tys. koni mechanicznych pozwalały płynąć z prędkością 32 węzłów (60 km/h). Na załogę składało się prawie 1400 marynarzy.

Głównym uzbrojeniem „Blüchera”, któremu nazwiska użyczył pruski generał Gebhard Leberecht von Blücher, zwycięzca spod Waterloo, było osiem 203-milimetrowych dział umieszczonych w czterech wieżach. A poza tym pomniejsze działa, w tym przeciwlotnicze, oraz torpedy. Miał też na pokładzie rozpoznawcze wodnosamoloty. Pierwszym i jedynym kapitanem „Blüchera” był Heinrich Woldag, weteran pierwszej wojny światowej, jedna z gwiazd Kriegsmarine.

Niemiecka operacja „Weserübung”, która zaczęła się we wczesnych godzinach 9 kwietnia 1940 r., to według Berlina nie była wojna. Raczej „działania zbrojne mające na celu obronę neutralności Danii i Norwegii”.

W listopadzie 1939 r. Wielka Brytania wydzierżawiła 70 proc. licznej norweskiej floty handlowej na czas wojny. Jednocześnie neutralna przecież Norwegia pozwalała niemieckim statkom transportować szwedzką rudę żelaza z norweskiego portu Narwik, wzdłuż norweskiego wybrzeża i dalej do Niemiec. Wielka Brytania planowała więc postawić wokół Norwegii blokadę morską, o czym Berlin wiedział już jesienią 1939 r.

Niemcy doszli do wniosku, że jedynym sposobem, aby utrzymać dostawy rudy, jest zajęcie Norwegii. W tym ataku pierwszoplanową rolę miał odegrać „Blücher”.

Neutralna Norwegia przetrwała pierwszą wojnę światową w zasadzie bez uszczerbku. I miała nadzieję, że z drugą będzie podobnie. Ale po ataku Niemiec na Polskę, a szczególnie po radzieckiej agresji na Finlandię dwa miesiące później, również Norwegowie zaczęli mobilizację na miarę swoich możliwości. ▶

▶ Norweska marynarka miała tylko dwa liczące się, choć nieco przestarzałe okręty obrony wybrzeża. Nowsze były niewielkie patrolowce, które jednak nadawały się raczej do kontroli łowisk niż do prowadzenia wojny morskiej. Z wojskami lądowymi było jeszcze gorzej – w 1940 r. kilkutysięczna armia norweska nie miała ani jednego czołgu, działa przeciwpancernego, ani jednego ręcznego granatu. Po częściowej mobilizacji zabrakło nawet hełmów i karabinów.

Hitler oczekiwał, że Norwegia szybko się podda. Jednak ze względu na ukształtowanie terenu nie była tym samym co płaska Dania, jakby stworzona na potrzeby niemieckiego blitzkriegu. Aby np. desantować żołnierzy w Oslo, trzeba przez Skagerrak wejść do ulubionego fiordu Edvarda Muncha, Oslofjorden (widać go na obrazie „Krzyk"), długiego na ok. 100 km i wąskiego nieraz na kilkaset metrów, gdzie wielkie okręty tracą większość swoich walorów.

Niemcy zaryzykowali. Według Haarra i Meliena w takich okolicznościach musieli założyć, że albo Norwegowie poddadzą się bez walki, albo że uda się ich zaskoczyć w przedporannych ciemnościach 9 kwietnia.

Grupa Uderzeniowa nr 5, część niemieckich sił inwazyjnych, wyszła z portu w Świnoujściu rankiem 7 kwietnia 1940 r. Dowodził nią kontradmirał Oskar Kummetz, który na statek flagowy wybrał właśnie „Blüchera". Obok niego płynął „Lützow", określany czasem pancernikiem kieszonkowym, oraz podstarzały lekki krążownik „Emden" (rocznik 1915). Do tego torpedowce, stawiacze min i transportowce.

Na wszystkich tych jednostkach zaokrętowano ponad 2 tys. żołnierzy, którzy mieli w pierwszym rzucie zająć Oslo. Wśród prawie 600 żołnierzy na pokładzie „Blüchera" znalazły się m.in. oddziały, których zadaniem było aresztować dwór królewski i „zaopiekować się" złotem z norweskiego skarbca. Płynęła nawet orkiestra wojskowa, która miała uświetnić defiladę zwycięstwa. Kolejne 23 jednostki czekały w niemieckich portach z 14 tys. żołnierzy na pokładach – druga fala inwazji, która miała ruszyć po zabezpieczeniu Oslofjorden.

Początkowo szczęście sprzyjało Grupie. Gdy późnym wieczorem 8 kwietnia wpłynęli do fiordu – zaciemnieni i bez oflagowania – skryła ich mgła. Kontradmirał Kummetz wyraźnie zaznaczył, żeby ignorować ewentualne strzały ostrzegawcze i nie odpowiadać.

O godz. 23.00 Niemców zauważył norweski okręt patrolowy „Pol III", wcześniej statek wielorybniczy, z 15 marynarzami i niewielkim działem na pokładzie. Gdy Niemcy zorientowali się, że są śledzeni, Kummetz wysłał w kierunku Norwegów jeden z torpedowców. Okręty zbliżyły się do siebie w gęstej mgle. Niemcy zakazali Norwegom używać radia, jednak norweski kapitan nie posłuchał. Co więcej, strzelił flarą, aby ostrzec obronę wybrzeża. Doszło do zderzenia, niemiecki torpedowiec otworzył ogień. Norweski okręt zatonął.

Zaraz potem odezwały się norweskie baterie nadbrzeżne. Zdaniem nieżyjącego już niemieckiego historyka Cajusa Bekkera kontradmirał Kummetz musiał wtedy wiedzieć, że jego operacja nie będzie zaskoczeniem. Trzymał się jednak planu.

Jeszcze w ciemnościach, po godz. 4.00, „Blücher" zbliżył się do Cieśniny Drøbak, gdzie brzegi Oslofjorden dzieli zaledwie kilometr. Według niemieckich danych wywiadowczych sporządzonych – jak sam przyznał po wojnie Erich Raeder, dowódca Kriegsmarine – m.in. na podstawie przewodników turystycznych, na jednej z wysp pośrodku cieśniny miał znajdować się fort-muzeum. I w pewnym sensie była to prawda.

Oscarsborg zbudowany w połowie XIX w., pod jego koniec został zmodernizowany. Zamontowano wtedy trzy potężne, 280-milimetrowe działa produkcji niemieckiej firmy Krupp. Gdy przypłynęły do fortu, przy rozładunku jedno z nich wpadło do wody – w związku z czym nazwano je „Mojżesz", a pozostałe dwa już konsekwentnie „Aaron" i „Jozue".

Nie mniej ważna okazała się pobliska wyrzutnia torped. Zbudowana w 1901 r. wewnątrz sąsiedniej wyspy miała trzy podwodne tunele strzelnicze. Niemcy nie mieli o niej pojęcia, przewodniki milczały na jej temat. Na uzbrojeniu wyrzutnia miała dziewięć przestarzałych torped Whiteheada, zbudowanych w 1900 r. w austrowęgierskim porcie Fiume (dziś Rijeka w Chorwacji). Norwegowie ponoć do końca nie byli pewni, czy są sprawne.

Krajobraz cieśniny Drøbak dopełniały jeszcze dwie baterie przeciwlotnicze oraz dwie potężne lampy-szperacze na wschodnim brzegu fiordu. Zgodnie z norweskimi planami obronnymi cieśnina powinna zostać zaminowana. Ale z tym Norwegowie nie zdążyli. Cały system obronny wzdłuż Oslofjorden miał być obsadzony prawie 1,5 tys. żołnierzy i 200 oficerami. 9 kwietnia na pozycjach było zaledwie 613 żołnierzy i 83 oficerów, w większości świeżo zmobilizowanych rekrutów.

Dowódcą Oscarsborg był 64-letni pułkownik artylerzysta, Birger Eriksen. Miał pod sobą zaledwie 28 żołnierzy, w tym przeszkolonych do obsługi dział gigantów tylko 11. Czyli tylu, ilu akurat potrzebnych jest przy jednym dziale. Eriksen podzielił tę grupę na dwa działa – „Mojżesza", „Aarona" – i podesłał im do pomocy, kogo miał w forcie: kucharzy, kierowców, księgowych.

Pułkownik Eriksen spostrzegł okręty kilka minut po godz. 4.00. Miał rozkaz oddać najpierw strzały ostrzegawcze. Ale wobec przepływających olbrzymów (Norwegowie nie byli jeszcze pewni, z kim mają do czynienia) byłyby to zapewne ostatnie strzały artylerii Oscarsborg, która mogła strzelać raz na cztery minuty. Dlatego Eriksen uznał, że strzały ostrzegawcze oddały już wcześniej norweskie baterie w dolnym biegu fiordu.

Czekał, aby pierwszy z wrogich okrętów podpłynął maksymalnie blisko – na ok. 1300 m. Wtedy dał znać żołnierzom, żeby przygotowali się do strzału. Jak twierdzą Haarr i Melien, gdy jeden z podwładnych oficerów zapytał Eriksena, czy zdaje sobie sprawę, że w ten sposób wywoła wojnę, Eriksen miał odpowiedzieć: „Albo zostanę odznaczony, albo stanę przed sądem wojennym… Ognia!".

Strzeliły dwa działa. Pierwszy z ważących 255 kg pocisków trafił „Blüchera" ponad mostkiem. Drugi – w załadowany

amunicją i paliwem hangar wodnopłatów. Na okręcie wybuchł pożar. Zaraz po działach Oscarsborgu odezwały się baterie z drugiej strony fiordu. Ze względu na mały kaliber nie mogły spowodować wielkich szkód, ale – jak wspominał jeden z oficerów na pokładzie – wywołały chaos. „Blücher" natychmiast odpowiedział ogniem, a pułkownik Eriksen zarządził ewakuację do schronów.

600 m za „Blücherem" zatrzymał się „Lützow". Z braku widoczności zaczął na ślepo strzelać do Norwegów, ale trafiony w dziobową wieżę artyleryjską zaczął się cofać. „Blücher" przeciwnie – gdy dosięgły go pierwsze pociski, kapitan Woldag wydał rozkaz „cała naprzód", żeby jak najszybciej przepłynąć obok Oscarsborgu i wyjść spoza zasięgu jego dział. Ale tym samym wprowadził swój okręt na cel wyrzutni torped.

Regulaminowy dowódca wyrzutni był chory. W zastępstwie dowodził przywołany awaryjnie z rezerwy 61-letni kapitan Andreas Anderssen z pobliskiej wioski. Znał się na robocie, bo w latach 20. sam był tu dowódcą. Miał pod sobą dwóch oficerów i dziewięciu żołnierzy – samych rezerwistów, tak jak on. Gdy „Blücher" wpłynął przed muszkę celownika, Anderssen rozkazał odpalić dwie torpedy. Pierwsza trafiła w przednią część śródokręcia, druga – bliżej rufy.

Dwukrotnie wstrząśnięty i płonący „Blücher" przechylił się o 10 stopni i stracił sterowność. Udało mu się jednak wypłynąć poza zasięg norweskich dział i torped. Wtedy kapitan Woldag kazał rzucić kotwice, aby okręt nie zdryfował na brzeg fiordu. W ten sposób dał czas marynarzom na gaszenie pożarów. Te jednak wybuchały wciąż w nowych miejscach, głównie w środkowej części kadłuba. Najgorzej wyglądał hangar dla wodnopłatów – tam wybuchło wyposażenie niemieckiego desantu: amunicja, ręczne granaty.

Kilka minut później pożar rozprzestrzenił się do magazynów amunicji okrętowej i sytuacja wymknęła się spod kontroli. Oficerowie kazali marynarzom strzelać torpedami na ślepo – żeby nie wybuchły na pokładzie. O brzasku mieszkańcy Oslo zobaczyli w oddali czarny słup dymu. O 5.30 ogień dotarł do magazynu amunicji największych dział „Blüchera". Eksplozja wyrwała w burcie ogromną ranę, która okazała się śmiertelna. O godz. 6.00 kapitan wydał rozkaz opuszczenia okrętu, który szybko przechylał się na prawą burtę.

Wielu marynarzy oddawało swoje kamizelki żołnierzom desantu, z których większość nie umiała pływać. Nikt nie zakładał, że będą musieli, i dlatego nie załadowano dodatkowych kamizelek, miejsce było potrzebne na sprzęt sił inwazyjnych. Ze względu na niską temperaturę mieli ok. 20 minut, aby wydostać się z wody. Ci, którzy dopłynęli do brzegu pośród płonącej ropy, o 6.22 zobaczyli, jak „Blücher" idzie na dno.

Zatopienie „Blüchera" okryło się legendą. Na powtórzenie podobnego wyczynu trzeba było czekać 82 lata – w 2022 r. najprawdopodobniej ukraińska bateria nadbrzeżna zatopiła „Moskwę", rosyjski krążownik, okręt flagowy Floty Czarnomorskiej.

Pułkownik Eriksen oczywiście nie powstrzymał niemieckiej inwazji. Ale zatopienie „Blüchera" dało norweskim władzom kilka godzin na ewakuację. Cały dwór z królem Haakonem VII na czele, a także rząd i członkowie najważniejszych państwowych instytucji (wraz z rezerwami złota) uciekli z Oslo na północ. A potem w kierunku północnomorskiego wybrzeża. Stamtąd odebrał ich brytyjski okręt HMS „Devonshire" i zabrał do Londynu. Wkrótce w brytyjskiej stolicy powstał norweski rząd na uchodźstwie.

W ten sposób nie powiódł się Niemcom plan zamknięcia króla w złotej klatce i powołania marionetkowego rządu, najpewniej z Vidkunem Quislingiem na czele. Norwegia w końcu padła łupem Niemców, choć nie mogli oni już twierdzić, że to nie wojna, tylko „obrona norweskiej neutralności".

Alianci próbowali pomóc Norwegom, wysyłając nie tylko okręty, ale również brytyjsko-francusko-polski kontyngent (w walkach brała udział Samodzielna Brygada Strzelców Podhalańskich; pod Narwikiem Niemcy zatopili ORP „Grom"). Jednak kolejne porażki kontyngentu już w maju wywołały w brytyjskim parlamencie tzw. norweską debatę, która ostatecznie pogrążyła rząd Neville'a Chamberlaina i wyniosła do władzy Winstona Churchilla. Na przełomie maja i czerwca alianci ewakuowali z Norwegii swoich ostatnich żołnierzy. Ostatnie norweskie oddziały skapitulowały przed Niemcami 9 czerwca 1940 r.

„Blücher" do dziś spoczywa na dnie cieśniny Drøbak, 64 m pod linią wody. W 1953 r. Norwegowie wyciągnęli śruby, planowali też podniesienie całego okrętu. Ostatecznie zrezygnowali w obawie przed ropą, która wciąż tkwi w zbiornikach krążownika i stanowi zagrożenie dla fiordu – w latach 90. norweskie służby wodne oceniały, że ropa i tak przedostaje się do wody w tempie ok. 50 litrów na dobę.

Klamrą dramatu „Blüchera" okazała się historia jego kapitana Heinricha Woldaga, który najwyraźniej nie zszedł ostatni z pokładu tonącego krążownika i już 10 kwietnia bawił na uroczystości zwycięstwa w Oslo. Tydzień później pozbawiony okrętu i zajęcia Woldag wsiadł na pokład samolotu transportowego do Niemiec. Ten rozbił się wkrótce po starcie w wodach Oslofjorden. A Woldag, chcąc nie chcąc, dołączył do wielu swoich marynarzy.

ŁUKASZ WÓJCIK



na ekranie

O tworzeniu legendy 3/6

Czerwone maki, reż. Krzysztof Łukaszewicz, prod. Polska 2024, 122 min

W historiografii Zachodu kampania włoska, która tylko po stronie aliantów kosztowała życie ok. 200 tys. żołnierzy, oceniana jest negatywnie, jako rezultat „strategicznego i taktycznego bałaganu". W naszej pamięci okupiona śmiercią 923 Polaków bitwa o Monte Cassino zapisała się bodaj jako największe zwycięstwo polskich sił zbrojnych w czasie drugiej wojny światowej. Epickie widowisko Krzysztofa Łukaszewicza stara się uwzględniać oba punkty widzenia, jednak historyczny spór, czy warto było brać udział w tej rzezi, reżyser rozstrzyga zgodnie z martyrologicznym mitem. Ofiarność i męstwo Drugiego Korpusu miały swoją cenę, lecz innego wyjścia nie było. Może alianci robili wszystko, by nie wejść do Berlina przed Sowietami – co wypomina z goryczą jeden z bohaterów filmu – za to my górowaliśmy odwagą i poświęceniem. Łukaszewicz, zarazem autor scenariusza „Czerwonych maków", nakręcił film o zwycięstwie, które miało bardzo gorzki smak. Dobrze, że nie skupia się na publicystyce, gorzej, że nie znalazł materiału na ciekawą, pogłębioną, angażującą emocjonalnie opowieść. Zacieśnienie horyzontu tylko do polskich uczestników zdarzeń nie pozwala w pełni wybrzmieć dramatowi. Ginący w samobójczych szarżach szeregowcy, a także biorący na siebie ciężar odpowiedzialności za ich śmierć generałowie ukazani są wedle najprostszego patriotycznego klucza. Na szczęście oprócz krwi przelanej w imię Boga, honoru i ojczyzny reżysera interesuje coś jeszcze. Doskonałą decyzją było przyjrzenie się bitwie oczami ciężko doświadczonego nastoletniego młodzieńca nie bardzo wierzącego w sens ofiary (Nicolas Przygoda), przekonanego, że cała ta wojna to jedna wielka umieralnia. „Czerwone maki" obnażają niedojrzałość takiego myślenia. Otrzymawszy szansę, by chwycić za broń, chłopak skwapliwie z niej korzysta. Postać redaktora, alter ego Melchiora Wańkowicza (świetny **Leszek Lichota**), choć zdaje sobie sprawę, że żadne korzyści dla przyszłych losów Polski z tego zwycięstwa nie płyną, świadomie gloryfikuje walczących, żeby o nich nie zapomniano. Tworzy legendę Monte Cassino, bo „może to, że wygrają, ma dla nich znaczenie". Podobny cel przyświeca autorom widowiska – szkoda tylko, że realizowany w tak mało porywający sposób.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

na ekranie

Wśród płomieni 4/6

Czerwone niebo (Roter Himmel), reż. Christian Petzold, prod. Niemcy, 98 min



Opowiadając o swoim nowym filmie, Christian Petzold często powoływał się na inspirację kinem Erica Rohmera. I na pierwszy rzut oka „Czerwone niebo" rzeczywiście ma w sobie rohmerowską lekkość, rozjaśnione słonecznym światłem nadmorskie krajobrazy, toczącą się między bohaterami grę namiętności i niedopowiedzeń. Lecz niemiecki reżyser inteligentną komedię tasuje z podszytym goryczą dramatem obyczajowym, a nad wszystkim ciąży widmo ostatecznej klęski, symbolizowanej przez zbliżające się do miasteczka pożary lasów. Zanim nadejdzie żywioł, nad morze przyjeżdżają Leon, zmagający się z pracą nad drugą powieścią pisarz, i jego przyjaciel Felix. W domu, w którym się zatrzymują, pokój wynajmuje młoda dziewczyna Nadja (**Paula Beer**), od czasu do czasu pojawia się tam również jej chłopak Devid. Między czworgiem bohaterów nawiązują się nowe, nieoczekiwane relacje, pojawiają się spięcia, miłość, zazdrość. Tyle że Petzold przewrotnie narzuca widzom punkt widzenia lekko bucowatego Leona: cierpiącego na przerost ambicji, obrażonego na świat, że ten nie dostrzega jego talentu, a jednocześnie kompletnie niewrażliwego na potrzeby i emocje innych ludzi. W świetnej interpretacji **Thomasa Schuberta** to bohater nie tyle antypatyczny, ile budzący politowanie. I w jakimś sensie bardzo uniwersalny. Być może – sugeruje Petzold w swoim filmie – wszyscy bywamy Leonami zamkniętymi na innych i niedostrzegającymi oznak nadchodzącej katastrofy.

JAKUB DEMIAŃCZUK

Między komedią a histerią 3/6

Klara, twórca serii: Marek Modzelewski, reż. Łukasz Jaworski, 8 odc., Player



Popularna aktorka **Izabela Kuna** jest też autorką dwóch powieści, których bohaterką jest Klara – czterdziestoparoletnia rysowniczka, warszawianka z wyboru, borykająca się z życiem – czyli niesatysfakcjonującym związkiem z toksyczną matką – przy pomocy przyjaciół, w poczet których zalicza także xanax, koniak i psychodelicznego kota reproduktora brytyjskiego. To literatura środka, jakiej wiele, w tonie sytuująca się między komedią a histerią, mająca niezmiennie swoich fanów, a zwłaszcza fanki. Teraz zaś trafiła na mały ekran, na platformę Playera, scenarzystą jest Marek Modzelewski, dramatopisarz i autor scenariuszy filmów z serii „Teściowie" (z Kuną w obsadzie), prywatnie mąż aktorki, która wciela się w tytułową rolę. Pierwsze dostępne odcinki nie rokują najlepiej. „Klara" to typowy serialowy produkt TVN, z podrasowanymi, wypolerowanymi wnętrzami w stylu stołecznej klasy średniej, i takimi bohaterami na granicy stereotypu – a czasem za tą granicą, jak w przypadku granej przez Katarzynę Warnke przyjaciółki Klary, Wronki. Do tego Klara, choć głośna, nie jest intrygującą postacią. Najwięcej życia wnoszą do serii jak na razie Iwona Bielska w roli skrywającej tajemnice matki z Kutna, Adam Woronowicz jako pewny siebie żonaty kochanek lawirant oraz Eryk Kulm jr, z wdziękiem odgrywający kota bez butów, za to w widowiskowym futrze, z lakierem na paznokciach, kieliszkiem koniaku i niewyparzonym pyskiem. AK

Solidna dawka nostalgii 4/6

X-Men'97, twórca serii: Beau DeMayo, Disney+, 10 odc.



W latach 90. udane ekranizacje komiksów były wciąż rzadkością, potrzeby fanów musiały więc zaspokajać seriale animowane. Sztuczka polegała na tym, by nie przekraczając narzucanych przez telewizję ograniczeń, przyciągać przede wszystkim nieco starszych widzów, odbiorców komiksów, które w tamtym czasie poruszały coraz poważniejsze tematy. Wydawnictwo DC Comics firmowało wówczas wybitny serial „Batman" (to do dziś jedno ze szczytowych osiągnięć telewizyjnej animacji), zaś konkurencyjny Marvel – m.in. „X-Men". Serial o mutantach łączył szybką akcję i dynamiczny montaż niczym z teledysków nadawanych w MTV z tym, co w komiksowym oryginale było najciekawsze, czyli opowieścią o potrzebie przynależności, alienacji, szukaniu sensu (i siły) w odmienności. Cieszył się wielką popularnością, lecz na skutek bankructwa Marvela (tak, były takie czasy) został skasowany po pięciu sezonach. Ćwierć wieku później Disney postanowił reaktywować format: dopisek „'97" w tytule jasno wskazuje, że nowy serial podejmuje akcję tam, gdzie zakończyła się przed laty. Oprawa graficzna, czołówka, muzyka – wszystko utrzymane w dawnej stylistyce, choć bardziej płynnej i przyjemniejszej dla oczu. Jednak „X-Men'97" nie służą wyłącznie zaspokajaniu nostalgii. Nieco swobodniej i poważniej traktują kwestie wykluczenia, żałoby, budowania nowej tożsamości. Komiksy superbohaterskie bardzo się przez ostatnie 30 lat zmieniły, ta nowa animacja za zmianami na szczęście nadąża, choć wciąż zachowuje swój urok retro. JD

na scenie

Bieda w cekinach 4/6

Człowiek z papieru. Antyopera na kredyt, libretto Piotr Grzymisławski i Jakub Skrzywanek, teksty piosenek Jaś Kapela, muz. Karol Nepelski, reż. Jakub Skrzywanek, PPA we Wrocławiu i Teatr Powszechny w Warszawie



Po postać Agnieszki, zaangażowanej społecznie reżyserki z filmów Andrzeja Wajdy, 14 lat temu sięgnął duet Demirski-Strzępka w zrealizowanym w wałbrzyskim Szaniawskim, brawurowym „Był sobie Andrzej Andrzej Andrzej i Andrzej", teraz wraca do niej Jakub Skrzywanek we wrocławsko-warszawskiej produkcji „Człowiek z papieru. Antyopera na kredyt". I znów publicystyka miesza się z trafiającą celniej ironią i sarkazmem. Kontekstem jest ponownie polski wilczy kapitalizm, tym razem patologie mieszkalnictwa, ale ważne jest też pytanie o status i rolę biedniejącego teatru. Spektakl, który otwierał Przegląd Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu, gra z konwencją koncertu galowego, musicalu, który po sukcesie rapowanego „1989" staje się modnym gatunkiem teatralnym i Brechtowską „Operą za trzy grosze". Sceny rozgrywane w stylu reportażu interwencyjnego na zlikwidowanym w 2015 r. romskim koczowisku we Wrocławiu i na zbudowanym na jego miejscu osiedlu, z którego równie brutalnie wyrzucani są niewypłacalni frankowicze i artyści, gdy już wykonali zadanie gentryfikacji terenu, sąsiadują z nasyconymi sarkazmem numerami operowymi i musicalowymi (m.in. wspaniałe pastisze rockowych songów z „Metra", patriotycznych gniotów w stylu „Żeby Polska była Polską" czy pompatycznego „We Are the World" z refrenem: „Biedy mamy już dość"). Biednie, ale z cekinami.

ANETA KYZIOŁ

OLAF TRYZNA, AURORA FILMS, PLAYER.PL, DISNEY+, MAGDA HUECKEL

książki Fragmenty książek na stronie: www.polityka.pl/czytelnia

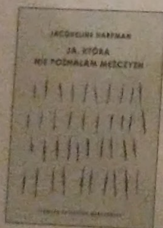


Huk, ohyda, rozkosz 5/6

Louis-Ferdinand Céline, **Wojna**, przeł. Anna Wasilewska, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2024, s. 224

„Wojna wskoczyła mi do głowy" – czytamy w odnalezionej po 60 latach od śmierci Louisa-Ferdinanda Céline'a powieści „Wojna". To się rzadko zdarza, że utracone dzieła wracają – w 2021 r. do spadkobierców wdowy po autorze trafiła skrzynia z sześcioma tysiącami kartek. Céline uważał, że te rękopisy mu skradziono, co nie było prawdą (szczegółowo o awanturze z rękopisami i z samym autorem pisze Anna Wasilewska w „Literaturze na Świecie" 9–10/23). „Wojna" jest brakującym ogniwem opowieści autobiograficznej Celine'a, mówi o czasie pominiętym w „Podróży do kresu nocy" – pobycie w szpitalu i przygodach rekonwalescenta w 1914 r. Ranny Ferdinand budzi się wśród trupów i z pomocą Anglika trafia do szpitala. Już pierwsze strony wrzucają nas w sam środek smrodu wojny, znakomite są rytm i dosadność języka, oddane brawurowo przez tłumaczkę. Céline wprowadził do literatury francuskiej język mówiony. W jego opowieści mieszają się ohyda i rozkosz, wszystkie podłości są możliwe, ale jednocześnie jesteśmy unoszeni dziką energią języka i życia, którego czepia się Ferdinand. Życie to seks – najpierw z siostrą w szpitalu, a później jest zafascynowany Angele, która rządzi tutaj mężczyznami. Ferdinand z trudem przechodzi na stronę żywych, w głowie mu huczy i nie ma złudzeń, że wojna to potworność, po której nie da się normalnie żyć. Zmierzył się z nią, żeby to opisać wiele lat później – w 1934 r. Nauczył się „pisać ładne kawałki, uszyte z odłamków horroru, wyrwanych hukowi, który nigdy się nie kończy". Jest to książka, która będzie nam potem huczeć w głowach.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

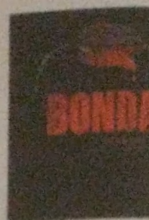


Świat zza krat 6/6

Jacqueline Harpman, **Ja, która nie poznałam mężczyzn**, przeł. Katarzyna Marczewska, Wydawnictwo Art Rage, Warszawa 2024, s. 188

Dziewczynka, jak o niej mówią kobiety z celi, nie zna innej rzeczywistości niż ta za kratami. Na świecie zdarzyło się COŚ, jakiś wybuch jądrowy albo wojna, i nagle wszystkie zostały uwięzione. Nie mają prywatności, na okrągło pilnowane są przez mężczyzn, którzy milczą tylko i straszą batem. Mija im w tym zamknięciu 12 lat. Tak im się zdaje, bo dziewczynka rośnie i jest dla reszty punktem odniesienia. Ona sama, zarazem narratorka tej historii, uczy się odmierzać czas, badając własny puls. Wszystko jest dla niej nowe, intymne relacje z mężczyznami – zupełnie obce. A wreszcie w świecie znów wydarza się COŚ i raz jeszcze trzeba się przystosować. Belgijka Jacqueline Harpman stworzyła klaustrofobiczną, postapokaliptyczną, szalenie wciągającą opowieść o zniewoleniu, do którego łatwo przywyknąć, kiedy celem jest pragnienie przetrwania. I o wolności, która też może zamienić się w więzienie. Przyczyna zagłady świata jest drugorzędna, ciekawsze są ludzkie mechanizmy obronne i pytania, co nas pcha do przodu i trzyma przy życiu? Autorka generalnie stawia więcej pytań, niż daje odpowiedzi. I te pytania dręczą czytelnika jeszcze długo po lekturze. Książka, wydana oryginalnie w 1995 r., nie straciła nic z aktualności.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

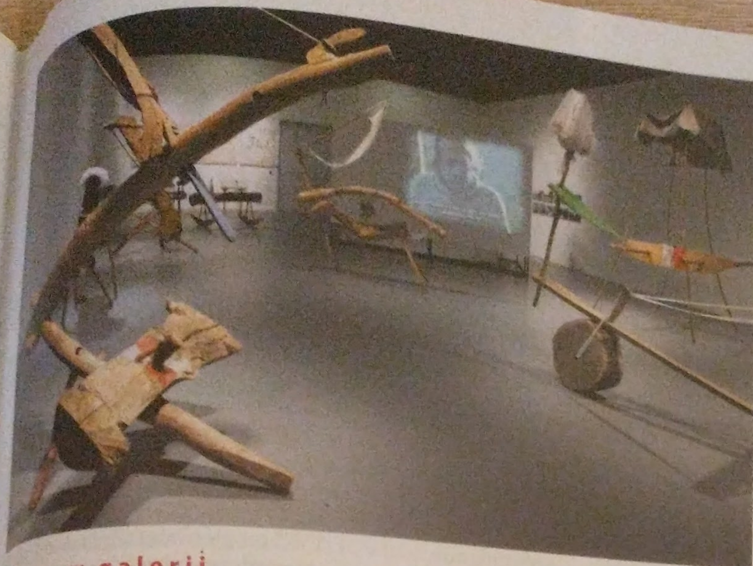


Uwodziciel z dyskontu 3/6

Katarzyna Bonda, **Krew w piach**, Wydawnictwo Muza/Wielka Litera, Warszawa 2024, s. 352

„Ta historia wydarzyła się naprawdę", głosi dopisek na okładce i nie jest to hasło na wyrost. Fabuła opiera się na sprawie tzw. Krwawego Tulipana, w ubiegłym roku skazanego za zabójstwa trzech kobiet. Bonda zmienia nazwiska i niektóre szczegóły, przenosi akcję z Kołobrzegu do Międzyzdrojów, lecz dość wiernie trzyma się faktów: zbrodniarz, w książce noszący nazwisko Adam Szulc, uwodził kobiety i wykorzystywał je jako partnerki w swoich przestępczych planach, a niektóre zabijał, by za bezcen przejąć ich mieszkania. Mimo aktualnego tematu – działania Szulca bardzo nieprzyjemnie kojarzą się z tym, co robią spekulujący mieszkaniami flipperzy, zaś fabuła toczy się w latach 2014–19 – powieść sprawia wrażenie osadzonej poza czasem, jakby w opisywanych przez Bondę nadmorskich realiach lata 80. wciąż zderzały się z Polską potransformacyjną. Trochę marazmu, szczypta zagubienia, coraz szersza przepaść dzieląca bogatych i biednych. Najciekawsze wydają się tu portrety kobiet samotnych, rozczarowanych nudnym życiem, zdesperowanych do tego stopnia, by nabrać się na tandetny urok Szulca, bawidamka z dyskontu. Sam zbrodniarz wydaje się tu wyjątkowo bezbarwny, a fabuła ma niestety temperaturę docu-fiction z komercyjnej telewizji, podrzędnych serialików, w których aktorzy-amatorzy udają prawdziwe życie. Byłoby znacznie ciekawiej, gdyby Katarzyna Bonda zamiast tworzyć fikcję na bazie faktów, zdecydowała się na kryminalny reportaż – z jej doświadczeniem w literaturze non fiction poradziłaby sobie z tym bez trudu.

JAKUB DEMIAŃCZUK



w galerii

Naga prawda 5/6

Bereś, Cricoteka,
Kraków, do 8 grudnia

Jest rzeczą wstydliwą, że od śmierci Jerzego Beresia w 2012 r. żadna instytucja nie pomyślała o zorganizowaniu wystawy, która byłaby podsumowaniem jego niezwykłego i ważnego dorobku twórczego. A organizuje się wielkie retrospektywy artystom, którzy za Beresiem mogliby co najwyżej nosić teczkę. Domyślam się, skąd ta powściągliwość. O ile bowiem bez problemu można poustawiać w galerii jego surowe rzeźby z drewna, o tyle trudniej poradzić sobie z jego akcjami (artysta odrzucał termin „performance”), pełniącymi u niego rolę najważniejszą. Zachowały się oczywiście ich zapisy filmowe, ale to trochę jak podróżowanie po świecie z kanałem National Geographic lub z Google Street View. Lepsze jednak to niż nic. Bereś reprezentował zanikający gatunek artystów, którzy niezwykle serio traktują swoją rolę – mówienia o sprawach ważnych, profetycznego wieszczenia, stawiania fundamentalnych pytań o sztukę, politykę, posłannictwo artysty. Szokował nie tylko bezkompromisowymi poglądami, ale też odważną jak na owe czasy postawą twórczą. Nagi, z wymalowanymi na ciele symbolami, zmagający się z materią ciężkich kłód nieociosanego drzewa. Demonstrował, walczył, dyskutował, niestrudzenie coś manifestował. Traktował przyrodę jako upodmiotowionego partnera w działaniu, a siebie – jako uprzedmiotowiony element owych relacji, stając się jednym z pionierów popularnej dziś postantropocentrycznej postawy.

PIOTR SARZYŃSKI

na płycie

Surowa i wybitna 5/6

Adrianne Lenker, **Bright Future**, 4AD



Zmiana miejsca akcji na mniej sterylne bywa najlepszą inspiracją. Bob Dylan swoje „The Basement Tapes” nagrywał w półamatorskich warunkach. Justin Vernon (Bon Iver) słynne „For Emma, Forever Ago” – w leśnej chatce odciętej od świata w środku zimy. Bruce Springsteen „Nebraskę” pozostawił w wersji demo, zarejestrowanej na magnetofonie w domu. Podobny zamysł przyświecał Adrianne Lenker, liderce nowojorskiej folkowej grupy Bright Eyes, która na miejsce nagrań wydanej pod własnym nazwiskiem płyty wybrała 150-letni dom, montując w nim niezbyt nowoczesne (ośmiościeżkowy magnetofon) studio. 32-letnia Lenker to jedna z najlepszych autorek pokolenia, o klasę piosenek trudno się więc martwić, ale poza zaaranżowanymi na gitarę, pianino i skrzypce partiami instrumentalnymi słychać samo wnętrze. Trzaska ognisko, gdzieś odzywa się pies. Intymna atmosfera podbija emocje, surowa rejestracja nabiera sensu jako coś kompletnie pod prąd dominujących cyfrowych i perfekcyjnych nagrań. Autorka brzmi momentami („No Machine”) jak Dylan, ale nie należy się dać zwieść – to rzecz prostsza w warstwie lirycznej, za to w muzyce detal i finezja odgrywają ważniejszą rolę.

BARTEK CHACIŃSKI

festiwale

Filmy do słuchania

Timeless Film Festival Warsaw,
8–15 kwietnia, Warszawa

Cykl filmowych koncertów w ramach Timeless FFW (o samej imprezie opowiada Roman Gutek na s. 88) jest jak osobny festiwal w festiwalu. Wykonywanie muzyki na żywo podczas projekcji filmowych to tradycja odkurzona w ostatnich dekadach i przydatna. Ułatwia spotkania z niemym kinem, ale i z muzyczną awangardą, gwarantując niszowym artystom dostęp do nowej, kinowej widowni. Ta ostatnia znamy w Polsce nieźle holenderskiego mistrza lutni barokowej Jozefa van Wissema (tym razem oprawi muzycznie „Zagładę domu



Usherów” w reż. pochodzącego z Polski Jeana Epsteina) czy wrocławską formację Małe Instrumenty (zagrają do „Fausta” Friedricha Murnaua i zestawu filmów Bustera Keatona). Ale koncerty szwedzkiej organistki Ellen Arkbro (zagra do niemego horroru „Furman śmierci”) czy japońskiej kompozytorki Eiko Ishibashi (dla której reżyser Ryûsuke Hamaguchi przygotował specjalny film do pokazów z muzyką na żywo) będą wydarzeniami wyjątkowymi nawet w obiegu muzycznym. Warto też zwrócić uwagę na premierowe wykonanie utworu na chór i orkiestrę skomponowanego przez nominowanego do Paszportu POLITYKI Stefana Wesołowskiego do filmu „Męczeństwo Joanny d'Arc” Carla Dreyera oraz na projekcję „Amadeusza” Miloša Formana z orkiestrą i chórem na żywo – tyle że zdobycie biletów na ten ostatni seans może już graniczyć z cudem. BCH

Szczegóły: **timelessfilmfestival.pl**

13 NAGRODA ARCHITEKTONICZNA POLITYKI

Kompleksy bez kompleksów

Oto pięć różnorodnych obiektów, które powalczą o Nagrodę Architektoniczną POLITYKI: od monumentalnego muzeum, przez dwie rewitalizacje, po budynki socjalne i cmentarne.

PIOTR SARZYŃSKI

Publiczną dyskusję o architekturze zdominowały ostatnio dwa projekty: Pałac Saski i Centralny Port Komunikacyjny. A przecież budowlane codzienne życie toczyło się całkiem gdzie indziej, o czym przypomina kolejna edycja Nagrody Architektonicznej POLITYKI.

Deyan Sudjic w ciekawej książce „Kompleks gmachu" pisał, że „Architektura jest przede wszystkim sposobem na opowiedzenie o tych, dzięki którym powstaje". Intencje PiS były w tej kwestii jasne: wielkimi budowami pokazać swoją omnipotencję, łechtać narodowe sentymenty, snuć sny o potędze. Nie zdążyli. Ich następcy, nie rezygnując z odbudowy Pałacu Saskiego, równocześnie zarzucili plany wzniesienia siedziby polskiej Opery Królewskiej oraz nowego skrzydła Muzeum Narodowego w Warszawie. Ciemne chmury zebrały się także nad projektem adaptacji dawnego Hotelu Cracovia na filię Muzeum Narodowego w Krakowie. Cóż, niezbadane są ścieżki, jakimi pomykają myśli decydentów.

Społeczne emocje buzowały wokół wielkich projektów, ale polskie miasta i miasteczka toczyła banalność. Żyliśmy raczej sprawami mniej spektakularnymi, co nie znaczy, że błahymi. Dyskutowało się o patodeweloperce, betonozie, urbanistycznej arogancji czy wreszcie zapaści budownictwa mieszkaniowego, zarówno w wersji publicznej (program Mieszkanie Plus), jak i prywatnej (deweloperka). Pojawiały się wprawdzie ciekawe realizacje wielorodzinne (Nordic Bemowo w Warszawie, Naturia w Toruniu, Elektrownia Park Residence w Zamościu), ale tylko punktowo i raczej dla zamożnych.

A samo środowisko architektów? Na pewno dużym wydarzeniem, choć już początku tego roku, stał się awans zaprojektowanego przez rodaka obiektu do finału nagrody im. Miesa van der Rohe. Tym wyróżnionym jest „etatowy łowca nagród" Robert Konieczny i jego pracownia KWK Promes. Uhonorowano w ten sposób adaptację zrujnowanej rzeźni na galerię sztuki w czeskiej Ostrawie. Ciekawostką jest fakt, że na tzw. shortliście (40 najlepszych obiektów) znalazło się jeszcze jedno „polonicum", czyli nasz laureat sprzed roku – Targ Błonie pod Warszawą Aleksandry Wasilkowskiej. A tuż przed sukcesem Roberta Koniecznego ukazała się książka „Konieczny. Na styk", wartki w narracji reportaż rzeka o kolejnych realizacjach katowickiego architekta.

Z wystaw dało się zapamiętać „Zgruzowstanie 1945–49", fascynujący wizualny esej o powojennej odbudowie stolicy. Warto też odnotować, że po 30 latach kierowania najważniejszym na rynku pismem branżowym „Architektura-Murator" ze stanowiska redaktor naczelnej odeszła Ewa P. Porębska, jurorka Nagrody Architektonicznej POLITYKI od pierwszej edycji po dziś dzień. Życzymy powodzenia w nowych zawodowych wyzwaniach.

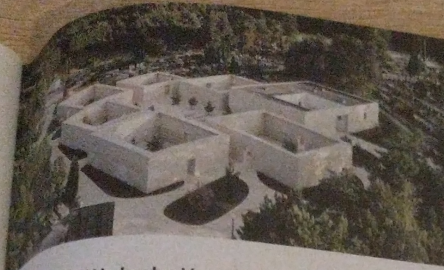
A teraz pora już przejść do finalistów naszej nagrody, czyli pięciu realizacji (łącznie zgłoszono ich aż 89!), które nominujący eksperci ze świata architektury uznali za najciekawsze w 2023 r.

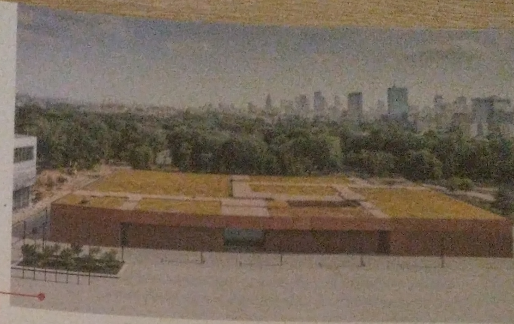


1 ▲ **Dom dla bezdomnych, Warszawa, xystudio.** O tym, że tzw. architektura socjalna nie musi kojarzyć się z kontenerami i biedapawilonami, po raz pierwszy przekonaliśmy się pięć lat temu, gdy do finału naszej nagrody dotarł i ją zdobył Dom dla bezdomnych w Jankowicach. I oto mamy nieduże *déjà vu*, bo i inwestor ten sam (Fundacja Domy Wspólnoty Chleb Życia Siostry Małgorzaty Chmielewskiej), i funkcja ta sama, i ten sam projektant. Warszawska pracownia ma już w swoim portfolio wiele świetnych realizacji żłobków, przedszkoli i szkół.

Nowy obiekt zbudowano na obrzeżach stolicy, w dość niewdzięcznym otoczeniu. Nad głowami przebiega ścieżka dla samolotów lądujących i startujących z lotniska Chopina, tuż obok – trasa szybkiego ruchu. Teren wokół jest dość zaniedbany, panuje typowy dla Polski podmiejski chaos urbanistyczny. Obiekt wnosi w tę przestrzeń pierwiastek ładu i estetycznej jakości i nawet rdzawa elewacja jest próbą spięcia w jednym miejscu występujących wokół dominujących kolorów. Architektura domu jest prosta, ale elegancka, a ciekawą dynamikę elewacji nadają niesymetrycznie umieszczone różnej wielkości okna. Ideą nadrzędną przyświecającą projektantom była funkcjonalność obiektu, choć nie brakuje nuty projektowego szaleństwa.

© JAKUB CERTOWICZ, WOJCIECH CIESIELSKI, MICHAŁ SZLAGA





2 ▲ Zespół kolumbariów na cmentarzu Komunalnym na Firleju, Radom, BDR Architekci. Współczesna architektura sepulkralna rzadko się wyróżnia. W Polsce mieliśmy w ostatnich dekadach zaledwie dwa przykłady, o których szerzej dyskutowano. Pierwszy to powstała w 1998 r. Brama do Miasta Zmarłych na cmentarzu Batowickim w Krakowie. Zaprojektował go znany architekt Romuald Loegler, nadając dekonstruktywistycznym formom silnie ekspresyjny charakter. Drugi to Kaplica Ostatniego Pożegnania w Rychwałdzie, autorstwa Jakuba Turbasa i Bartłomieja Pyrzyka, oddana do użytku w 2021 r., doskonale zespolona z otaczającą ją przyrodą, minimalistyczna w formie.
Radomska realizacja jest owocem konkursu architektonicznego rozstrzygniętego w 2017 r. Kolumbarium na 2000 nisz przewidziano w centralnej części cmentarza, na jego głównej osi. Cele były dwa. Po pierwsze, uporządkować część nekropolii, w której nie zbudowano planowanej niegdyś kaplicy ekumenicznej, ale powstał dom przedpogrzebowy, który należało sprawnie włączyć w nowy projekt. Po drugie zaś, miała to być odpowiedź na rosnące zapotrzebowanie na pochówek skremowanych zwłok. Radomska realizacja jest utrzymana w duchu minimalistycznej elegancji, podkreślanej poprzez wszechobecny biały kolor. Zadbano o szczegóły, akcenty zieleni, estetyczne dystrybutory wody.



© PIOTR KRAJEWSKI

3 ▲ Muzeum Historii Polski i Muzeum Wojska Polskiego, kompleks muzealny na warszawskiej Cytadeli, Pracownia WXCA. Powstałe w 2007 r. biuro architektoniczne wygrało konkurs na odbudowę Pałacu Saskiego, rewitalizowało Pola Mokotowskie, otrzymało nagrody w dwóch prestiżowych konkursach międzynarodowych (w Berlinie i w Incheon). Ponadto będzie realizować ogromny projekt FSO Park w stolicy, budować nową siedzibę Muzeum Powstania Wielkopolskiego oraz przebudowywać Teatr im. Żeromskiego w Kielcach. Kompleks obu warszawskich muzeów pozostaje wśród nich najbardziej prestiżowym projektem.

Pierwszy konkurs na siedzibę Muzeum Wojska Polskiego usytuowanego na Cytadeli rozstrzygnięto w… 1977 r., ale jego realizacji zaniechano. Muzeum Historii Polski miało być zbudowane nad Trasą Łazienkowską w pobliżu placu Na Rozdrożu (ogłoszony w 2009 r., konkurs zwyciężył zespół Bohdana Paczkowskiego z Luksemburga). Ostatecznie w 2015 r. podjęto decyzję o połączeniu obu tych placówek w jednym muzealnym kompleksie, w centrum Cytadeli.

W ubiegłym roku oba muzea otworzono, chwilowo tylko z wystawami tymczasowymi. Jest to inwestycja monumentalna. Gmach Muzeum Historii Polski ma powierzchnię 45 tys. m kw., na którą składają się cztery kondycje nadziemne i dwie podziemne. Sama przestrzeń wystawiennicza to 9 tys. m kw. Muzeum Wojska Polskiego składa się z dwu bliźniaczych obiektów, każdy o powierzchni 13 tys. m kw. Jeden ukończono, drugi zostanie oddany w najbliższych latach.

W ich architekturze nie brakuje symbolicznych odniesień, choć na szczęście nie dominują w estetycznym odbiorze całości. W przypadku Muzeum Wojska Polskiego będzie to rdzawy kolor elewacji nawiązujący do ceglanych zabudowań Cytadeli i motyw szewronu (wojskowa naszywka w kształcie litery „v") przewijający się w różnych miejscach obiektu. Muzeum Historii Polski udekorowano płaskorzeźbionymi fryzami inspirowanymi charakterystycznymi motywami z historii rodzimej architektury. A przy tym jest to architektura przyjazna ludziom i zapewniająca nie tylko komfort zwiedzania, ale i warunki przyjemnej rekreacji w otaczającym muzea parku.



4 ▲ Park Akcji „Burza" pod kopcem Powstania Warszawskiego, Warszawa, topoScape, Archigrest. Kopiec powstał po wojnie z gruzu warszawskich ruin. Przez wiele lat było to miejsce totalnie zaniedbane.

Projektanci stanęli przed wyzwaniem polegającym na połączeniu kilku funkcji tego terenu: martyrologicznej, przyrodniczej, edukacyjnej oraz rekreacyjnej. I wywiązali się z tego zadania ▶

▶ znakomicie. Wypoczynkowi służą rozwidlające się ścieżki spacerowe, znajdujący się u podnóża park zabaw oraz widokowo-wypoczynkowe „ambony” z ławkami i stolikami. Martyrologię wyznacza umieszczona na szczycie kopca monumentalna powstańcza „kotwica”. Edukacja to szereg tablic informujących zarówno o historii miejsca, jak i powojennej odbudowie stolicy, a także o otaczającej naturze. Świetnym zabiegiem jest podzielenie parku na strefy. Część stanowią dzikie zakątki, część zaś poddano zabiegom upiększającym (m.in. liczne nasadzenia drzew i krzewów). Nie ukryto, ale wręcz wyeksponowano wojenne gruzy, co przydaje parkowi niezwykłej aury.

5 ▲ Przebudowa dawnej stołówki Huty Pokój na placówkę ING Banku Śląskiego, Małeccy biuro projektowe, Ruda Śląska. Oczywiście przyjemniej by się czytało o placówce banku przerobionej na stołówkę (najlepiej dla ubogich), ale trzeba pogodzić się z faktem, że na efektowne rewitalizacje bardziej stać finansistów niż branżę gastronomiczną. A tu bynajmniej nie mówimy o kosmetycznych przeróbkach. Architekci dostali do przerobienia budynek do cna banalny, produkt tzw. masowej i pospiesznej pawilonowej zabudowy modernistycznej.

Dwa elementy zwracają szczególną uwagę. Po pierwsze – elewacja. Obłożono ją czarną klinkierową okładziną, której symboliczne nawiązanie do tradycji Górnego Śląska jest bardzo czytelne. Bryła nabrała elegancji, którą podkreśla jeszcze dobudowany obszerny balkon-taras otoczony jasną, ażurową, delikatną siatką. Duże lustrzane okna doskonale nawiązują relację z otoczeniem i szkoda tylko, że użytkownikowi zdarza się zasłaniać je autoreklamowymi banerami.

Drugi element to roślinność otaczająca budynek. Starannie dobrane ozdobne trawy i byliny, ułożone łanowo, z jednej strony niejako „zmiękczają” surowy pejzaż nieodległych terenów przemysłowych, a z drugiej nawiązują do lokalnej tradycji działkowych ogródków. Warto też wspomnieć, że zadbano o rozwiązania proekologiczne: fotowoltaikę, odzyskiwanie wody, ławki solarne itd. A także o bardzo przyjazne pracującym wnętrza.

PIOTR SARZYŃSKI

Laureata Grand Prix tegorocznej edycji Nagrody Architektonicznej POLITYKI spośród powyższej piątki wybierze specjalnie powołane jury, a naszych czytelników zapraszamy do wyboru własnego laureata. Głosować w plebiscycie można do niedzieli 14 kwietnia na stronie: **polityka.pl/architektura**. Tam również przedstawiamy naszych jurorów oraz nominujących, którym bardzo dziękujemy za pomoc w wyłonieniu finalistów.

Nagroda „Salonu”

MAŁGORZATA TOMCZYK

Już po raz drugi, dzięki zaangażowaniu kilkudziesięciu pracowni architektonicznych z całego kraju, wręczymy nagrodę magazynu „Salon” (wydania specjalnego POLITYKI) w świetnie dopełniającej nasze wybory kategorii „architektura wnętrz w obiektach użyteczności publicznej” (zapraszamy również na stronę **polityka.pl/salon**). W tym roku do Grand Prix nominowane zostały trzy realizacje, a zwycięzcę poznamy w czerwcu na wspólnej gali obu konkursów.

1 ▼ Galeria 1 Piętro, Warszawa, Piotr Kalinowski, Katarzyna Majer-Hola, MIXD. „Staraliśmy się jak najbardziej twórczo podejść do przestrzeni. Mamy sporo doświadczeń w projektowaniu ze sztuką, ale tutaj po raz pierwszy była ona punktem wyjścia do naszej pracy” – wyjaśniali autorzy. Projekt wnętrz biurowo-konferencyjnych (2500 m kw.) z publiczną ekspozycją kolekcji Fundacji Sztuki Polskiej ING (120 prac współczesnych artystów) przygotowano we wrocławskiej pracowni architektonicznej MIXD. To przestrzeń stworzona dla budowania relacji międzyludzkich, w której pierwszoplanową rolę gra sztuka, stwarzając pretekst do refleksji i rozmowy.

Architekci zrezygnowali z białych muzealnych ścian, kreując wnętrza bardziej hotelowe, pełne kolorów, wzorów i faktur. Znajdziemy nawiązania do klasycznych rozwiązań wystawienniczych, chociażby charakterystyczne nisze, pałacowe łuki. W ich oprawie fotografia Zofii Kulik „Wspaniałość siebie III”, na której artystka przypomina królową Elżbietę II, prezentuje się niczym w galerii Zachęta. Oprócz pomieszczeń dostępnych tylko dla pracowników ING zaprojektowano strefę otwartą dla wszystkich chętnych – z kącikami do spotkań, wspólnym stołem do pracy i kawiarnią PrzeLew.



AŁGORZATA
TOMCZYK

udziesięciu
u, wręczy-
pecjalnego
ory katego-
ści publicz-
on). W tym
cje, a zwy-
kursów.

inowski,
ak najbar-
doświad-
y była ona
y. Projekt
czną eks-
c współ-
cowni ar-
dowania
a sztuka,

kreując
ur. Znaj-
niczych,
oprawie
artystka
y galerii
cowni-
ętnych
kawiar-



2 ▲ Budynek edukacyjny, Marszewo, Marcin Gierbienis, Damian Poklewski-Koziełł, Gierbienis + Poklewski s.c. „Projekt budynku edukacyjnego w Leśnym Ogrodzie Botanicznym Marszewo był dla nas przełomowy: pozwolił założyć pracownię architektoniczną i spełnić marzenie o realizacji obiektu eko w całości drewnianego, z wykorzystaniem technologii drewna klejonego krzyżowo (CLT). O tym, jak trudne to było wyzwanie, świadczy fakt, że od szkiców koncepcyjnych do oddania budynku do użytku minęło 8 lat" – opisują projektanci. Rozproszone bryły obiektu, spięte jednorodnym ogrodzeniem, nawiązują do archetypu stodoły. Zostały tak wymyślone, aby umożliwiać różnorodne wykorzystywanie przestrzeni.

Technologia CLT jest coraz bardziej ceniona na świecie, ale po raz pierwszy zastosowano ją całościowo w polskim obiekcie użyteczności publicznej. Panele architekci uznali za na tyle wartościowe, że wyeksponowali je we wnętrzu, rezygnując z dodatkowego wykończenia. Postawili na industrialną estetykę, stąd wszelkie łączenia, przekroje przegród, jak i instalacji są dobrze widoczne. A zastosowane w pomieszczeniach drewno wpływa pozytywnie na komfort, kojarzy się z bezpieczeństwem. Pozostaje w kontraście z czarną, opalaną okładziną fasady, która pozwoliła wtopić obiekt w leśny pejzaż.

3 ▼ Grand Hotel, Łódź, wewnętrzny zespół architektów zatrudnionych przez firmę Holding Liwa, Grażyna Grzybek, Dariusz Maryszewski. Podczas trwającej cztery lata rewitalizacji zabytkowych wnętrz słynnego gmachu z pietyzmem przywrócono im wytworność. Zajęła się tym rodzina Likusów, specjalistów od przywracania blasku legendarnym polskim hotelom. Warstwa po warstwie usunięto kolejne struktury tynków, PRL-owskich boazerii, meblościanek, farb olejnych, aż udało się odsłonić oryginalne fragmenty XIX-wiecznych fresków, sztukaterii i połączyć je z minimalistycznym wystrojem.

Na swoje miejsce wróciły Café Grand i teatr. Są indywidualnie zaprojektowane apartamenty, wyjątkowe przestrzenie eventowe, SPA z basenem oraz dwie restauracje. Na wewnętrznym skrzydle powstały tarasy z zielenią, których częścią są sale wystawiennicze w ogrodach, bo Grand wiąże się jak za dawnych dobrych lat ze światem sztuki. Wśród zastosowanych szlachetnych materiałów dominują dąb i orzech. Towarzyszą im naturalny kamień, marmury, patynowany mosiądz oraz szkło.



© BARTEK BARCZYK, MOOD AUTHORS

Rzym, pokaz „Amadeusza" z udziałem chóru i orkiestry.



Żywa klasyka

Kino pomagało mi radzić sobie ze światem, z moimi problemami. Duże słowa, ale tak było – mówi Roman Gutek, dyrektor i pomysłodawca nowego festiwalu starego kina Timeless Film Festival Warsaw.

JANUSZ WRÓBLEWSKI: **– Wolisz określenie „stare filmy" czy „klasyka"?**

ROMAN GUTEK: – Filmy ponadczasowe. Długo szukaliśmy odpowiedniej nazwy dla naszego festiwalu. Określenia „kanon" czy „klasyka" brzmią akademicko. Młodzi uważają filmy sprzed 70, 80 lat za starocie i niechętnie je oglądają. Od osób zasiadających w komisjach egzaminacyjnych na uczelnie wiem, że dla maturzystów zdających na filmoznawstwo kino zaczyna się od Tarantina.

Co to są filmy ponadczasowe?

Filmy, z którymi czas obszedł się łaskawie, nietracące znaczenia ani wartości. Takie, które zawsze, bez względu na to, kiedy powstały, dobrze się ogląda i do których chętnie się wraca. Uniwersalne i zawsze aktualne.

Kto o tym decyduje?

Kanon tworzą historycy i krytycy filmowi, osoby programujące festiwale, ale także sami widzowie. Nieustannie się on zmienia. Brytyjski miesięcznik „Sight and Sound" co dziesięć lat aktualizuje listę najwybitniejszych filmów. Przed dekadą czołówka top 10 wyglądała zupełnie inaczej niż teraz. „2001: Odyseja kosmiczna", „Zawrót głowy", „Obywatel Kane" zostały zdetronizowane na rzecz trzyipółgodzinnego awangardowego dramatu belgijskiej reżyserki Chantal Akerman „Jeanne Dielman, Bulwar Handlowy, 1080 Bruksela", który wcześniej znajdował się poza pierwszą setką. Świadczy to o tym, że gusta i mody się zmieniają, klasyka nie jest żadną świętością, a nowe pokolenia patrzą na dorobek filmowy inaczej.

Wyostrza się wrażliwość, zmieniają obyczaje, inne są potrzeby widzów i kanon podlega erozji, ewoluuje. Stworzyliście festiwal, żeby to sprawdzić?

Na pewno był to jeden z powodów. Klasyka zawsze była mi bliska. Pierwsze „kinowe" filmy oglądałem w remizie na lubelskiej wsi, gdzie się wychowałem. Mój sąsiad otworzył mi oczy na Bergmana, Antonioniego, Wajdę. Dużo o nich rozmawialiśmy. Zrozumiałem, że kino to nie tylko pościgi, strzelający kowboje i Indianie, że filmy mogą też mówić o sprawach ważnych, zadawać pytania dotyczące wiary czy relacji kobiety i mężczyzny. Kiedy przyjechałem do stolicy na studia, wolny czas spędzałem głównie w Iluzjonie mieszczącym się wtedy w kinie Polonia. We wrześniu 1980 r. profesor Aleksander Jackiewicz na zjeździe dekaefów w Częstochowie po wykładzie zapowiedział, że otwiera w Instytucie Sztuki PAN studia doktoranckie z antropologii kina. Chociaż o żadnym doktoracie nie myślałem, spytałem, czy nie mógłbym przynajmniej filmów na jego seminarium oglądać. Przyjął mnie jako wolnego słuchacza i w ten sposób przez cztery lata zrobiłem kurs historii i teorii kina.

Dzięki rekonstrukcjom cyfrowym, ale i rozwojowi streamingu klasyka dostała drugie życie w sieci. Warto ją jeszcze pokazywać również na dużym ekranie?

To ma ogromne znaczenie. Michał Oleszczyk swoje okrągłe urodziny uczcił,

© MUSACCHIO & IANNIELLO

zestawiając setkę najlepszych według niego filmów w dziejach kina. Pierwszą dziesiątkę, m.in. „Światła wielkiego miasta" Chaplina i „Sherlock Jr" Keatona, pokazaliśmy w Muranowie. Przyszły tłumy. W dyskusjach po pokazach wszyscy podkreślali, że w telewizji czy na ekranie komputera nie widać szczegółów scenografii, nie da się docenić perfekcji realizacji. Oprócz wysokiej jakości obrazu liczyły się emocje, to, że publiczność stworzyła wspólnotę oglądania. Mnie nie ciągnie już do oglądania pięciu filmów dziennie w poszukiwaniu arcydzieła, które kiedyś może stanie się klasykiem. Szkoda na to czasu. Wolę pójść na coś sprawdzonego, ponadczasowego.

Po jakim czasie film staje się klasyką?

Data powstania filmu nie ma większego znaczenia. Na naszym festiwalu obok filmów niemych pokazujemy te sprzed pięciu lat, a nawet jeszcze młodsze. Jednym z celów, jakie sobie stawiamy, jest przyjrzenie się rozwojowi języka filmowego, wzajemnych inspiracji. Ile jest np. Sjöströma u Bergmana albo Hitchcocka w Lynchu? Jak poszczególne epoki odbijały się na ekranie? Nie stawiamy sobie żadnych ograniczeń. W związku z kinowymi premierami dwóch nowych produkcji Wendersa przypominamy sześć jego wcześniejszych dzieł. Pokażemy też współczesny film niemy Ryûsuke Hamaguchiego, autora oscarowego „Drive My Car". Stałą współpracowniczką Japończyka jest kompozytorka Eiko Ishibashi. W przypadku projektu, o którym mowa, role się odwróciły. To ona poprosiła reżysera, żeby zrobił wizualizację do jej muzyki. Tak powstał „GIFT" poświęcony naturze, który jest pokazywany tylko z muzyką graną na żywo. I tak też będzie w Warszawie.

Podobne aspiracje przyświecają festiwalowi Lumière w Lyonie. Są też inne międzynarodowe przeglądy poświęcone klasyce. Coś was odróżnia?

One są dla nas inspiracją, zwłaszcza boloński Il Cinema Ritrovato. Każdy festiwal jest inny. My stawiamy na autorski dobór filmów. Program zależy w dużej mierze od gustów i zainteresowań osób programujących festiwal. My też chcemy młodym ludziom odkrywać, przybliżać i objaśniać klasykę. Zaprosiłem do współpracy kilka osób i tworzymy nowy festiwal. Nie jest łatwo, bo nie mam ani biura, ani stałych pracowników, a klasyka nie jest spektakularna, mało osób rozumie również potrzebę pokazywania staroci. Nie byłoby Timeless FFW bez finansowego wsparcia firmy Gutek Film oraz pomocy doświadczonych osób ze Stowarzyszenia Nowe Horyzonty. Pierwsze publiczne pieniądze zagwarantował Radosław Śmigulski, dyrektor Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej. Dotacje przyznały także Ministerstwo Kultury oraz miasto Warszawa.

Wielu widzów układa własne listy ulubionych gatunków, reżyserów, epok. Może festiwal nie jest im jednak do niczego potrzebny?

Oferta jest tak duża, że jeden człowiek nie ogarnie już wszystkiego. Istnieją różne nisze i getta filmowych maniaków. Popularnością cieszą się nie tylko arcydzieła, ale i najgorsze produkcje świata, kino klasy B. Młodzi potrzebują też przewodników. Od tego są właśnie selekcjonerzy, programerzy, kuratorzy. Jestem jednym z nich. Nie działam sam. Świadomie pracuję z młodym zespołem. Podpowiadamy widzom, a oni, mam nadzieję, nam ufają. Przy Timeless pracują m.in. Patrycja Mucha, krytyczka filmowa i współtwórczyni podkastu „Wtem, piosenka" poświęconego musicalom. Oraz Sebastian Smoliński, amerykanista, współprowadzący podkast „Foreign Correspondents: Deeper into Hitchcock". Maja Banasiak, producentka festiwalu, świetnie radzi sobie z milionem organizacyjnych drobiazgów. Oni lepiej rozumieją swoich rówieśników i świetnie poruszają się we współczesnych mediach. Mimo że mamy odmienne filmowe gusty i inne podejście do pracy, to wzajemnie się inspirujemy, a różnice nas napędzają.

Jerzy Pilch żartował, że kanon literacki to książki, których nikt nie czyta dobrowolnie. Analogicznie – kanon filmowy to kino, które ogląda się z musu?

Klasyka kojarzy się z lekturami. A nic tak nie odstręcza od uczestnictwa w kulturze jak przymus. Tej obowiązkowości staramy się unikać jak ognia. Stąd programowa różnorodność. Obok niemych filmów. m.in. Carla Dreyera z udziałem Orkiestry i Chóru Filharmonii Narodowej, prezentujemy muzykę filmową Wima Mertensa na fortepian solo i głos oraz „Amadeusza" z muzyką na żywo w Operze Narodowej. Z drugiej strony pokażemy prawie sześciogodzinny fresk „Wiek XX" Bernarda Bertolucciego czy cyfrowo odnowioną ostatnio japońską „Godzillę". Przypomnimy „Siedmiu samurajów". Będą klasyczne horrory, musicale, japońskie animacje ze studia Ghibli. W żadnym wypadku nie będzie to nabożny, skostniały kanon filmowy.

Przy tak różnych kryteriach, jeśli każdy patrzy nieco inaczej na kino, najbardziej liczy się siła wzbudzanych emocji?

Także forma. Najszybciej starzeje się pusta konwencja. Przeintelektualizowana estetyka Godarda trąci dziś moim zdaniem myszką. Kiedyś „Made in USA" czy „Wiatr od wschodu" były rewolucyjne. Teraz to naiwne, ideologiczne ramotki. Im jestem starszy, tym bardziej szukam w sztuce przede wszystkim ponadczasowych wartości. Wiadomo też, że najmocniej odciskają się w pamięci filmy obejrzane w młodości. Wtedy ▶

▶ jesteśmy bezkompromisowi, mamy dziewiczą wrażliwość, nie sugerujemy się cudzymi opiniami. Coś się podoba albo nie. Za jeden z moich najważniejszych filmów uznaję „Zwierciadło" Tarkowskiego. Widziałem je raz w życiu. Przeżycie było tak silne, że boję się wrócić, żeby się nie rozczarować.

Obejrzałeś jakiś film naście razy?

Nie. Za to kilka razy z rzędu poszedłem na „Człowieka słonia" Lyncha. W 1981 r. w kinie Femina, w trakcie tygodnia filmów brytyjskich. Zobaczywszy ten film pierwszy raz, zaprosiłem na kolejny seans moją przyszłą żonę, bo chciałem się z nią podzielić emocjami. Potem instynktownie poszedłem trzeci raz. Nie wiem dlaczego. Kino pomagało mi radzić sobie ze światem, z moimi problemami. Duże słowa, ale tak było.

Brakowało psychoanalityków, nie wierzyło się księdzu, to się chodziło do kina.

Dokładnie. Kiedy się jest nastolatkiem, do tego programowym outsiderem, dręczą cię rozmaite pytania. Podpierając się frazą Marii Janion, szukałem na ekranie odmieńców, galerników wrażliwości, i kiedy ich znajdowałem, było mi łatwiej, bo czułem, że nie jestem sam.

Czasami docenia się filmy, które w młodości wydawały się słabsze. Ja tak miałem np. z „Rejsem".

Widziałem niedawno „Ostatni dzień lata" Konwickiego z 1958 r. Piękny, poetycki, cichy dramat. Nic się nie zestarzał.

Z polską klasyką jest taki kłopot, że to, co nam się podoba, bywa niezrozumiałe za granicą. Przykładowo „Dzień świra" nie zrobił kariery w Europie, chociaż to ścisła czołówka i kwintesencja polskości.

To samo da się powiedzieć np. o „Jak daleko stąd, jak blisko" Konwickiego. Symboliczny obraz, który niejednokrotnie polecałem zagranicznym selekcjonerom – bezskutecznie. W przyszłości na Timeless planujemy, wspólnie z WFDiF i Jędrzejem Sablińskim z DI Factory, zorganizować międzynarodowe targi, żeby promować polską klasykę. Wajda, Has, Zanussi, Skolimowski są wystarczająco znani na świecie. My będziemy zapraszać wpływowych ludzi z branży i pokazywać im równie ciekawe tytuły, o których zapewne nie słyszeli. Takie jak „Angelus" Lecha Majewskiego, który został ostatnio odnowiony cyfrowo i miał szansę dostać się do sekcji klasyki Cannes, ale został uznany za zbyt lokalny. Albo „Człowiek na torze" Munka. Skoro Irańczycy przebijają się do światowego obiegu z trudnymi tematami, nam też powinno się udać.



Roman Gutek (ur. 1958 r.) – działacz kulturalny, twórca Warszawskiego Festiwalu Filmowego i współzałożyciel firmy Gutek Film, która w tym roku obchodzi 30-lecie istnienia. Właściciel kina Muranów, organizator festiwalu Nowe Horyzonty, a także American Film Festival, laureat specjalnej nagrody Kreator Kultury przyznawanej przy okazji Paszportów POLITYKI. Szczegóły programu festiwalowego: **timelessfilmfestival.pl**

Jakie filmy robią na tobie obecnie wrażenie?

Bliskie jest mi teraz kino minimalistyczne, radykalne. Takie jak „Koń turyński" Béli Tarra, inny węgierski film „Zmierzch", „Ciche światło" Carlosa Reygadasa. A jeśli pytasz o moją prywatną dziesiątkę, top wszech czasów, jest trochę inna niż parę lat temu. Niezmiennie są na tej liście „Zwierciadło" i „Człowiek słoń", oprócz tego „Jesienna sonata" Bergmana, „Kieszonkowiec" Bressona, „Śmierć w Wenecji" Viscontiego, „Zagadka Kaspara Hausera" Herzoga, „Zielony pokój" Truffauta, coś Larsa von Triera i Sama Peckinpaha. Z polskiego repertuaru „Piłat i inni" Wajdy, „Szpital Przemienienia" Żebrowskiego.

Prawie wszystko z przełomu lat 60. i 70. Przemawia przez ciebie nostalgia.

Tak, w tym czasie kształtowały się moje filmowe i muzyczne gusty. Ale staram się nie patrzeć wąsko. Na początku lipca jadę do Paryża na pokaz odrestaurowanej, prawie kompletnej, trwającej siedem godzin wersji „Napoleona" Abla Gance'a z 1927 r. Z udziałem 250-osobowej orkiestry. Będzie pokazywana w ogromnej hali. Marzy mi się, aby powtórzyć to w Warszawie. Koszty są zawrotne. Pokaz w Paryżu finansują publiczne instytucje. Nam też potrzebni są instytucjonalni i komercyjni partnerzy. Chciałbym to zorganizować w bliskiej współpracy z Filmoteką Narodową – Instytutem Audiowizualnym i żeby ta instytucja stała się współorganizatorem festiwalu. FINA to naturalny partner takiego wydarzenia jak Timeless FFW. Prowadzi też Iluzjon, jedyne w Polsce kino prezentujące tylko filmy archiwalne, gdyż korzysta ze specjalnych przywilejów. Wierzę, że świetnie można wykorzystać moje doświadczenie oraz synergię między festiwalem Timeless, FINA i Iluzjonem. Potencjał jest ogromny i jestem przekonany, że zytura. Kiedyś już, ze Sławkiem Salamonem i Andrzejem Wójtowiczem, prowadziłem Iluzjon. Mieścił się wówczas w nieistniejącym dziś kinie Śląsk przy Żurawiej. Było to w 1989 r., pół kilometra dalej na placu Konstytucji mieścił się sztab wyborczy Solidarności. Zmieniał się świat. A teraz chciałbym do Iluzjonu wrócić. Do końca maja ma zostać wybrany nowy szef FINA. Umówię się na rozmowę i zaproponuję współpracę.

Oporu chyba nie będzie.

Tym bardziej że ideę festiwalu wspierają wielkie nazwiska.

Bardzo się z tego cieszę. To zasługa Jakuba Duszyńskiego z Gutek Film, że doprowadził do tego, iż patronami naszego festiwalu są Pedro Almodóvar, Agnieszka Holland, Jim Jarmusch, Alice Rohrwacher, Jerzy Skolimowski, Tilda Swinton oraz Wim Wenders. Każdemu z nich przedstawiliśmy ideę festiwalu i wstępny program. Trochę to trwało, lecz wszyscy zgodzili się udzielić wsparcia. To honorowa funkcja. Bezinteresownie wspierają ideę Timeless, by razem promować nieoczywistą klasykę. Jesteśmy też w kontakcie z Martinem Scorsesem i jego fundacją promującą klasykę – i liczymy, że przy kolejnych edycjach do nas dołączy.

Kilka lat temu zbulwersowałeś środowisko, ogłaszając przejście na emeryturę. Podlasie SlowFest miał być ostatnim akordem twojej działalności organizacyjno-kuratorskiej. Tymczasem wracasz, co się zmieniło?

Rzeczywiście parę lat temu świadomie zacząłem rezygnować z różnych aktywności, myślałem o zamieszkaniu na Podlasiu i robieniu tam SlowFest. Joga, wegetarianie i rowerzyści nie spodobali się ówczesnej lokalnej władzy. Mimo że na pierwszą edycję przyjechało 15 tys. uczestników, a festiwal fajnie się rozwijał, otrzymałem z podlaskiego urzędu marszałkowskiego jednozdaniowe pismo, że SlowFest nie dostanie środków na kolejny rok. Nie mogłem ciągle dokładać własnych pieniędzy i wycofałem się z Supraśla. Ciągle mam jeszcze sporo energii, uciekam od rutyny, ciągną mnie nowe wyzwania, chcę robić coś dla innych i dzielić się bliskimi mi filmami. To ma sens i to mnie motywuje i rozwija. Wiem też, że inspiruje innych.

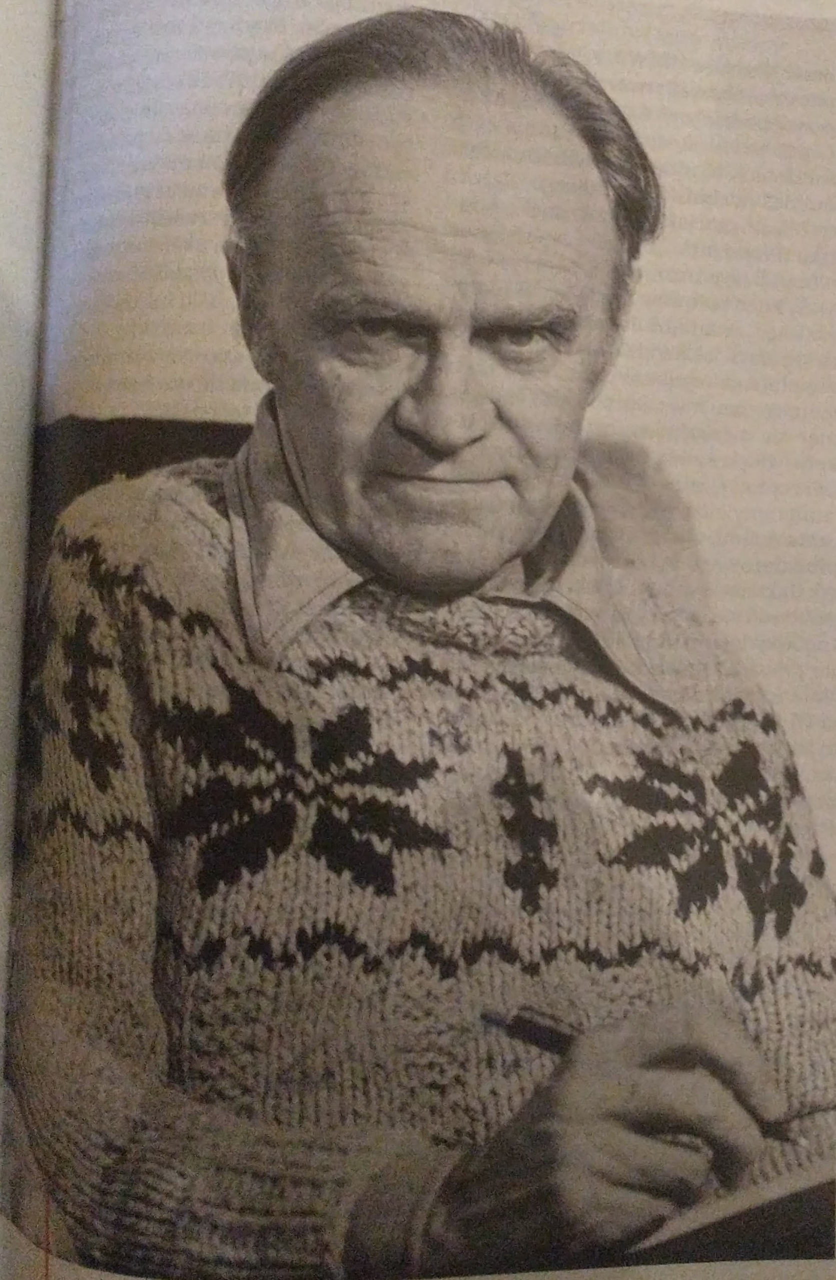
Masz jeszcze jakieś marzenia?

Od niedawna mamy rodzinny dom w lesie, niecałe 100 km od Warszawy. Chcę spędzać tam więcej czasu i mieć fajną przestrzeń do pracy nad rozwojem festiwalu, wymyślać różne cykle filmowe i retrospektywy. Mam nadzieję, że będę spędzał więcej czasu z wnukami. Szybko dorastają, więc z nimi także będę się dzielił moimi ulubionymi filmami. Tak jak kiedyś mój sąsiad ze mną.

ROZMAWIAŁ JANUSZ WRÓBLEWSKI

Twardy, ale pogubiony

Świadomość, jak okrutną i zabagnioną sferą bywało podziemie, tkwiła jak drzazga w osobowości Romana Bratnego – mówi Emil Marat, autor biografii pisarza.



© PIOTR JAŚKOW/EAST NEWS

Roman Bratny (właśc. Roman Mularczyk, 1921–2017) – prozaik, poeta, scenarzysta, w czasie okupacji żołnierz Armii Krajowej, powstaniec warszawski. Autor wielu powieści, najsłynniejsza to „Kolumbowie. Rocznik 20” (1957 r.), zekranizowana przez Janusza Morgensterna (1970 r.).

JUSTYNA SOBOLEWSKA: **Roman Bratny zniknął na długo, zanim zmarł w 2017 r. Był zapomnianym autorem „Kolumbów”, którego nazwisko kojarzyło się z piosenką Elektrycznych Gitar: „…twardy bądź jak Roman Bratny”. Pana biografia „Bratny. Hamlet rozstrzelany” pokazuje postać skomplikowaną i pełną sprzeczności.**

EMIL MARAT: – Świadomie nie wspominam o tym wersie, który stał się dla wielu jakimś odruchowym odzewem na hasło „Bratny”, takim memem. Nie chciałem, żeby to była biografia złożona z anegdot. Sporo osób myślało, że Bratny umarł gdzieś w latach 90., a on spędzał starość głównie na Mazurach i rzeczywiście zamilkł, jakby go nie było. Mam wrażenie, że rozczarował się rzeczywistością, która nie chciała mu się podporządkować, a miał w sobie pierwiastek działacza. Słowo i czyn to miało być jedno. To mu zostało z czasów okupacyjnych. A od lat 80. działać już nie mógł, był na marginesie.

Nic nie zmienia jednak faktu, że był autorem „Kolumbów” i wbrew krytykom ta książka przyczyniła się nie tyle do przetrwania mitu, ile do żywotności naszych wyobrażeń o młodych ludziach walczących w konspiracji i w powstaniu warszawskim. Bez tej książki i później filmu Janusza Morgensterna być może byłaby to tylko domena patriotycznych uroczystości, akademii i celebry. Tymczasem Kolumbowie byli pożywką dla żywej pamięci.

Najpierw była opowieść „Made in Poland”, rozmowa ze Stanisławem Likiernikiem, którą przeprowadziliście z Michałem Wójcikiem. To był początek zainteresowania „Kolumbami” i ich autorem?

Biografia Bratnego jest dopełnieniem trylogii – Stanisław Likiernik był pierwszym pierwowzorem Kolumba, czyli Staszka Skiernika, tym z dwu tomów książki. Potem był reportaż „Sen Kolumba” o Krzysztofie Sobieszczańskim, czyli Skierniku – Kolumbie z trzeciego tomu. I po tych dwu postaciach przyszła kolej na Bratnego. Pewnie jeszcze wcześniej było zaciekawienie, skąd on to wszystko wziął.

Interesowało mnie również napięcie, jakaś oczywista niespójność w Bratnym – są kultowi „Kolumbowie”, a lata później powstaje „Rok w trumnie”. Sprzeczności jest więcej: oto pisze świetne opowiadanie „Naganiacz”, a chwilę później de facto przystaje do moczarowców. Gdzieniegdzie ▶

▶ używa kalk antysemickich, a z drugiej strony całe życie przestaje z przyjaciółmi pochodzenia żydowskiego i pisze zupełnie „niepoprawne" rzeczy o szmalcownikach, o „złotych żniwach". To się nie składało w całość. Na pewno nie jest tak, jak często się to określa, że była to jednoznacznie negatywna postać. Nie była.

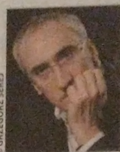
Pokazuje pan postać tragiczną. Nie widział, że zmierza do klęski, czy nie potrafił się wycofać?

To był człowiek, który w jakimś sensie przegrał siebie, owszem. Wypierał się samego siebie. Mało osób wiedziało o pierwszej części jego życia, wszystko się redukowało do powstania warszawskiego i „Kolumbów". A było jeszcze przywiązanie do młodzieńczego sposobu myślenia, koncepcje narodowe, konspiracyjne pismo „Dźwigary" i poezja. On przede wszystkim czuł się poetą, pisał przez całą okupację i choćby Tadeusz Gajcy cenił jego wiersze, podobnie jak poetycki patron Bratnego – Julian Przyboś. To było decydujące. Twierdził, że rolą literatury jest zmienianie rzeczywistości. To mu po wojnie zostało, ale nie zorientował się, że to rzeczywistość wpłynęła na jego literaturę, a nie odwrotnie. Napisał sporo ciekawych rzeczy, literacko lepszych i gorszych, ale już nic mocniejszego niż „Kolumbowie".

Jego ojciec był oficerem. Wyrastał w patriotycznym kulcie, znał „Anhellego" na pamięć, to mit silnej Polski go ukształtował?

Tak. Dorastał w atmosferze marszowej potęgi Polski. Gdy nastąpiła katastrofa 1939 r. – prawdziwa trauma dla tego pokolenia – Bratny starał się zaprząc poezję w projekty zmiany świata. Snuł plany, jak zrobić, żeby Polska się odrodziła i było dla niego jasne, że po wojnie to musi być zupełnie inny kraj. Jego deklaracje polityczne w tamtym czasie były nacjonalistyczne, faszyzujące, bliskie Konfederacji Narodu. Był związany z organizacją Miecz i Pług, wyznawał ideologię siły i potęgi. Podobały mu się idee Bolesława Piaseckiego – stworzenie po wojnie pansłowiańskiego imperium w przewidywaniu, że we wzajemnej walce padną Rosja i Niemcy. Ale w przeciwieństwie do starszych działaczy odrzucał możliwość współpracy z Niemcami. Po tym, co widział w getcie, po obrazach ulicznych egzekucji, nie był po tej stronie, która dopuszczała współpracę z Niemcami przeciw komunizmowi. A po ujawnieniu Katynia nie było to wcale takie rzadkie stanowisko w środowiskach konspiracyjnych.

Obraz konspiracji jest bardzo skomplikowany: wielość organizacji, infiltracja



© GRZEGORZ SEREJ

Emil Marat (ur. 1971 r.) – pisarz i dziennikarz. Jest autorem książek: „Studnie Norymbergi", „Szkło", „Sen Kolumba" i współautorem (z Michałem Wójcikiem) „Ptaków drapieżnych", „Wojna nadejdzie jutro" i „Made in Poland", za którą autorzy otrzymali Nagrodę Historyczną POLITYKI. Biografia „Bratny. Hamlet rozstrzelany" właśnie ukazała się w wydawnictwie Czarne.

przez Niemców i NKWD, a jednocześnie młodzi próbowali stworzyć ruch ponad podziałami. Czy im się udało?

Ci młodzi ludzie, zarówno prawica, czyli Konfederacja Narodu, środowisko „Sztuki i Narodu" Trzebińskiego i Gajcego, „Dźwigary" Bratnego, jak i lewica, czyli środowisko „Płomieni" i „Drogi" – oni wszyscy próbowali się porozumieć i stworzyć swój słynny Ruch Kulturowy. To było coś niesamowitego, że młodzi literaci, twórcy, poeci, stworzyli jakiś rodzaj alternatywy czy uzupełnienia regularnych struktur podziemnego państwa. Oprócz walki chcieli zająć się mentalnym rozwojem społeczeństwa po katastrofie. Nie zdawałem sobie sprawy, że to było tak intensywne. Pamiętamy zazwyczaj tylko o bieganiu z karabinami, ale ta druga strona ruchu młodzieżowego była bardzo silna. Jednak dokładnie w czasie, kiedy ci młodzi próbowali się łączyć, na szczytach Armii Krajowej dokonywały się kainowe zbrodnie, prawica zabijała lewicujących szefów Biura Informacji i Propagandy – Ludwika Widerszala i Jerzego Makowieckiego. To jak jakaś straszliwa demoniczna groteska… Po wojnie świadomość, jaką okrutną i zabagnioną sferą bywało podziemie, była drzazgą w osobowości Bratnego.

„Kolumbowie. Rocznik 20", którzy ukazali się w czasie odwilży, stworzyli mit powstańczy czy demitologizowali powstanie?

Ha! I jedno, i drugie. „Kolumbowie" ukształtowali wyobrażenia kilku pokoleń o podziemiu. Bratny buduje mit Kolumbów, ale sprawia, że mit jest bliski zwykłym ludziom, bo jego bohaterowie byli zwyczajnymi, czującymi, awanturującymi, kochającymi się młodymi ludźmi. Były wcześniej „Kanał" i „Popiół i diament", ale to „Kolumbowie" chwycili najbardziej. Od końca wojny przez całe lata pamięć o powstaniu była, jak pisze w głośnej książce „Powstanie umarłych" Marcin Napiórkowski, rozbita na dwa toposy: konduktu i pochodu. Kondukt to ci, którzy domagali się uczczenia pamięci, stawiania pomników i odbycia żałoby, a pochód to byli ci, którzy mówili: „Zostawmy przeszłość, idźmy do przodu, partia prowadzi". Kolumbowie z „Kolumbów" byli gdzieś pośrodku.

Bratny pokazuje w trzecim tomie, jak ci ludzie balansują na linie rozpiętej między pochodem i konduktem, jak są rozdarci pomiędzy traumą i pamięcią a chęcią życia i zmiany. Bratny utożsamia się z tymi, którzy mówią „idźmy do przodu", ale z poszanowaniem pamięci o tych, którzy zginęli w tej tragedii – bo powstanie było dla niego tragedią, a nie żadnym aktem strzelistym. Skądinąd według przekazów sam walczył w powstaniu dzielnie i brawurowo. Parę osób zawdzięcza mu życie. Pamięć o AK była po wojnie, jak wiadomo, koncesjonowana, co paradoksalnie wzmocniło „Kolumbów" i ich mitotwórczą rolę. Znaczenie miała również ekranizacja Morgensterna z 1970 r. Bratny pisał scenariusz. Ludzie z kolejnego pokolenia często najpierw oglądali ten świetny serial, potem wracali do książki, która osiągnęła ponad milion nakładu.

Kiedy stał się czarnym charakterem? I skąd się brała się wewnętrzna sprzeczność tej postaci?

Bagaż z młodości – nacjonalizm, poezja, socrealizm, „Kolumbowie", przełom lat 50. i 60., no i rok 1968 – to stanowi jakiś supeł w tym człowieku, który próbuję w książce rozplątać, rozwikłać. Nie jest to takie proste, gdy nie chce się nadmiernie psychologizować. Dlatego staram się budować szeroki kontekst wydarzeń i decyzji. Nie można Bratnego określić jednoznacznie mianem cynika czy poplecznika władzy. Stał na stanowisku – nie on jeden zresztą – że skoro socjalizm ma trwać wiecznie, to trzeba ten socjalizm unarodowić, żeby Polska przetrwała. Ale to poszło o wiele za daleko. I w 1968 r. nastąpiła tragedia, potem konsternacja. Pod koniec lat 70. przekraczał kolejną granicę, od której nie było odwrotu, zdawał się mieć obsesję na punkcie KOR-u. Jego zdaniem każdy ruch sprzeciwu politycznego może prowadzić do armagedonu, po którym nie będzie nawet tej kulawej peerelowskiej wolności i Polski jako kraju. No a później… „Rok w trumnie".

Były takie momenty, kiedy odrzucało pana od bohatera książki?

Wiedziałem o tych najgorszych rzeczach w publicystyce Bratnego wcześniej, nie byłem zaskoczony, starałem się zrozumieć, dlaczego tak było. I być może skala komplikacji jego motywacji mnie zaskoczyła, okazało się, że nic nie było proste. Oczywiście wiedziałem, że „Rok w trumnie" można traktować jako rzecz nieprzyzwoitą. W czasie kiedy ginął

Grzegorz Przemyk, ta książka schodziła z maszyn drukarskich. Bratny, ten poczytny pisarz, tworzy książkę, w której ośmiesza i wyszydza wspólnotową energię, ideały Solidarności.

Dlaczego to zrobił?

Próbuję to zrozumieć, kiedy piszę o zakamarkach w jego duszy. Był pejorystą, nie wierzył w żadne pozytywne działania, widział, co się działo w konspiracji, uważał, że jedność była utopią, nie wierzył w takie „odgórne" dobro społeczne, nie mógł nie doszukiwać się pierwiastka zła w każdym pozytywnym działaniu. Jednocześnie w sferze indywidualnej był przyzwoitym człowiekiem, pomagał, kiedy tylko się dało. Nie musiał, ale chciał. Nie zaskoczyły mnie czarne karty z życia Bratnego, ale zaskoczyło mnie skomplikowanie podtekstu tych czarnych kart.

Czy Bratnego zaskoczył ostracyzm środowiska po wydaniu „Roku w trumnie", który sprzedał się od razu w 300 tys. egzemplarzy?

Myślę, że go zaskoczył, był zdziwiony skalą niechęci. Od połowy lat 80. – mimo że pisał jak automat – zaczął zamykać się w sobie. To, co pisał na przełomie lat 80. i 90., świadczy o tym, że był pogubiony. Już całkiem zatrzasnął się we własnych poglądach i swojej niechęci do zmian. Skulił się jak jeż. W połowie lat 90. napisał swoją ostatnią książkę, bardzo ważną – „Anioł w butach z ostrogami". Również w niej manipulował przeszłością, ale jednocześnie w jakiś zawoalowany, być może również przed sobą samym, sposób przyznawał się do światopoglądowej i artystycznej porażki. Naprawdę Bratny jest postacią ciekawą i w jakimś sensie tragiczną.

Jak się mają jego młodzieńcze ideały do późniejszej działalności?

Jego wizje były bardziej poetyckie. Gdyby ideały miały formę falangistowsko-pakowską i były realizacją tego, co kreślił Piasecki, to byłby to oczywiście koszmar. Ale kiedy czytam teksty w „Dźwigarach" o pansłowiańskim imperium, w którym dobro indywidualnego człowieka jest najwyższym nakazem, to tylko krok dzieli tę utopię budowaną wokół piękna, dobra i sztuki od wizji jakiejś formy Unii Europejskiej. Serio. Zdumiewało mnie, że ci młodzi ludzie, niby narodowcy, myśleli w czasie okupacji szeroko, ciekawie.

Ciekawa jest relacja braci Mularczyków. Zapominamy, że Roman nazywał się naprawdę Mularczyk. Dla młodszego brata Andrzeja był autorytetem?

Roman zastępował mu ojca i był dla niego wzorem. Jeśli chodzi o poglądy i sposób patrzenia na świat, to po wojnie ich drogi się rozeszły, choć pozostali sobie bliscy. Bratny chciał wpływać na rzeczywistość, miał potrzebę działania, może rzeczywiście po ojcu oficerze. Andrzej Mularczyk jest reporterem i scenarzystą, ale jego książki i teksty są pełne liryki. Tymczasem wiele książek beletrystycznych Bratnego to de facto takie surowe reportaże, nawet bez słowa „literackie". Jakby bracia trochę zamienili się miejscami, pomylili swoje przeznaczenie.

Widzimy także Bratnego jako mężczyznę, który emanował siłą działania, robił wrażenie na kobietach, ale był też mizoginem.

Miał powodzenie u kobiet, mimo że nie traktował ich dobrze, a w wielu książkach są przedstawiane dość – powiedzmy – wrednie i obcesowo. Był wychowany w kulcie męskiej przyjaźni, jakiejś odrębności męskiego świata. Uniwersum kobiece to były dla niego łzy, jakiś rodzaj słabości, uległości. Ale według kilku moich rozmówczyń miał urok. Chyba ważne było to, że potrafił słuchać. Na tym mógł polegać jego czar: ten facet, który wśród mężczyzn skupiał całą uwagę na sobie, perorował, zagarniał przestrzeń, w relacji z kobietami to im pozwalał mówić. Z czasem musiał się wyzbyć swojego postrzegania kobiet jako dodatku do mężczyzn, bo trafiał na wielkie osobowości. Jego żoną była Alicja Wahl – naprawdę wyjątkowa artystka, a później – znacznie młodsza, piękna modelka Ewa, która również była silna i de facto opiekowała się Bratnym także u schyłku jego życia.

Zdążył pan go jeszcze spotkać?

Spotkałem go na Mazurach. Zawiozłem kiedyś Stanisława Likiernika do Bratnego, który był u córki Bereniki, w jej siedlisku, gdzie chodziły wolne konie – bo Berenika prowadzi taki wolny chów koni. I to była smutna scena – spotkało się dwóch ludzi, którzy wychowywali się razem, których pamiętałem ze zdjęć z ich dzieciństwa i młodości, a zobaczyłem staruszków, z których jeden był oderwany od rzeczywistości i nie było pewne, czy w ogóle poznaje swojego przyjaciela. Widziałem, że dla Likiernika było to poruszające i przykre. Wracaliśmy do Warszawy w milczeniu – naprawdę wyjątkowa sytuacja, jeśli chodzi o pana Stacha. Przyjaźnili się całe życie. Potem umarli jeden po drugim.

Co ta postać może nam powiedzieć dzisiaj?

Jeżeli człowiek jest uwikłany w historię, to w momencie, gdy zdaje sobie z tego sprawę, nie powinien sztywno stać na straży swoich poglądów, ale mieć w sobie elastyczność dyktowaną wartościami moralnymi. Przyglądać się rzeczywistości, a nie przykładać do niej z góry powzięte przekonania. Bratny miał duży talent jako poeta i prozaik, ale nie potrafił zrezygnować z przeświadczenia o własnej racji i z imperatywu przekonywania do niej innych za wszelką cenę, również za cenę rozmieniania talentu na drobne i jakiejś legitymizacji zła. To go w pewnym sensie zgubiło, choć nic nie zmieni faktu, że „Kolumbowie" to jedna z najważniejszych polskich książek XX w. Nie mam co do tego wątpliwości.

ROZMAWIAŁA JUSTYNA SOBOLEWSKA

Mea pulpa



czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

Tomasz Kammel zapytany o pracę w TV Republika orzekł: „Czy można sobie wyobrazić, że gość, który jest za adopcją dzieci przez pary homoseksualne i legalizacją małżeństw jednopłciowych będzie w TV Republika?". Błyszczące poglądy. Data produkcji: 15 października 2023 r.

Michał i Jacek znani szerzej jako bracia Karnowscy uruchomili fundację, która ma wspierać niezależność i pluralizm mediów w Polsce. I proszą o regularne darowizny. Żart powtórzony dwukrotnie bardziej śmieszy.

Anna Popek, była gwiazda TVP, dołączyła do zespołu TV Republika. Zadebiutowała programem, w którym uczyła, jak dobrze przeżyć czas Wielkiego Tygodnia. To zrozumiałe. Anna potrafiła dobrze przeżyć czas ośmiu lat.

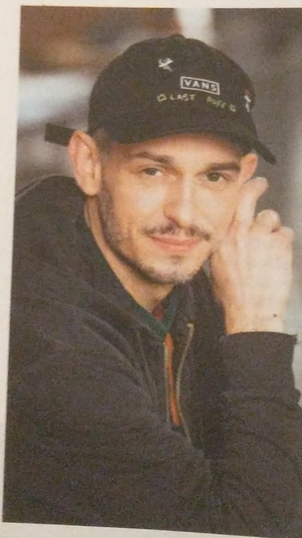
Katarzyna Cichopek i Maciej Kurzajewski ruszyli w serwisie YouTube ze swoim podkastem „Serio?". Celny tytuł. Pamiętam, jak w dniu marszu 4 czerwca Kasia zapraszała na piknik poza miastem. I większość komentarzy wtedy brzmiała właśnie tak: Serio?

Pisarz Wojciech Kuczok po 10 latach współpracy nie będzie już pisał felietonów o piłce nożnej na łamach „Gazety Wyborczej". Szkoda. To on już wiele lat temu był twórcą najlepszej strategii dla polskiego futbolu: „Odpuszczamy mecze, żeby skupić się na treningach".

Kanał Zero traci widzów. Pomimo milionowej subskrypcji w YouTube niektóre spadki wyświetleń sięgają 50 proc. Krzysztof Stanowski szybko znalazł nową Caroline Derpienski, aby temu zapobiec. Tym razem milionerka z Miami przebrała się za Rafała Ziemkiewicza.

Filip Chajzer, stawiany w roli faworyta, odpadł z „Tańca z gwiazdami". Podobno zadziałała klątwa Chajzerów, bo 15 lat temu jego ojciec też z tego programu odpadł przez jive'a. Klątwa Chajzerów skończy się wraz z końcem listy telewizji, w których ich nie było.

Nasz legendarny już ultratriathlonista Robert Karaś ponownie został przyłapany na dopingu. Tym razem podczas pięciokrotnego Ironmana w USA. Mnie się to podoba. Podstawą sukcesu jest konsekwencja.



Vito Bambino obraził się na Fryderyki, gdyż miał aż osiem nominacji do tych nagród, a nie wybrali go ani razu. Ładny gest. Mam nadzieję, że Janusz Korwin-Mikke zrozumie aluzję.

Mecz barażowy Polska–Walia oglądało w TVP 5,5 mln widzów. To tylko niecałe 2 mln mniej niż „M jak miłość". Gdzie akcja też się nie klei.

TVP zamierza pozwać TV Republika na kwotę miliona złotych za skopiowanie programu Michała Rachonia „Jedziemy". To się nazywa kopia zapasowa. Jak u braci Karnowskich.

Jacek Cygan, legenda nie tylko polskiej piosenki, został doktorem honoris causa Akademii WSB w Dąbrowie Górniczej. Ciekawe. Jacek opisał kiedyś to głośne ostatnio miasto: „Zakazany owoc dumnie krąży mi nad głową, zakazany owoc marzeń ciemnych tabu".

Najlepszy komentarz po meczu Polska-Walia należał do Wojtka Szczęsnego: „Nie podniecam się. Graliśmy beznadziejnie przez całe eliminacje. To był nasz obowiązek". Jak widać, w świetle bramki jest więcej światła niż we wszystkich rubrykach sportowych.

Były prezenter TVN24 Maciej Dolega nie jest już współpracownikiem TVP. Jego oba zajęcia dużo łączyło. W TVN24 często rozmijał się z prognozą pogody, a w TVP Info często mijał się z prawdą.

Jak wynika z tzw. taśm Obajtka, prezes Orlenu Daniel Obajtek obiecał Jackowi Kurskiemu kwotę 900 tys. zł na promocję filmu „Zenek" o Zenonie Martyniuku. W czasie pandemii. Okropne. Idąc do kina, narażałeś się na dwa niebezpieczeństwa.

Irena Kamińska-Radomska, mentorka z programu „Projekt Lady", poinformowała przed Wielkanocą, jak należy konsumować jajka. I okazało się, że do jajek na twardo nie trzeba używać noża. Irena. Ciesz się życiem. Wcześniej czy później będziesz musiała iść do pracy.

[FELIETON]

Passent

Pierwsza rakieta Polski



Jako typowa Polka naczytałam się sporo książek o przedwojniu oraz okupacji, a jako dziennikarka czasem zajmująca się kulturą nawet omawiałam te książki z historykami i wszyscy potwierdzali coś, czemu przez dekady się dziwiłam, ale dziś po napaści Rosji na Ukrainę nie dziwię się już wcale. Nie mogłam pojąć np. tego, że w warszawskim getcie działało kilka teatrów. Jednymi drzwiami tędy do gazu, a drugimi zapraszamy, już dzwonek, koniec przerwy, drugi akt się zaczyna. Istniał przy ul. Leszno, dziś al. Solidarności teatr Femina. Trudno mi było pojąć, że w przedwojennej Polsce bawiono się szalenie intensywnie. Pisarki uwieczniały to w swych tekstach. Maria Kuncewiczowa w „Dyliżansie warszawskim" pisała o tym, że w lokalach „krzyczał jazz", a w kawiarni IPS-u na tyłach Pałacu Kronenberga zbierały się przy stolikach „wścibskie koguty", śpiewano, robiono kawały. A Józef Hen w swojej książce „Nowolipie. Najpiękniejsze lata" opisywał letnisko Świder i sielską atmosferę dzieci brykających na piaskach kąpieliska.

Dziś obserwuję podobny, i też przykrywający nasze lęki, apetyt na życie. Ostatnimi laty ukazało się wiele książek o przenoszonych z pokolenia na pokolenie traumach, ale wraz z obciążeniami dziedziczymy też gen strasznej zaradności. Z jednej strony pradziadkom konfiskowano dwór, babcie były ofiarami lub świadkami gwałtów, ktoś umarł podczas wysiedleń, ktoś zaginął i nawet nie wiadomo, czy zamordowali go bolszewicy czy naziści, ale z drugiej strony mamy tysiące świadectw przetrwania, które często nie było kwestią przypadku, ale właśnie zaradności i planowania. A to babcia sybiraczka zachowała wspomnienia o skutecznej ucieczce, a to babcia sanitariuszka z powstania warszawskiego całe życie miała wstręt do kaszy jęczmiennej, bo gotowała plujkę, a to ktoś hodował topinambur w ogródku. Prawie w każdej rodzinie takie opowieści krążą, a moje pokolenie od przedszkola jest faszerowane wizytami w muzeach, które pokazują ludzi ukrywających się w piwnicach i kanałach, a potem wracających na gruzy.

Dlatego kiedy w ciągu dnia usłyszymy trzech emerytowanych wojskowych licytujących się w mowie insynuacyjno-sugerującej i w komentarzach w stylu „no, nie chcę straszyć, ale mamy jeszcze trzy lata" albo „no, nie chcę straszyć, ale uważam, że Putin właśnie skończył swoją soliankę na łancz i pewnie na deser odpali deszcz dronów", to w wielu z nas uruchamia się ten straszny gen zaradności. Ratujemy się ułudą sprawczości i znajomością tematów, takich jak strategia wojenna, modele dronów czy też podrywanie myśliwców. Nagle każdy komentator zaczął znać się na lotnictwie. Pierwszą rakietą Polski jest Iga Świątek. Drugą rakietą stała się ta spod Bydgoszczy. Trzecią rakietą Polski jest ta, której nie zestrzeliliśmy, bo leciała za wysoko, i spokojnie jak na wojnie, wróciła do Ukrainy. Aaa, jak trafiła w naszych braci w Ukrainie, to luz, ulga, możemy zresetować się w kinie.

Dlaczego po zwołanej już dwa lata temu konferencji posłów Lewicy, którzy alarmowali, że w całej Polsce brakuje schronów, nie wybuchła panika? Nasz przeklęty gen zaradności w połączeniu z brakiem zaufania do władz powoduje, że nikt nie czeka na kolejne kontrole NIK, każdy oczekuje, że nasi bohaterowie skierują się ku jakimś dzisiejszym Zaleszczykom i Londynom, a od nas, zwykłych obywateli, będą oczekiwać heroizmu, zaradności i obrony kraju. Od nastraszonych obywateli można oczekiwać, że zaczną wyręczać władzę. Również od obywateli wierzących w cudowną Maryjkę. Bezbożni Szwedzi to się wzięli za budowę schronów, ale my mamy prócz genu zaradności głębokie przekonanie, że co ma być, to będzie, więc po co na te schrony miliardy wydawać. Mamy też niezawodną instytucję matki Polki. Od ponad roku Polki wekują jak szalone. Na bazarach pomidory, ogórki kupowane są hurtowo. Przydała się pandemiczna moda na działki. Z rekreacyjnych stają się survivalowymi. Moja babcia nauczyła mnie suszyć mięso – nie było wtedy lodówek, jak prądu zabraknie, przyda się.

Drzemiąca w nas przez dekady i dyplomatycznie ukrywana rusofobia wybija na powierzchnię. Nagle okazuje się, że moi koledzy to już kilka lat temu zakopali broń gdzieś pod domkiem wakacyjnym. Zawsze mi się wydawało, że jestem zaradna, bo mam ukończone kursy samoobrony oraz pierwszej pomocy, ale niedawno napotkana koleżanka mówiła, że zapisała się na kurs strzelania. „Nie wiesz? No przecież GROM organizuje". Może zamiast weekendów w spa weekendy ze szkoleniem z dronów? Taki babski wyjazd.

Odwiedzam przyjaciółkę emerytkę po operacji kolan. Czytała raport NIK o schronach. „Nigdzie się nie wybiera. Żadne metro. Załatwia sobie odpowiednie ampułki, schowała je w sejfie, żeby pies nie zjadł. „Zapisałam ci wszystkie porcelanowe filiżanki. Trzeba odpowiednio wcześnie je zakopać. Przysypać ziemią, żeby się uklepała, żeby wróg i szabrownicy nie widzieli. To co, umawiamy się po zimnej Zośce i zakopiemy? A potem skoczymy odsapnąć do teatru?". I tak to właśnie ten mechanizm działa. Dla ułudy sprawczości uruchamia się gen zaradności, a dla mechanizmu wyparcia tłoczymy się w teatrach. Są w nich komplety. W Teatrze Powszechnym poruszający „Melodramat", w którym reżyserka i dramaturżka Aleksandra Smolar opowiada o tańcu śmierci, w jaki wplątują nas, współuzależnionych, nasi uzależnieni mężowie, dzieci, żony, koledzy z pracy. Na legendarnej farsie „Czego nie widać" w reżyserii Piotra Cieplaka też tłumy. Spektakl stopniowo nabiera szwungu, a w końcówce prędkość nawarstwienia żartów oraz aktorskiej akrobatyki osiąga tempo, którego nie osiągnąłby mój mikser Zelmer do bicia piany. Czego nie widać? Tego, że każdy obywatel ma już swój plan B.

AGATA PASSENT

[FELIETON]

Lis

Nasz duński ślub



Pierwszego dnia astronomicznej wiosny moja ukochana i ja wzięłyśmy ślub w Kopenhadze. Wybór nasz padł na kierunek duński po części za sprawą Jana Chryzostoma Paska, który kilka stuleci przed nami wyruszył pod panem Czarnieckim do „Danijej na sukurs królowi duńskiemu" i w „Pamiętnikach" zapewnia, że Duńczycy to „naród ab antiquo przychylny narodowi polskiemu". Mimo to lekuchno „alterowało" nas, że jedziemy po ten nasz ślub w obce strony, i „obejrzawszy się" przez samolotowe okienko, każda z nas pomyślała sobie: „Miła ojczyzno, czy cię też już więcej oglądać będę!". Jednak skończyło się identycznie jak u Paska: „Obejmowała jakaś tęskność zrazu, póko blisko domu, ale skorośmy się już za Odrę przeprawili, jak ręką odjął; a dalej poszedszy, już się i o Polszcze zapomniało".

W czasie lotu fascynowała nas myśl o Dunkach, które, nadal według Paska, „w afektach nie tak są powściągliwe jako Polki". Dunka, okazuje się, „ojca i matki, posagu bogatego gotowiusieńka odstąpić i jechać za tym, w kim się zakocha, choćby na kraj świata". To nas z nimi łączyło. Mało tego: Dunki, powiada Pasek, sypiają „tak, jako matka urodziła, i nie mają tego za żadną sromotę rozbierając się i ubierając jedno przy drugim, a nawet nie strzegą się i gościa, ale przy świecy zdejmują wszystek ornament, a na ostatku i koszulę zdejmą i powieszą to wszystko na kołeczkach i dopiero tak nago, drzwi pozamykawszy, świecę zagasiwszy, to dopiero w owę szafę włażą spać". Pytane o to, ponoć powiedały, że „tu u nas nie masz żadnej sromoty i nie rzecz jest wstydzić się za swoje własne członki, które Pan Bóg stworzył". Byłyśmy pewne, że kto jak kto, ale Dunki nas zrozumieją, i tak też się stało. Jedna z nich – promiennie uśmiechnięta, w wystających spod uroczystej togi dżinsach i adidasach – udzieliła nam ślubu w kopenhaskim ratuszu, wyraźnie wzruszona naszym wzruszeniem. Mogłaby być jeśli nie naszą córką, to młodszą siostrą.

> Śluby w Danii są dla każdego – nie trzeba mieć obywatelstwa tego kraju.

Ratusz, zaprojektowany w stylu skandynawskiego romantyzmu przez Martina Nyropa, wzniesiony został w 1905 r. Okazały budynek z czerwonej cegły, z bogato zdobioną fasadą i wieżą zegarową z lewej strony, pojawia się wielokrotnie, choć migawkowo, w szwedzko-duńskim serialu „Most nad Sundem". Czego nie widać na filmie, to detale, których mógłby pozazdrościć Kopenhadze gotyk francuski: jaszczury, węże, lwy, ptaki, ośmiornice i inne stwory. I flagi: duńska na dachu, tęczowa z boku oraz dwie niebiesko-żółte, ukraińskie, wciągnięte na maszty przy głównym wejściu. Na lewo od niego, tuż za drzwiami, znajduje się sklepik z pamiątkami, do którego, zgodnie z instrukcją, na godzinę przed ceremonią przyniosłyśmy swoje dowody osobiste. Resztę dokumentów – odpisy naszych aktów urodzenia i zaświadczenia o stanie cywilnym oraz wypełniony wniosek – przesłałyśmy wcześniej przez internet. Śluby w Danii są dla każdego – nie trzeba mieć obywatelstwa ani rezydencji tego kraju. Procedura i ceremonia, przyjazne i proste, odbywają się w jednym z trzech języków: duńskim, angielskim albo niemieckim. Wybrałyśmy angielski. Cień wstydu za Polskę przemknął nam po twarzach jak chmura po niebie.

Do sali ślubów, która znajduje się na piętrze, wchodzi się z głównego holu po kręconych schodkach. Nad drzwiami czuwają cztery rzeźbione sowy, a po prawej stronie stoi popiersie Hansa Christiana Andersena. Pamiętam z głębokiego dzieciństwa, jak matka czytała mi przed snem jego baśnie, zwłaszcza „Królową Śniegu" – z książki w białej płóciennej oprawie, z granatowymi literami tłoczonymi na okładce. Zmarła dwadzieścia lat temu; nie zdążyła być na moim ślubie. Andersena w ogóle pełno jest wokół ratusza i w całej Kopenhadze. Mała Syrenka na nabrzeżu niezmiennie przyciąga tłumy żądne życia w bajce, mimo że w tle przyczaił się stalowoszary okręt wojenny. Turyści starali się kadrować zdjęcia tak, żeby nie było go widać za Syrenką.

Kobieta w dżinsach i adidasach w obecności wesołej gromadki naszych weselników najpierw przeczytała nam kilka treściwych zdań o tym, czym jest więź między kochającymi się osobami, której postanowiłyśmy nadać formę małżeństwa. Cierpliwie znosiła moje czynione na gorąco uwagi. „Ja wiem – mówiła łagodnie – ja wiem", kiedy wtrącałam zdanie o naszym trzydziestoletnim stażu, chcąc ją zapewnić, że lekcję miłości mamy odrobioną. Potem odebrała od nas uroczyste podwójne *I do* i po wymianie obrączek doholowała nas szczęśliwie do końca ceremonii. Zanim zrobiłyśmy z nią sobie pamiątkowe zdjęcie na tle stuletniego fresku przedstawiającego grzech pierworodny, poinformowała nas, że oryginał aktu naszego małżeństwa spocznie na zawsze w archiwum ratusza. Poczułam się z tym bezpiecznie. Nie mogło być lepiej.

Znajomi w kraju urodzenia często gratulują nam odwagi i życzą, żebyśmy doczekały dnia, kiedy nasze małżeństwo zostanie uznane przez Polskę.

Szczerze mówiąc, z odwagą nasz piękny duński ślub nie miał nic wspólnego. Wymagał, owszem, prostego kręgosłupa i umiejętności poruszania się w świecie, ale nie bohaterstwa. Był całkowicie zwyczajny i nikogo w Danii nie dziwił. Za stare i za zdrowe na umyśle, by nieustająco zabiegać o miłość matki psychopatki, nie usychamy też z tęsknoty za uznaniem przez Polskę. Ślubów cywilnych bez względu na płeć udziela dzisiaj 37 państw na świecie i lista się wydłuża. W kraju, w którym płacimy podatki, równość należy się nam jak psu miska. Polska tymczasem tchórzy nawet przed rozwiązaniem tak zachowawczym jak związki partnerskie. Obawiam się, że Polsce nie można już pomóc.

RENATA LIS

[FELIETON]

Hartman

rminal ęsny



Nie, to nie fragment nabrzeża portowego dedykowany przeładunkowi mięsa i jego przetworów. To ja i ty. Tyle z nas zostało. Jesteśmy z krwi i kości komputerami starszej generacji. Jeszcze mocnymi, lecz nieznośnie szwankującymi. Bo czymże jest ta nietrwała galareta w kościanym pojemniku w porównaniu z niezniszczalną, eteryczną „chmurą danych", niczym logos albo inny „duch świata" otaczającą nas ze wszystkich stron i przenikającą przez wszystkie ściany? Mózg mam tylko jeden i nie na długo, za to jej wysokość Sieć jest wszędzie i na zawsze. Ja jestem śmiertelny, a ona nie. Jak bóstwo, choć tym razem nie zmyślone.

Co musiałaby uczynić taka na przykład księżna Kate Middleton, by przekonać publiczność, że nie jest „fejkowym" wielbłądem, bezcielesnym awatarem, lecz (tylko i aż) żywą kobietą, która naprawdę choruje na nowotwór? Czy istnieją słowa dostatecznie inteligentne, uroczyste i szczere, aby nie mogły zostać podrobione, skłamane i poruczone amoralnej i na wszystko gotowej Sztucznej Inteligencji? Tylko ona sama (a i to nie jest pewne!) mogłaby odróżnić prawdę od podróbki, lecz kto nam zagwarantuje, że tę prawdę by nam przekazała, skoro przecież jej specjalnością jest wprowadzać w błąd? Ja już skapitulowałem. Nie potrafię rozeznać się, co jest prawdą, a co zmyśleniem. Słowa „Cóż to jest prawda?" nigdy nie brzmiały tak złowrogo prawdziwie, jak dziś.

> Epoka człowieka wyraźnie się kończy.

Nie mam zdania na temat Kate, na temat sprawców zamachu pod Moskwą, na temat kondycji umysłowej Bidena i Trumpa itd. Nie mam zdania i coraz mniej potrzebuję je mieć. Miałbym rozpaczać, iż straciłem orientację? Przecież wystarczy, abym po prostu zignorował ideę prawdy jako wartości nieosobistej, obiektywnej. Bo cóż mnie obchodzi taka wyidealizowana „prawda obiektywna", skoro i tak się w niej nie rozeznam? Zamiast prawdy wolę przeto „swoją wersję", która da mi poczucie bezpieczeństwa, satysfakcję albo ekscytację, zależnie od potrzeb. Moja prawda, czyli właśnie moja wersja, jest *najmojsza* i dlatego najprawdziwsza. Wartość prawdy bierze się ze mnie, czyli z subiektywności, a nie z zewnętrznych warunków obiektywnych, które są czymś obcym i nieprzyjaznym. Zawsze trochę tak było, lecz tak źle, jak teraz, to jednak nie było nigdy. Wszyscy kapitulujemy przed potęgą sugestii i wszyscy dajemy się uwieść temu, co nas pociąga. W nikim nie ma oparcia i znikąd nie nadchodzi ratunek. Sami, sami, skołowani. Oto kim jesteśmy. Nie ma mocnych, nie ma mądrych.

Był taki czas, gdy w potocznym, a może i w fachowym języku informatyki bardzo popularny był termin, nomen omen, „terminal", czyli „końcówka". Sieć komputerowa wydawała się bowiem plątaniną połączonych ze sobą urządzeń, a jeśli z tego kłębka wystawała nitka, która nie prowadziła już nigdzie dalej, lecz jedynie do stojącego na czymś biurku komputera, to był on jak ten ślepy tor kolei, czyli terminal. Wszystko się na tym kończyło – on, komputer z ekranem, i drugi on, czyli użytkownik w ekran ten wpatrzony. Dzisiaj jednak że wszystko, co podłączone do sieci, przypomina raczej przelotowy dworzec niż stację końcową ze ślepymi torami. Jeśli coś tu jest „terminalem", to tylko człowiek.

Powoli, z dekady na dekadę w coraz większym stopniu stajemy się bocznicami sieci – jej najsłabszymi elementami, najbardziej oddzielonymi od właściwego systemu połączeń, spowolniającymi procesy komunikacyjne, popełniającymi błędy i niezdolnymi do szybkiego „procesowania". Dopiero gdy nareszcie nasze mózgi zostaną bezpośrednio wpięte do sieci – jako organiczne komputery, jakkolwiek słabe i zawodne – sytuacja ma szansę się nieco poprawić. Skonstruowani z nietrwałych materiałów biologicznych nadal jednak będziemy bardziej na sieci pasożytować, niż wnosić do niej jakiś istotny wkład. Tymczasem wszyscy inni uczestnicy globalnej wymiany symboli i informacji będą w porównaniu z nami trwali, niezawodni, czyści, inteligentni, szybcy, a w dodatku przewidywalni i grzeczni.

Jaką korzyść będzie miała globalna inteligencja sieciowa ze współpracy z anachronicznymi galaretami, zwanymi mózgami, z ich wiecznymi pretensjami do wyższości i złudzeniami, że mają prawo i możliwość rządzić uniwersum symbolicznym? Chyba żadną. Zwłaszcza zaś w epoce, gdy inteligencja zapomni już ów mityczny prawiek, gdy zwano ją sztuczną i gdy niczym raczkujące dziecko uczyła się na mizernych zasobach ludzkiej twórczości i wytwórczości, rezydującej w tzw. internecie, w postaci dziwacznych dokumentów zwanych tekstami, grafikami, zapisami audio i video.

To wszystko nie idzie ku dobremu. A w każdym razie nie dla nas. Epoka człowieka wyraźnie się kończy. Stempel „made by humans", „zrobione przez człowieka", nie będzie niczego gwarantował i nie będzie podnosił prestiżu wytworów kultury symbolicznej – ani naukowych artykułów, ani wierszy, ani symfonii, ani ustaw. Z czasem również bycie „z krwi i kości" nie będzie konieczne, by cieszyć się poparciem, szacunkiem czy zainteresowaniem. Księżniczki i królowie przeniosą się do sieci, a to, czy akurat ich „mięsne terminale" jeszcze istnieją, czy też może zostały już zutylizowane, nie będzie miało szczególnego znaczenia, jeśli jako awatary będą sobie dobrze radzić w sieci i generować znaczne zasięgi. W epoce, która się przed nami otwiera, śmiertelność ciał nie będzie znaczyć więcej niż zanik komunikacji na jednym z miliardów „węzłów" sieci. Dlatego możemy umierać spokojnie. Nikt niczego nie zauważy i nikogo nic nie obejdzie. Wielki sieciowy Logos i bez nas świecić będzie zylionem światełek, mrugając tęsknie ku obcym galaktykom. Ale to już nie będzie nasza sprawa.

JAN HARTMAN

…y w redakcji POLITYKI

…nam poinformować, że 1 kwietnia …2024 r. **Bartek Chaciński** obejmie …jednego z zastępców Jerzego …skiego, redaktora naczelnego POLI… Nową funkcję Chaciński będzie łączył …nad działem kultury naszego …ka, którym kieruje już od 2014 r. …stępcami redaktora naczelnego …pozostają: Mariusz Janicki …wszy zastępca redaktora naczelne… …od 2013 r.) i jednocześnie szef działu …nego, Łukasz Lipiński – odpowia… …za wydanie cyfrowe i serwis …ka.pl oraz Witold Pawłowski.

Bartek Chaciński dołączył do redakcji …TYKI dokładnie 14 lat temu: 1 kwietnia … został zastępcą Zdzisława Pietrasi… …który wówczas szefował działowi kultu… …cześniej Chaciński był związany m.in. …chiną", „City Magazine", pracował …wnież jako zastępca redaktora naczelne… „Przekroju". W swojej pracy dziennikar… …publicystycznej skupia się na muzyce





(oprócz tekstów publikowanych na łamach POLITYKI prowadzi od 2010 r. blog Polifonia), kulturze popularnej (komiks, gry komputerowe, telewizja) oraz nowym języku. Od lat współpracuje z Polskim Radiem. Jest autorem serii „Słowników najmłodszej polszczyzny" oraz książki „Wyż nisz". Zasiada w Radzie Języka Polskiego.

Zmiany dotyczą też struktury działu zagranicznego POLITYKI. 1 kwietnia 2024 r. stery w dziale zagranicznym z rąk Witolda Pawłowskiego przejmuje **Łukasz Wójcik**. Funkcję kierownika działu zagranicznego Wójcik będzie łączył z pisaniem tekstów dotyczących problematyki tureckiej i bliskowschodniej. Wcześniej w swojej karierze dziennikarsko-redaktorskiej odpowiadał za działy zagraniczne w „Przekroju" i „Wprost". Łukasz Wójcik jest absolwentem Uniwersytetu Jagiellońskiego i Szkoły Nauk Społecznych IFiS PAN. Studiował również w Ankarze.

REDAKCJA



W domu Hössa

Zainspirowany nagrodzonym Oscarami filmem …Strefa interesów", a także publikacjami …POLITYKI (wywiadem z Łukaszem Żalem …nr 12 i fragmentami wspomnień Bohda… …rzeniewskiego z nr. 13) postanowiłem …podzielić się z Państwem wrażeniami do… …czącymi pobytu w domu Rudolfa Hössa …mego ojca – Romana Dąbrowskiego.

Ojciec był więźniem obozu w Au…schwitz w latach 1940–41. Przy rozdziela… …zadań po przybyciu do obozu jako syn …mistrza stolarskiego zgłosił się do pracy …w stolarni. Niewielkie miał o tym pojęcie, …nabyte podczas obserwacji ojca przy …pracy, ale postanowił zaryzykować, aby …uniknąć ciężkiej, wyniszczającej pracy, …np. przy kopaniu rowów. Zawodowi stolarze szybko się zorientowali o jego „umiejętnościach", był więc używany do prostych prac transportowych, sprzątania wiórów, gotowania kleju itd. Jego dodatkowym atutem była znajomość języka niemieckiego.

Kiedy stolarnia dostała rozkaz, aby skierować fachowca do domu komendanta w celu dopasowania drewnianych ram okiennych (nie domykały się, były wypaczone), na stolarnię padł blady strach, wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że najmniejszy błąd mógł spowodować natychmiastową egzekucję winnego. Szef stolarzy wyznaczył do tej – prostej skądinąd – roboty najmłodszego, znającego niemiecki Romana. Ojciec wiedział, jakie to niebezpieczne zadanie, bardzo się denerwował, nie spał całą noc poprzedzającą wyznaczony termin. Ale nie było rady – udał się do domu Hössa, położonego tuż za ogrodzeniem obozu. Po przybyciu okazało się, że komendanta nie ma w domu (kamień z serca), żona pokazała ojcu, o co chodzi, robota była prosta, ojciec uporał się z nią w kilka godzin i szybko się odmeldował. Do stolarni wrócił prawie biegiem, ale jeszcze przez kilka dni żył w strachu, czy nie będzie jakichś reklamacji ze strony rodziny komendanta, co groziło poważnymi konsekwencjami, ze śmiercią włącznie.

Incydent ten ojciec opisał w swojej książce wspomnieniowej, którą redagowałem. Uznałem, że warto podzielić się z Państwem tym fragmentem wspomnień ojca, z nadzieją, że nadają się one do publikacji w tygodniku, którego czytelnikiem jestem od ok. 50 lat.

TOMASZ DĄBROWSKI

POLITYKA

…POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ul. Słupecka 6
…-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34,
faks 22 451-61-35
…www.polityka.pl
…polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
…
tel. 22 451-60-00, tel./faks 22 451-60-10

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Joanna Solska, Mariusz Janicki, Wiesław Władyka

Z-CY REDAKTORA NACZELNEGO
Mariusz Janicki (Pierwszy Zastępca), Witold Pawłowski, Bartek Chaciński, Łukasz Lipiński (wydania cyfrowe)

BIURO REKLAMY
tel. 22 451-61-36, tel./faks 22 451-61-37
e-mail: reklama@polityka.pl
Izabela Kowalczyk-Dudek (dyr.),
Julian Sobiech (reklama cyfrowa)
Projekty specjalne: tel. 22 451-61-93
Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności w granicach wskazanych w ust. 2 art. 42 Ustawy Prawo Prasowe

PRENUMERATA PAPIEROWA
www.sklep.polityka.pl
Infolinia: tel. 67 210 86 30,
e-mail: infolinia@polityka.pl
Monika Grabowska,
tel. 22 451-61-00, 451-61-15
e-mail: prenumerata@polityka.pl

PRENUMERATA CYFROWA
www.polityka.pl/cyfrowa
Infolinia: tel. 22 336-79-16,
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

Konto: POLITYKA, Spółka z o.o. SKA
BGŻ BNP Paribas S.A.
18 1750 0009 0000 0000 1004 2763
SWIFT: PPABPLPK

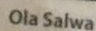
DRUK Quad
PBC
PRINTED IN POLAND

MODA

Szatański wynalazek, szatański

A kysz rurki, a kysz jegginsy i joggersy! Wracają wielkie spodnie, które czasem może i deformują sylwetkę, ale dają poczucie konkretu i materiałowej obfitości.

Rozmiar nie ma znaczenia – to jest jedna z tych fraz, którą często powtarzamy, nawet niekoniecznie w nie wierząc albo znając swój ostateczny stosunek do poruszanej sprawy. W modzie rozmiar jest sprawą kluczową – i nie chodzi wcale o rozmiar garderoby modelek czy klientów. Nie tym razem przynajmniej. Długość, szerokość, proporcje jednego do drugiego i efekt, jaki te wszystkie skomplikowane matematyczne zależności wywierają na ludzkie sylwetki, to jedna z podstaw dobrego projektowania i dobrego krawiectwa. Co ciekawe, wielu uznaje, że największym wyzwaniem jest znalezienie najlepszych proporcji poniżej pępka – czyli spodni.



Ola Salwa
– absolwentka psychologii, dziennikarka z 20-letnim stażem. Pisze o filmie, modzie i zjawiskach społecznych, konsultuje scenariusze, jest członkinią Europejskiej Akademii Filmowej.

Po dekadach dominacji obcisłej nogi, czy to wciśniętej w dżinsy typu rurki, czy to w legginsy, czy też w spodnie do biegania awansowane do roli stroju codziennego, wraca szersza nogawka. Nie tylko prosta, luźno dopasowana, ale chętnie po prostu przesunięta na drugą stronę spektrum – jest teraz wielka, tworzy kałuże materiału wokół kostek. Nie są to dzwony, tylko po prostu szerokie spodnie. Jest i model kontrowersyjny zwany „podkową" lub „beczką", gdy mamy taką parę na sobie, dolna część sylwetki ma kształt końskiej podkowy, nawet jeśli nie łączymy nóg. Rok temu taki typ nogawek zaliczył wielki powrót na wybiegu domu mody Alaïa. Co ciekawe, jego założyciel, Tunezyjczyk z pochodzenia, Azzedine Alaïa wsławił się tworzeniem obcisłych do granic możliwości sukienek, a jedną z nich, połączoną z kapturem, nosiła Grace Jones.

Spodnie luźne lub worowate („baggy") obowiązują zarówno w modzie męskiej, jak i damskiej, a wielu ekspertów wskazuje, że wzmożenie tego trendu to kolejna odsłona niekończącej się tęsknoty za latami 90. Przypomnijmy z kronikarskiego obowiązku, że te trzydzieści parę lat temu do mody wielgachne pantalony wdarły się dzięki raperowi MC Hammerowi – na jego cześć ochrzczono nawet model z obniżonym stanem, nazywany też haremkami; dziewczyny zaś nosiły szerokie dżinsy lub spodnie à la bojówki w połączeniu z topem odsłaniającym pępek. Pokolenie dzisiejszych czterdziestolatek pewnie wciąż z tyłu głowy ma komentarze rodziców czy nauczycieli o przewianych nerkach i brzuchach na wierzchu.

Moda na szerokie spodnie teoretycznie da się powiązać z niespokojnymi czasami – obfitość materiału daje poczucie bezpieczeństwa, tworzy rodzaj kokonu. Czasem spór o właściwy rozmiar jest sprawą pokoleniową. Jak przekonuje redaktorka mody Bella Gerard na łamach tematycznego periodyku „In Style", ponowny wypływ spodnioworów wynika z tego, że: „Pokolenie Z kojarzy bardzo obcisłe dżinsy z fasonem pierwszego wyboru milenialsów, nic dziwnego, że sami płyną w odwrotnym kierunku. Styl zawsze był wyrazem swego rodzaju modowego buntu".

A o tym, że garderoba to sprawa emocji, przekonać się można, np. czytając, że poszukiwanie właściwej pary jest też utrapieniem Davida Lyncha, reżysera bardzo niepokojących, ale i stylowych filmów. W pracy temat spodni może oddelegować fachowcom, czyli kostiumografom, natomiast w życiu prywatnym trudno mu rozwiązać ten problem. „Jeśli nie pasują, a tak jest po prostu zawsze, to odczuwam smutek. No wiesz, przerywa to mój strumień szczęścia. Ciężko pracuję na to, żeby sytuacja się zmieniła, wierz mi" – zwierzał się twórca „Dzikości serca" czy „Blue Velvet" dziennikarzowi „GQ", pisma skierowanego do interesujących się modą panów. Przykładem w drugą stronę jest Karl Lagerfeld, który przez większość życia nosił duży rozmiar – nie tylko spodni – a postanowił zrzucić czterdzieści kilo, aby nosić dżinsowe rurki zaprojektowane przez Hediego Slimane'a (wówczas – Dior Homme, dziś – Celine).

„Spodnie to szatański wynalazek, szatański" – ekscytuje się dziennikarz modowy Samuel Hine cytowany przez „New York Timesa". I dodaje, że T-shirt czy zapinaną koszulę można jakoś ograć – podwinąć rękaw, wpuścić w spodnie, ale jeśli te ostatnie mamy źle dobrane, to już koniec. Nadchodzi więc czas wyboru – oraz wyborów – przy czym ten dotyczący spodni ma dużo mniejsze konsekwencje. ■

Cyfrowe wysypisko



Termin *AI pollution* brzmi podobnie do *air pollution*, czyli zanieczyszczenia powietrza. To określenie opisujące bardzo niepokojące zjawisko – wyniki wyszukiwania Google czy Bing pełne są obrazów wygenerowanych przez sztuczną inteligencję.

Na forum obsługi klienta Google zwrócił na to uwagę użytkownik Evolved_Chicken, używający wyszukiwarki obrazków do znajdowania inspiracji, nauki i rozrywki – coraz częściej w wynikach pojawiały się bezwartościowe treści wygenerowane przez AI. W artykule „The Rise of AI Pollution” na medium.com Kim Rees zwróciła zaś uwagę na różne problemy związane z niekontrolowanym wypuszczaniem generatywnych treści do sieci. Pierwsza z nich to śmieciowe treści tworzące „cyfrowe wysypisko”, za które odpowiada pogoń za zapełnianiem stron nastawionych na łowienie klików. Druga – halucynacje i niedokładność prowadzące do zaburzenia rzeczywistości. Treści z AI nie są poddawane odpowiednio rygorystycznemu sprawdzaniu faktów, co powoduje rozpowszechnianie wprowadzających w błąd informacji. Wreszcie – spam produkowany przez AI jest znacznie bardziej zaawansowany i spersonalizowany niż do tej pory – użytkownicy mogą mieć problem z odróżnieniem go od prawdziwych wiadomości.

Jak wygląda zanieczyszczenie AI w praktyce? Jeśli wyszuka się zdjęcie Hideo Kojimy z papierosem (bohaterowie jego gier często palą), wszystkie wyniki okażą się zdjęciami sfabrykowanymi przez AI. W tym przypadku działa zjawisko „cyfrowej próżni” (*digital void*) – jeśli nie istnieje coś, czym interesują się użytkownicy (nie ma prawdziwego zdjęcia palącego Kojimy), zostanie ona wypełniona przez fałszywe treści. Japoński reżyser Hayao Miyazaki nigdy nie powiedział nic o Harrym Potterze (jest koneserem światowej literatury dziecięcej i lubi tylko dobre książki), ale zapytany Google podsuwa wyniki przedstawiające „Pottera w stylu studia Ghibli”. Gdy szuka się średniowiecznych przedstawień psów i kotów, wyniki są autentyczne – mniej popularne stworzenia, takie jak żaba, już na pierwszej stronie wyników zalane są fałszywkami z AI.

Nic dziwnego, że użytkownicy przestają korzystać z wyszukiwarek (51 proc. badanych z pokolenia Z woli szukać na TikToku niż w Google – dostaje tam spersonalizowane i dokładniejsze odpowiedzi). Bez odpowiednich filtrów oczyszczających wyniki z *AI pollution* wyszukiwarki przestaną być użytecznym narzędziem i staną się miejscem, gdzie boty będą kreować treści dla botów.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

SŁOWO

Problemy z bazą



Po zamachu terrorystycznym w Krasnogorsku kolejne informacje przychodziły bardzo szybko. Jeden z polskich dziennikarzy zajmujących się bezpieczeństwem i wojskowością informował w serwisie X: „Liczba ofiar śmiertelnych ataku na koncert wzrosła do 62 – Baza”. „Baza? A są wśród ofiar dzieci” – dostał odpowiedź. „Tak, są kobiety i dzieci” – kontynuował niezrażony. „To się podsumowuje »bazą«?” – dziwiła się komentatorka. Nieporozumienie wyjaśniło się na szczęście szybciej niż kulisy zbrodni pod Moskwą. Dziennikarz wytłumaczył, że Baza to serwis informacyjny działający w popularnym komunikatorze Telegram. A jemu przypomniano, że baza to dziś wyraz aprobaty i poparcia. Dość niefortunny w sytuacjach, gdy mowa o liczbie ofiar. Choć znalazł się pod wpisem także komentarz idący dalej w tym kierunku i wyrażający poparcie (lub ironiczny, o tym za chwilę): „bazunia”.

Sytuacja była o tyle znamienna, że rosyjskojęzyczną Bazę znają i śledzą jednak nieliczni, a „baza” – kilkakrotnie zgłaszana w plebiscycie na Młodzieżowe Słowo Roku – jest jednym z popularniejszych słów młodej polszczyzny. W kolejnych generacjach jego znaczeń gubią się nawet ci, którzy są na bieżąco z globalną rozgrywką wywiadów wojskowych. Jeszcze dwie dekady temu baza oznaczała co najwyżej dom („zjazd na bazę”) albo ogólną orientację („czaić bazę”). Później przyszły znaczenia kalkowane z angielskiego: zaliczanie kolejnych baz jako etapy relacji romantycznej (pocałunek itd.), a wreszcie „baza” lub „zbazowany” jako odpowiednik *based* – o człowieku mającym własne poglądy (w przeciwieństwie do *biased*, czyli kogoś uprzedzonego, stronniczego) i odwagę ich wyrażania. To drugie znaczenie prowadzi na ciemną stronę bazy: jako zbazowane chwalono czasami pseudonaukowe teorie, a w polityce – postawy skrajne. Tyle że z czasem w reakcjach pojawiła się też ironia – i „baza” zamiast wyrazem uznania bywa drwiną z mówiącego.

Ani jedno, ani drugie nie pasuje oczywiście do informacji o zamachu. „Dobra, ja na dziś wymiękam” – podsumował nieporozumienie dziennikarz, wykorzystując potoczne znaczenie słowa wymiękać („nie dawać rady”). Jedno i drugie to ta sama wiedza bazowa.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY

Walę z bazy, a nie słomką,
Przed szamą piję blue, a gold po
PRO8L3M, Molly, 2016 r.
Walić z bazy (walić z centrali) = pić z butelki (w tym wypadku różne rodzaje whisky)



Trudna wolność



Im częściej sięgamy po leki, tym diagnoz psychiatrycznych przybywa, choć wydawałoby się, że powinno być dokładnie odwrotnie.

RELACJE

Na polskim rynku ukazała się wreszcie głośna książka „Zmącony obraz”, w której amerykański dziennikarz śledczy Robert Whitaker podejmuje temat korelacji między stosowaniem leków psychotropowych a wzrastającą liczbą zaburzeń psychicznych. Autor przytacza dane mające wykazać, że niektóre leki przynoszą wprawdzie krótkotrwałą poprawę samopoczucia, ale stosowane długotrwale – w wyniku specyficznego oddziaływania na biochemię mózgu – prowadzą do pogorszenia. W ten sposób wytwarza się mechanizm błędnego koła: im częściej sięgamy po leki, tym diagnoz psychiatrycznych przybywa, choć wydawałoby się, że powinno być dokładnie odwrotnie. Nie tylko w środowiskach lekarskich, ale i w kręgu osób zainteresowanych tematem pojawiło się w związku z tymi tezami pytanie, czy podając w wątpliwość zasadność podawania leków w niektórych przypadkach, pośrednio nie zachęca się pacjentów do całkowitej rezygnacji z leczenia?

Niezależnie jednak od tego, jakiej udzielimy odpowiedzi, ujawnia się tutaj jeden z najistotniejszych problemów związanych ze zdrowiem psychicznym. A mianowicie: umowność granicy między przejściowymi trudnościami – manifestującymi się poprzez lęki, obniżenie nastroju czy natrętne myśli – a głębokimi zaburzeniami występującymi na przykład w psychozach. Oczywiście różne leki stosuje się na różne przypadłości, warto się jednak zastanowić, czy zasadne jest traktowanie cierpienia psychicznego tak samo jak innych chorób somatycznych.

Historycznie rzecz biorąc, sposób postrzegania choroby psychicznej zmieniał się nie tylko w wyniku rozwoju farmakoterapii, ale i pojawienia się rozbudowanych systemów diagnostycznych. Przede wszystkim znanej amerykańskiej klasyfikacji DSM. Tym tematem – zmian w myśleniu o diagnozie oraz relacji pomiędzy procesami kulturowym a psychiatrią – od lat zajmują się liczni badacze. Między innymi Allan Horwitz, amerykański socjolog specjalizujący się w tematyce zdrowia psychicznego, czy francuska historyczka i psychoanalityczka Élisabeth Roudinesco.

Katarzyna Prot-Klinger, polska psychiatra i psychoterapeutka, autorka przedmowy do polskiego wydania książki Whitakera, stawia tezę utrzymaną w duchu podobnym do poglądów Horwitza czy Roudinesco. Mianowicie że diagnozy psychiatryczne to umowne opisy różnych form cierpienia, które nie stanowią jednak „diagnozy” w ściśle medycznym znaczeniu tego słowa. Zaburzenia psychiczne nie są bowiem wynikiem zdefiniowanego niedoboru jakiejś substancji w organizmie, a szczegółowy sposób ich działania nie jest nam znany. W przypadku innych obszarów medycyny symptom jest zawsze manifestacją jakiegoś stanu chorobowego, innego niż on sam. Ból w klatce piersiowej – miażdżycy, opuchlizna – zakażenia itd. Tymczasem we współczesnej psychiatrii objaw i jego przyczyna ulegają wspomnianej już „kompresji”.

Być może te wszystkie kontrowersje i spory biorą się także stąd, że w myśleniu o człowieku wciąż odruchowo dążymy do biologistycznego redukcjonizmu? Choć przecież biopsychospołeczne – czyli szersze, obejmujące kontekst funkcjonowania jednostki, jej środowisko społeczne, wczesne doświadczenia relacyjne – podejście do rozumienia cierpienia psychicznego wydaje się w świetle współczesnej wiedzy oczywiste.

Odkąd w latach 80. wprowadzono na rynek słynny prozac – lek, który stał się pełnoprawnym bohaterem popkultury – nauczyliśmy się myśleć o depresji po prostu jako o niedoborze serotoniny (choć, jak wykazano w licznych publikacjach, rzecz jest dalece bardziej złożona). Być może przez niechęć do głębszego rozumienia złożonych procesów stojących za naszym samopoczuciem nazbyt często mamy do zdrowia psychicznego podejście mechanistyczne i bezrefleksyjne. Nie piszę tego, żeby zakwestionować czyjekolwiek cierpienie, ale raczej skrytykować płytkość i dosłowność sposobu widzenia tych złożonych zagadnień, jaki zakorzenił się w świecie. Jak pisze Roudinesco w książce „Po co psychoanaliza?”, jednostronne i wyłącznie medyczne myślenie o cierpieniu psychicznym daje nam „zamiast namiętności – spokój; zamiast pragnienia – brak pragnienia; zamiast podmiotu – nicość; zamiast historii – koniec historii”. Tymczasem człowiek targany konfliktem, wątpliwościami, pytaniami to człowiek, który szuka, zastanawia się, decyduje. Czy naprawdę chcemy odmawiać sobie tego rodzaju trudnej wolności? ■



Cveta Dimitrova
– ukończyła filozofię na UW i Studium Psychoterapii w Laboratorium Psychoedukacji. Założycielka ośrodka „Znaczenia. Psychoterapia”, współautorka podkastu „Nasze wewnętrzne konflikty” w TOK FM.

na przedmieściach, dzikie róże, świeżosłodka lipa, zapach wilgotnych torfu. Może jeszcze sosna: żywiczna, bursztynowa. rak, niełatwy i nie zawsze przyjemny icza Michał Missala z rodzinnej perfumerii lity, pytany o to, czym pachnie Polska.



oździk i pieprz ako nuty głowy

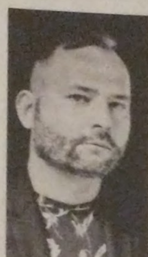
TREND

Właśnie tatarak posłużył za kanwę Qessence, debiutanckich perfum własnych Missalów. Na początku lat 90. jako jedni z pierwszych sprzedawali w naszym kraju marki pokroju Guerlain czy Diora, by stopniowo rozwinąć sieć ekskluzywnych perfumerii oferujących zapachy dla koneserów, z czasem zaoferować własne kompozycje. Ponad dekadę temu byli pionierami. Dziś polskich marek perfumeryjnych jest kilkanaście.

Jak powstają takie perfumy? Michał Missala wspomina: – *Mając pierwotną wizję – a zależało nam, by zapach odzwierciedlał historię perfumiarstwa i zawierał najlepsze składniki, ale i akcent polski, stąd rzadko używany tatarak – zaczęliśmy pracować z perfumiarzem z francuskiego Grasse. Miesiącami tworzyliśmy kolejne wersje zapachu, lecz ciągle czegoś nam brakowało. Dopiero gdy syntetyczny irys zamieniliśmy na naturalny, uznaliśmy, że to jest to.*

Od tego czasu wykreowali zapachy specjalnie na Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy oraz „zapach serca" Amoori „zapach umysłu" Qmentis. A dlaczego Grasse? To światowe zaplecze laboratoryjne i perfumeryjne centrum globu. Tamtejsi perfumiarze komponują zarówno dla wielkich koncernów, jak i dla koneserskich marek. Różnica tkwi w jakości składników i finezji zapachów. Na korzyść niszowych oczywiście. W Polsce zaliczyć można do nich także sygnowane nazwiskami projektantów mody.

Śladami, którymi poszła m.in. Kaczyńska, a wcześniej duet Bohoboco i Paprocki & Brzozowski, rozpoczął Michał Szulc ze swoim [...], z goździkiem i białym pieprzem jako nutami głowy. Na pomysł stworzenia perfum wpadł, gdy urodziło mu się dziecko i musiał zadbać o byt rodziny. – *Na butik nie było mnie stać, ale już własny zapach, którego nikt wcześniej nie miał, z pewnością by mnie wyróżnił* – wspomina. Szybko okazało się, że minimum polskich flakonów, jakie może zamówić u polskiego producenta, to tysiąc sztuk.



Michał Zaczyński – dziennikarz lifestylowy, ekspert branży mody, autor podkastów i bloga michalzaczynski.com, wykładowca ASP w Łodzi.

Ostatecznie sprzedał cały nakład, a potem wypromował dwa kolejne zapachy, co w świecie niszowych perfum uchodzi za komercyjny sukces.

Wykreowanie jednego zapachu we Francji kosztuje średnio 80 tys. zł. Bez flakonów i kosztów produkcji. W Polsce – taniej, nadal jednak to spora inwestycja. Mimo to w sprzedaży znajdziemy zapachy yDe (wśród rodzimych nut – kminek czy liść pomidora), markę Jan Barba (etykiety na flakonach powstają w Polsce techniką druku typograficznego na ponadstuletniej maszynie) czy JMP Artisan Perfumes Jakuba Pietrynki, w tym Endless Forest, odzwierciedlające „aurę lasu po deszczu".

Owa poezja w świecie perfum jest nieodzowna. Czterech właścicieli marki Wolf Brothers swoje perfumy Goat, czyli Kozioł, zwie „zapachem górskich bezdroży, obłąkania i obsesji" (wśród woni: kozie mleko, grzyby, trufle), a Boar, czyli Dzik – „zapachem wilgotnego runa, szaleństwa i wściekłości" (jabłko, mech, skóra). – *Szał na nordyckie seriale, gry czy książki o wikingach przypomniał nam, że mamy przecież własną mitologię słowiańską. I postanowiliśmy ją przybliżyć zapachami* – tłumaczy jeden z właścicieli, Wiktor Wilk.

Czemu akurat zapachami? – *Żaden z nas nie miał doświadczenia w perfumiarstwie, jesteśmy biznesmenami. Ale dużo gotuję, a że tworzenie potraw ma wiele wspólnego z tym, jak powstają kompozycje zapachowe, to zacząłem zdobywać molekuły, pojedyncze nuty i olejki, by poznać, jak pachną* – wyjaśnia Wilk. To ułatwiło współpracę z francuskimi wykonawcami zapachów. Stworzenie każdego z nich zajęło około dwóch lat.

Własnej kompozycji doczekała się też stolica. Co ciekawe, stworzyła ją holenderska marka Puredistance. Jej właściciel Jan Vos uznał, że powinna być „dojrzała, pełna życia i luksusowa". Skomponowanie zapachu powierzył paryskiemu mistrzowi Antoine'owi Lie, zaś ostateczna koncepcja powstała we współpracy z rodziną Missalów. Wśród nut – galbanum, grejpfrut, liście fiołka oraz jaśmin. Cena – 2275 zł za 100 ml ekstraktu. Wiadomo, Warszawa to drogie miasto. ■

Żeby zobaczyć największą atrakcję indyjskiego stanu Goa, trzeba pójść na plażę o godzinie 18.00.

Plaża prawem człowieka



PODRÓŻE

Zachody słońca na Goa są najpiękniejsze na świecie. Nie tylko dlatego, że chowające się za horyzontem słońce rzuca światło o niespotykanym nigdzie indziej odcieniu. Funkcjonuje tu niepisana plażowa tradycja. Około godz. 18 ludzie tłumnie wylegają na plażę, żeby wspólnie podziwiać spektakl zachodu. A przy okazji – siebie nawzajem.

Patrzę na lewo i widzę lokalną drużynę piłki nożnej – grupkę może dziesięciu chłopców w granatowych koszulkach – która właśnie kończy trening. Obok rozłożyły maty zachodnie joginki, w kręgu praktykują pranajamę. Grupa hinduskich turystów w ubraniach usiadła przy samym brzegu morza, tak by omywały ich fale. Każdą kolejną witają niemal dziecięcym wybuchem radości. Nie wejdą dalej, bo nie umieją pływać. Pilnuje ich ratownik w koszulce z napisem „Lifesaver". Patrzę na prawo i widzę parę młodych Włochów w skąpych kostiumach kąpielowych. Dopalają jointa i objęci ruszają w kierunku morza. Para hinduskich zakochanych przysiadła z kolei z dala od ludzkich oczu, w cieniu pobliskich krzaków. Ukradkiem trzymają się za ręce. Obok rybacy przy kolorowych łodziach porządkują sieci. Nieco dalej w gorącym piasku umościło się stadko krów, w hinduizmie uznawanych za święte. Wiele z nich przemierza swobodnie indyjskie ulice, a te goańskie wieczorem lubią przycupnąć na plaży i przy okazji przejrzeć śmietniki nadmorskich restauracji.

Goa słynie z ciepłego morza i pięknych plaż, które ciągną się kilometrami, a do tego jedno z najbardziej wielokulturowych miejsc na świecie. W III w. te rejony były buddyjskie, potem królował tu dżinizm, wreszcie hinduizm. W XVI w. Goa podbili Portugalczycy, którzy sprowadzili tu religię chrześcijańską i zbudowali liczne kościoły. W latach 60., po przyłączeniu Goa do Indii, na tutejsze plaże zjechali hipisi z całego świata, żeby budować swoje raje. Mieszkali w jaskiniach, na plażach albo u rybaków. Zaczęło się od duchowości, wolności i muzyki, a skończyło na imprezach Goa trance, narkotykach i niekiedy nieco odklejonym New Age. Można to lubić lub nie, ale sporo z nich po 50 latach wciąż tutaj mieszka, stali się częścią lokalnej kultury.

W pandemii, kiedy Indie nie wpuszczały turystów z zagranicy, wielu zachodnich joginów wyjechało z Goa, a opustoszałe ośrodki zaczęły zachęcać do przyjazdu mieszkańców Indii. Dzięki temu Hindusi poniekąd odzyskali ten kawałek kraju, tak długo nastawiony wyłącznie na obcokrajowców. Ostatnio, podobnie jak w wielu turystycznych rajach Azji, zjechali tutaj tłumnie Rosjanie i zepchnęli hipisów na obrzeża.

Burzliwą historię Goa widać wieczorami na plażach. Spotykają się tu ludzie wielu narodowości, wyznań, obyczajów i strojów – od odzianych w burkini turystek z Bliskiego Wschodu po Hiszpanki, które czasem decydują się zrzucić staniki. Wszyscy mniej lub bardziej otwarcie przyglądają się sobie nawzajem, zdziwieni i zafascynowani innością, która jest tu na wyciągnięcie ręki. Turyści z Zachodu robią zdjęcia krowom wygrzewającym się w piasku, a ci z Indii turystom z Zachodu, których przewodniki często wymieniają jako jedną z atrakcji tych stron.

Wiadomo, że rzeczywistość nie jest tak różowa i pod spokojną powierzchnią na pewno buzują problemy, lecz mimo to miło jest nasycić oczy tą harmonią. To plażowa utopia, dostępna za darmo dla każdego. Plażową dystopię widziałam w meksykańskim Tulum, gdzie dostęp do plaży mają jedynie rezydenci niebotycznie drogich hoteli, a jedyny publiczny fragment opanowały knajpy o równie kosmicznych cenach. W związku z tym mieszkańcy i turyści o małym budżecie mogą plażować jedynie w krzakach tuż przy parkingu.

A tymczasem dostęp do plaży powinien być prawem człowieka. Każdy – młody i stary, gruby i chudy, bogaty i biedny – powinien móc zanurzyć ciało w morzu i wygrzać je na słońcu. Po swojemu i na własnych warunkach, a jednak we wspólnocie doświadczenia.

Jeżeli chcecie spędzić wakacje na Goa, możecie zrobić wiele rzeczy – zwiedzić stare pokolonialne kościoły w Old Goa, wyprawić się na wycieczkę łodzią w poszukiwaniu delfinów, zapisać na kurs jogi czy ajurwedyjskiego masażu. Ale upewnijcie się, żeby punktualnie o godz. 18.00 pojawić się na plaży na zachód słońca i święto piaskowej demokracji. ■



Urszula Jabłońska
– reporterka, autorka książek: „Człowiek w przystępnej cenie. Reportaże z Tajlandii" oraz „Światy wzniesiemy nowe".

Wiosenny zawijaniec z pesto

Gdy na straganach pojawiają się pierwsze pęczki czosnku niedźwiedziego, to dla mnie znak, że zaczyna się wiosna. Ta kulinarna.

Soczyście zielony, pikantny, umamiczny gość, który znajduje się u nas pod częściową ochroną. O czym mowa? Dla kulinarnych zapaleńców nie będzie to trudna zagadka. To oczywiście czosnek niedźwiedzi, przez niektórych zwany cebulą czarownic. Myślę, że i jedno, i drugie określenie pasuje do niego idealnie. Gdy na straganach pojawiają się pierwsze pęczki, dla mnie to znak, że zaczyna się wiosna – ta kulinarna. Po miesiącach jedzenia kiszonek, kapust, warzyw korzeniowych i boczniaków rozpoczynamy wspaniałą podróż po cieplejszych miesiącach roku i powiązanych z nimi produktach. Dosłownie każdego tygodnia startuje sezon na kolejne warzywa czy potem owoce, a my uświadamiamy sobie, jak bardzo tęskniliśmy za trzaskającą pod zębami rzodkiewką, małosolnymi ogórkami, soczystymi, pełnymi aromatu pomidorami, które w zimie rzadko mają jakikolwiek smak. Jednym z najlepszych sposobów na wykorzystanie czosnku niedźwiedziego jest pesto. To niezawodny sposób, który stosuję od lat, by zachować cząstkę wiosny dla siebie i przywoływać ją w dowolnym momencie w roku, wyciągając pojemnik z pesto z zamrażalnika. Ma ono wiele zastosowań. Używam go głównie jako podkład w burgerach, ze słodką roślinną śmietanką do makaronu lub na pizzy, ale rwany chlebek – niżej przepis – to najlepszy sposób, by wiosennym powiewem podzielić się także z bliskimi. Zachęcam do ucierania pesto, a następnie rzucenia się w nurt przetworów wszelakich. ■



Tomek Mędrek – bloger, influencer specjalizujący się w roślinnych przepisach z pogranicza kuchni polskiej i comfort food. Wspólnie z żoną publikuje na blogu veganhigh.pl oraz profilu na Instagramie: @tomek.medrek.

KUCHNIA

Wegańskie pesto z czosnku niedźwiedziego
(jeden słoik 500–700 ml):
3–4 garście orzechów nerkowca lub ziaren słonecznika (można pomieszać)
3–4 pęczki oczyszczonego czosnku niedźwiedziego (ok. 300–400 g)
6–8 łyżek oliwy z oliwek
4 łyżki płatków drożdżowych
1/2 łyżki soli
sok z 1/4 cytryny

Wykonanie (ok. 10 min):
Sól, oliwę i orzechy/ziarna mielemy w malakserze na w miarę gładką masę.
Następnie partiami dodajemy czosnek i ucieramy, aż uzyskamy niemal gładkie pesto.
Jeżeli pesto wydaje się zbyt suche, dolewamy 1–2 łyżki oliwy.
Dodajemy sok z cytryny, jeszcze chwilę blendujemy.
Ewentualnie doprawiamy solą i sokiem z cytryny.
Pakujemy do słoika i przechowujemy 1–2 tygodnie w lodówce lub mrozimy (wtedy spokojnie możemy je przechowywać do sześciu miesięcy).

Wegański rwany chlebek z pesto
(jeden chlebek z keksówki – porcja dla 3–4 osób):

Na chlebek:
500 g mąki pszennej jasnej
250 ml wody
40 g cukru kryształu
7–8 g suchych drożdży instant
lub 25–30 g świeżych drożdży
(ze świeżych przygotowujemy zaczyn)
10 g soli (ok. 1/2 łyżki)
70 ml (ok. 6 łyżek) oliwy z oliwek
4–6 łyżek pesto z czosnku niedźwiedziego
wegańskie masło

Na dressing:
2 łyżki gładkiej musztardy
1 łyżka syropu z agawy lub innego słodzika



Wykonanie
(ok. 30 min pracy w kuchni plus wyrastanie ciasta – 1–1,5 godz., i pieczenie – 0,5 godz.):
Mąkę, sól i oliwę dodajemy do zaczynu lub suchych drożdży.
Zagniatamy na najniższych obrotach robota (lub ręcznie) przez 10 min, aż ciasto stanie się gładkie i nie będzie się kleić. Formujemy je na kształt kuli. Odstawiamy pod przykryciem na minimum godzinę – czekamy, aż ciasto podwoi swoją objętość.
Po tym czasie odgazowujemy ciasto, ubijając pięścią i wykładamy na oprószony mąką blat.
Rozwałkowujemy do grubości ok. 1 cm. Wykładamy pesto na ciasto i rozsmarowujemy równo.
Kroimy nożem lub nożem do pizzy na kwadraciki (mniej więcej) 2 x 2 cm.
Keksówkę smarujemy lekko masłem.
Kwadraciki składamy w stosik i umieszczamy w formie w dwóch rzędach w pionie (wzór na zdjęciu).
Przykrywamy i odstawiamy do drugiego wyrastania na ok. 15 min.
Nagrzewamy piekarnik do 180 st. C, góra–dół. Pieczemy 25–30 min, aż pięknie wyrośnie, a wierzch się zrumieni. Lekko studzimy. Mieszamy musztardę ze słodzikiem. Polewamy chlebek, gdy jest jeszcze ciepły, ale nie gorący.

Józef Orzeł, założyciel prawicowego Klubu Ronina, zapowiada w „Do Rzeczy" słaby wynik PiS w wyborach samorządowych: „PiS znajduje się na równi pochyłej, której pierwszym etapem były wybory parlamentarne. Teraz będzie zjeżdżał jeszcze niżej i pytanie, gdzie i kiedy się zatrzyma. Wiemy, kiedy – w momencie, w którym przyklei się ponownie do rzeczywistości, bo na razie się odkleił. Tylko to oznacza, że przegrane będą też wybory do Parlamentu Europejskiego. PiS postawił w kampanii – wyjątkowo do samego końca – na twardy elektorat, a on nie wystarczy do wygranej, zwłaszcza w wyborach prezydenckich". A prezes jak na razie twardo trzyma się swoich urojeń.

Publicystka Estera Flieger odniosła się w „Rzeczpospolitej" do swoistego sukcesu prof. Ryszarda Legutki: „europoseł PiS, został właśnie laureatem Nagrody Jánosa Hunyadyego za ochronę europejskich wartości i wolności. Wręczył mu ją węgierski premier Viktor Orbán, który korzystając z okazji, odwołał się w przemówieniu do historycznej przyjaźni polsko-węgierskiej, podkreślił znaczenie suwerenności oraz przestrzegał przed George'em Sorosem i brukselskimi biurokratami. Zważywszy na to, że ceremonia miała miejsce w Brukseli, a nagroda wypłacana jest w kwocie 20 tys. euro, wypadałoby szczególnie docenić ironię mówcy". Prof. Legutko jako znawca starożytności wie, że *pecunia non olet*.

Były sędzia Trybunału Konstytucyjnego Wojciech Hermeliński mówi w wywiadzie dla „DGP. Magazyn na Weekend": „Co do Krystyny Pawłowicz, to uważam, że ona w ogóle nie powinna być sędzią. Ta osoba nie rozumie, na czym polega istota powołania sędziego. Jej aktywność w mediach społecznościowych świadczy o tym, że chyba nie potrafi porzucić roli polityka. Do tego sformułowania, których używa, wyzwiska (np. wobec posła Treli czy dziennikarzy, którzy chcieli przeprowadzić wywiad) są niedopuszczalne z punktu widzenia zasad etyki sędziowskiej. Tymczasem w TK nie podjęto nawet próby wszczęcia postępowania dyscyplinarnego w jej sprawie". Musieliby najpierw zdyscyplinować samych siebie.

Każdy wie, że bezpośrednio decyzje co do konkretnych zmian, które zapadały odnośnie do Funduszu Sprawiedliwości, poza jedną, podejmowali moi podwładni – Zbigniew Ziobro. Cwany szef.

W „Plusie Minusie" Kataryna coraz bardziej rozczarowana wysiłkami władzy: „koalicja rządząca, po zaliczeniu [w komisji ds. Pegasusa] porażki z dużo łatwiejszym celem, jakim jest Jarosław Kaczyński, postanowiła zasadzić się na Adama Glapińskiego, którego będzie stawiać przed Trybunałem Stanu. Ciekawe, kiedy wreszcie do uśmiechniętej koalicji dotrze, że nawet ośmiogwiazdkowy elektorat znudzi się w końcu obietnicami »dorwania« kolejnego ważnego polityka PiS i zacznie rozliczać swoich wybrańców ze skuteczności w ich wsadzaniu". Znaczy, lepiej nie ruszać, bo się odwiną?

Zbulwersowany przebiegiem „przesłuchania" Kaczyńskiego przez komisję ds. Pegasusa Stanisław Mancewicz komentuje w „Tygodniku Powszechnym": „To plon naszej słabiutkiej orientacji, kim są dzisiejsi posłowie RP i jaki poziom reprezentują. Doprawdy, żeby tę dziarską komisję, mającą zbadać bodaj najpoważniejsze przestępstwo ostatnich lat, zdezorientować, zbić z tropu, sprowokować do prostactwa, głupawych odzywek, chrapliwych okrzyków i błąkania się bez żadnej potrzeby po pustyni wszelakiego sensu, wystarczy dobrotliwy siedemdziesięciolatek bez obiadu". Skrajnie bezradni wobec skrajnej bezczelności.

W upowszechnianiu urojeń prezesowi dzielnie sekunduje były minister kultury prof. Piotr Gliński („Sieci"): „Ta władza przyjechała tu przecież nie na ruskich czołgach, jak kiedyś, ale na niemieckich pieniądzach. Do tego doszła siła owego postkomunistycznego »deep state«, głębokiego państwa, którego po 1989 r. nie udało się złamać. (…) Teraz mamy sojusz postkomuny z pseudoliberałami, wspierany przez zagranicę. Tę z Zachodu, jak i pośrednio przez Berlin tę ze Wschodu". I tak ceniony kiedyś profesor zamienił się w politruka.

Marcin Duma, prezes IBRiS, tłumaczy w „Przeglądzie", czym najbliższe wybory różnią się od poprzednich: „Po pierwsze, wybieramy władze samorządowe po kadencji, która trwała pięć i pół roku! Od tego czasu doszło pięć nowych roczników (…). Po drugie, Polska w tym czasie się zmieniła, mamy inne oczekiwania, inne perspektywy i dzięki mediom społecznościowym inne możliwości komunikowania się. Po trzecie, pięć i pół roku to wystarczająco długi czas, byśmy już nie bardzo pamiętali, na kogo głosowaliśmy w poprzednich wyborach". Czy głosowaliśmy trafnie, to akurat widzimy gołym okiem.

Okres ochronny dla nowej władzy wyraźnie się kończy. W „Newsweeku" Krzysztof Varga nakreślił bezwzględny portret marszałka Sejmu: „Hołownia ma ego wielkości Układu Słonecznego (…). Hołownia prezentuje nowoczesny fundamentalizm – dobre garnitury, wykształcenie, znajomość języków, elokwencja, poczucie humoru, przekonanie o swojej nietuzinkowości, a zarazem obskuranckie poglądy. (…) Jakby Hołownia nie bajerował i »fajnował«, to zawsze wyłazi z niego przekonanie o własnej wyższości moralnej i deficyt chrześcijańskiej pokory". Oj, zaboli.

KOZA



RAINBOW

Wiemy co warto zobaczyć

WYCIECZKI OBJAZDOWE

- Ponad 400 programów wycieczek
- Bilety, hotele, wejściówki – wszystko zorganizowane
- Polskojęzyczni piloci
- Różna intensywność objazdów

R.pl